



WYDAWA

Z CIASNEJ SFERY.

POWIEŚĆ

PODŁUG PODAŃ I PAPIERÓW FAMILIJNYCH

NAPISAŁA

MALWINA MEYERSONOWA.

*która do 1400 roku życia nie
mówiła jak tylko po hebrajsku*

WARSZAWA.

CZCIONKAMI M. ZIEMKIEWICZA I W. NOAKOWSKIEGO.

Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

1878.

Z CIASNEJ SFERY.

POWIEŚĆ

PODŁUG PODAŃ I PAPIERÓW FAMILIJNYCH

NAPISAŁA

MALWINA MEYERSONOWA.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

CZCIONKAMI M. ZIEMKIEWICZA I W. NOAKOWSKIEGO.
Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

—
1878.



Дозволено Цензурою.

Варшава, 14 Мая 1878 г.

CZĘŚĆ I.

Belunia.



22.233

I.

Działo się to na końcu zeszłego stulecia.

W miasteczku, położonem nad brzegiem rzeki spławnej i liczącem cztery tysiące dusz zaledwie, reb Lejb był bezwątpienia najpierwszą osobą i zasługiwał zupełnie na miano *Gwira* (magnata), jakie pospólstwo mu nadawało. Po pierwsze—handel swój, zbożem i drzewem do Gdańska, prowadził na wielką skalę, czem zatrudniał wielu mieszkańców, już to jako tragarzy, furmanów, flisów, już jako szyprów, pisarzy leśnych i transportowych; powtóre—był bogatym, posiadał beczki złota, — tak przynajmniej utrzymywali: właściciel miasteczka pan Władysław Borzęcki, i uboższa szlachta okoliczna, którą reb Lejb, zaliczką na zboże, z rąk lichwiarzy czy złych sąsiadów ratował, a opinie tę dzielali i zacni mieszczanie, nie wyjmując burmistrza i jego ławników, licho płatnych, a obarczonych licznymi rodzeństwami, i wiedzących zawsze gdzie znaleźć protektora, co dawał, lub forszusował na posagi i wyprawy córek, na wysyłanie synów do szkół i t. d.

W oczach jednak współwyznawców reb Lejb miał, prócz tego, ważniejsze nierównie zasługi. Od niepamiętnych czasów między żydami istniały rodziny, które, przez swe pochodzenie od znakomitych uczonych, przez dziedziczne

w nich bogactwo i pobożność, wśród pogardzonego na zewnątrz plemienia stanowiły kastę niejako szlachecką. Rodzin podobnych niewiele było w całej Rzeczypospolitej, a nawet w ościennych krajach, gdzie żydzi żyli rozproszeni. Częste bowiem zmienne koleje losu, wichrzenia stronnictw politycznych, wojny, najazdy, od których przesładowany i nieposiadający gruntu żyd najczęściej zawsze ucierpiał, strącały familje *Mejuchessów* (arystokratów) z uprzywilejowanej wysokości w bezdenną przepaść ubóstwa, a z czasem i zapomnienia. Te, które cudem jakimś *Iches* (klejnot) swój utrzymać zdołały w pierwotnej świetności, przedstawiały—jeżeli środki były po temu—w *ciasnej swej sferze* niektóre cechy, tak dodatnie jak i ujemne, ówczesnej arystokracji chrześcijańskiej. Choć przodkowie ich nie wśród zgiewku bitew, lecz w cichych murach uczelni zdobyli swoje wawrzyny, choć żaden władca ziemi nie ozdobił ich piersi znakiem zasługi, i do nazwisk ich nie przyczepił zaszczytnych tytułów, arystokraci żydowscy jednak mieli się za coś lepszego od reszty swego ludu. Tak samo dawność rodu stawiali nad wartość osobistą, i tak samo nie szczędzili ofiar dla utrzymania splendoru swego domu i imienia, co możnowładcy chrześcijańscy.

Reb Lejb był potomkiem jednej z takich rodzin starożytnych, chlubił się bowiem posiadaniem listu genealogicznego (*Iches - Brief*), sięgającego aż do Don Izaaka Abarbanella ¹⁾. Ta uznana powszechnie znakomitość rodu,

¹⁾ Don Izaak Abarbanel—znany uczoney i minister finansów hiszpański za panowania Ferdynanda i Izabelli, który po wygnaniu żydów nie chciał dłużej pozostać w kraju, i udał się wraz z innymi wygnańcami do Arabji. Pochodził podobno w prostej linii od królów judejskich.

wykształcenie judaistyczne, połączone z nieskazitelną prawością charakteru, niezmierne jak mówiono bogactwa, którymi hojnie szafował dla potrzebujących, życie wystawne i okazała postać zewnętrzna—wszystko to, razem wzięte, zjednało reb Lejbowi przydomek wielkiego i magnata (*Gwira*).

Żaden też wielki pan nie miał uleglejszego dworu nad ten, jaki otaczał osobę reb Lejba. Liczny zastęp ubogich krewnych do dziesiątego stopnia i dalej, którzy jako *Mejuchesy* czystej krwi nie uważali za godne siebie zapracować na chleb powszedni, krążył w domu bogacza koło świetnej gwiazdy rodowej. Byli to dworacy stali, rezydenci, ale prócz nich byli jeszcze i niestali. Nie w samym bowiem tylko miasteczku i jego okolicach, lecz po całym kraju i daleko po za jego obrębem rozchodziła się sława wielkiego reb Lejba Gwira. Nie było pielgrzyma, wybierającego się do Palestyny, nie było autora rozprawy talmudycznej *Szaales - Tszuwo*, nie było wędrownego szadchena (swata) ani awanturnika żydowskiego (*sznorrer*), do któregooby nie doleciała wieść o bogatym Gwirze, i któryby, choć raz w życiu, nie zawadził o jego progi.

Dla nich podwójna ztąd wynikała korzyść. Gościnnie bogacz suto podejmował podróżnych i zaopatrywał na dalszą drogę, a potem można się było pochlubić znajomością tak znakomitego człowieka, rozpowiadać ciekawym dziwy o jego wspaniałomyślności i bogactwach, które twórcza wyobraźnia do bajecznych nieraz doprowadzała rozmiarów.

Pan Bóg, który jak widzimy, obdarzył Gwira dostatkami i znaczeniem u ludzi, poskąpił mu atoli drugiego rodzaju błogosławieństwa. Przez ciąg trzydziestoletniego pożycia reb Lejba z żoną, Blimą, pięć razy słowa: „Mazeltow (winszujemy), syn!” obłyły się o uszy małżonków, i tyleż razy anioł śmierci zapukał do drzwi ich domu, zabiera-

jąc napowrót niewinne jeszcze duszyczki. Szóste dziecię, córeczka, niemniej wątem było od poprzednich. Zaraz więc po jej urodzeniu rozesłano posłańców z darami do blizkich i dalekich rabinów, prosząc o modły za utrzymanie życia dzieciątka. Prócz tego, Gwir fundował nową synagogę, i tak on, jak i żona jego, rozmaite poczynili śluby na intencję zdrowia swej jedynaczki.

Niebo wysłuchało prośby stroskanych rodziców, i dziewczeczka, której dano imię Belli, szczęśliwie się im odchowała. Gdy nasza powieść się zaczyna, Belunia liczyła rok piętnasty i od dwóch już blisko lat szukano dla niej młodzieńca uczzonego i pobożnego, który, spełniając ślub uczyniony przez Gwira i jego żonę, poświęcić się miał jedynie studjom świętego zakonu, by z czasem znakomitym stać się rabinem.

Wynalezienie takiego zięcia było jednak rzeczą niełatwą. Arystokraci żydowscy zwykli, jak domy panujące, zawierać związki małżeńskie li tylko między sobą, a szczupła liczba tychże żyła, jakieśmy już nadmienili, rozproszona po wszystkich niemal krajach Europy. *Szadcheny*, którzy w takich razach brali na siebie obowiązki dyplomatów, napróżno dotąd szukali kawalera, mogącego urodzeniem, majątkiem i osobistemi zaletami wszystkie zadowolnić wymagania, a daremne te zabiegi zaczynały już niecierpliwieć wielkiego reb Lejba.

W środku niebrukowanego placu, noszącego nazwę rynku, stał obszerny, piętrowy gmach starożytnej struktury, powszechnie zwany w miasteczku „ratuszem,” czy to z powodu położenia swego w środku rynku, czy też, że w miejscu tem w istocie niegdyś istniał ratusz—trudno powiedzieć, gdyż podanie nic nas w tej mierze nie objaśnia. Wiemy tylko, że najstarsza ta kamienica miasteczka od wieków już była w posiadaniu przodków reb Lejba, i że

tarcza umieszczona, wbrew zwyczajowi żydowskiemu, nad szeroką bramą wjazdową, w siedmnastem jeszcze stuleciu wmurowaną tu została przez dumnego reb Lejba *Parnesa*, który w wielkich łaskach u ówczesnego rządu, dla uwiecznienia swej pamięci wymyślił, na wzór herbów szlacheckich, ów symbol swego imienia ¹⁾ i władzy — lwa z najezoną grzywą.

Całe pierwsze piętro tego domu zajmował sam Gwir ze swoją rodziną, resztę — krewni, domownicy i obcy goście. Na parterze mieścili się: kantor, izba kasowa, tak zwany skarbnik, z zakratowanymi oknami i różnemi podziemnymi kryjówkami, oraz mieszkanie stałego buchhaltera. Osobno murowana oficyna przeznaczoną była na miejsce nauki dla kilkunastu ubogich młodzieńców (bachurów), utrzymywanych kosztem Gwira.

W innych zabudowaniach znajdowały się spichlerze, stajnie, wozownie, a nawet ładnie urządzone łazienki; w środku zaś rozległego sadu, rozciągającego się za domem aż nad sam brzeg rzeki, stał mały i zdobny budynek z ruchomym dachem, przeznaczony na jadalnię świąteczną (Suke — Szalas).

W wolne święta Szalasów roku 5551 od stworzenia świata, a 1790 zwyczajnej ery, przed bramą wyż opisanego domu zatrzymała się porządna bryka, z której wysiadał mężczyzna w podeszłym wieku, choć twarzy jeszcze czerstwej i niezmiernie ruchliwej.

W domu spostrzeżono już przybycie gościa, i zanim tenże wy dostał się z wysokiej bryki, ujrzał się otoczonym przez gromadkę rezydentów, która cisnęła się, by mu podać ręce na przywitanie.

¹⁾ „Lejb“ jestto przekręcone polskie imie „Lew“.

— Pokój z wami, Złoczewski Magidzie! ¹⁾

— Stęskniliśmy się już bez was. Gdzieście to tak długo bawili?

— Zkąd teraz Pan Bóg prowadzi?

— Cóżście nam nowego przywieźli?

— Znaleźliście nareszcie narzeczonego dla naszej panny?

Natrętne te pytania nie w smak były nowo-przybyłemu, a ostatnie wywołało wyraźną oznakę niechęci na rumianą i sprytną twarz jego. Bo, jeżeli nawet prawdą było, że on, krewny Gwira i rezydent jego domu, szczytający się prócz tego tytułem byłego kaznodziei ze Złoczewa, w częstych swych podróżach zajmował się kojarzeniem partji arystokratycznych—to cóż komu do tego?

Magid nie śpieszył się tedy z odpowiedzią i w milczeniu zbierał podrózne swe manatki.

Gromadka zniecierpliwiła się.

— Cóż-to Magidzie, nie chcecie nam wcale odpowiedzieć?

— Gniewacie się na nas, czy co?

— Chwilkę cierpliwości, — na wszystko wam odpowiem.

— Czekamy — zawołano chórem.

— Ale najsamprzód, *rabosaj* (panowie), małą wam opowiem bajeczkę.

— Zgoda na bajkę.

Uśmiech figlarny przebiegł po ustach Magida.

— Kupił raz chłop dojną kozę na jarmarku, a że daleką miał drogę, nie mało się więc strudził, za nim z nią do domu przybył. Ledwo jednak próg własnej chaty prze-

¹⁾ Kaznodzieja.

stąpił, ledwo baba kozę ujrzała, aliści ona do niej, a nuż narzekać na chłopa, że koza mleka nie daje. — „A dałaś-że jej wypocząć kobieto? A jeść jej dałaś? Koza biedna długo w drodze była, zmęczyła się biedaczka i nic nie jadła, a ty od niej pożywnego żądasz mleka?“

Tak mówił chłop do baby, a jakżeż wam się zdaje, panowie, miałże on słusznosc, czy nie?

— Miał—odpowiedziano.

— Jeżeli takie wasze zdanie, to czekajcie i wy także, aż pójdę do pokoju i trochę odpocznę, aż co zjem i wypiję, a później dowiecie się, czego tylko serca wasze zapragną.

Wszyscy się roześmieli w głos na tę odprawę.

— Ma rację Magid.

— Dobrze powiedział.

— Nie złą dał nam nauczkę.

I gromadka, zawstydzona niewczesną i niegościnną swoją ciekawością, rozeszła się każde w swoją stronę.

Na miejscu ich ukazał się rudobrody Mordka, starszy sługa gwirowskiego domu.

— Pokój z wami, Magidzie! Przyjechaliście w sam czas. W pańskim szafasie stół właśnie nakryty i obiad czeka—rzekł uprzejmie, choć z pewną poufałością do rezydenta.—A wy, żydzie—dodał, odwracając się do obcego furmana, który niósł za Magidem nie wielki płócienny worek podróżny — chodźcie także za mną, bo i dla was się znajdzie lampeczka miodu.

— Kiedy muszę na popas do gospody...

— A na co gospoda? Alboż to u nas obroku nie ma? Jeszcze nie było przykładu, aby pies wyszedł głodny z domu Gwira, to i waszym szkapom pewnie krzywda się nie stanie.

— Na moje życie!—zaklął się uradowany furman,—

Nie źle tu się dzieć musi i koniom i ludziom. Bodajby taki dom stał do mesjaszowych czasów!

Mordko uniesienie furmana przyjął z łaskawym uśmiechem, i wkrótce wraz z Magidem zniknął w bramie domu reb Lejba.

W godzinę później zastajemy Magida w paradnym pokoju pierwszego piętra. Pokój to obszerny, sklepiony, o trzech oknach wychodzących na rynek. Oszklone szafy z książkami i srebrem, sięgające sklepienia i ciągnące się wzdłuż całych dwóch ścian pokoju, kanapa i krzesła czerwonym pokryte adamaszkiem i niedawno dopiero z Gdańska sprowadzone, misterne biurko, szafka z grającym zegarem—starożytnie arcydzieła holenderskie, czy norymberskie, i szczerosrebrny pajak, wiszący na samym środku, wygładały bogato i poważnie zarazem. Powierzchność pana domu, stojącego przy jednym z okien obok Magida, odpowiadała zupełnie temu otoczeniu. Wysoki, niezbyt szczupły, rysów twarzy czysto semickich, reb Lejb uderzał szczególnie dumnym wyrazem gładkiego jeszcze, mimo lat czterdziestu i kilku, czoła, i wypukłych czarnych oczu, którym gęste ciemne brwi, schodząc się nad orlim, przydługim nieco nosem, dodawały jeszcze surowości. Starannie utrzymywana krucza broda, spływając na aksamitny żupan, suto lamowany aksamitem, czarna czapeczka na gładko ogolonej głowie, szeroki pas siatkowy, srebrnymi spięty klamrami, niemało także podnosiły wspaniałość tej prawdziwie staro-żydowskiej postaci.

— Dalekąście teraz, jak słyszę, drogę odbyli!—rzekł Gwir.

— Pewnie, że nie za progiem znaleźć można, czego ja w podróży swej szukałem,—była odpowiedź Magida.

— Jeszcze jednak świat się nie kończy—odparł reb Lejb z uśmiechem.

— Nie dla tego mówię, aby już, broń Boże, brakować miało partji na świecie. Owszem, u każdego Mejuchesa jest ładna panna, albo uczony syn, i od każdego z czemś się wyjeżdża. Niejeden już udało mi się związek małżeński skojarzyć, od czasu jak dla was zięcia szukam.

— Widać,—ja jeden tylko czekać muszę...

— Bo wy—to co innego. Już świecą szukając, drugiego takiego reb Lejba nie znajdzie.

Twarz gospodarza zasępiła się.

— To ma znaczyć, że wróciliście z niczem?

— Któż to mówi, reb Lejb? Owszem, mam pełną kieszeń projektów. Jest naprzykład syn bogatego reb Wolfa z Wilna...

Gospodarz brwi zmarszczył, ale nic nie odpowiedział.

Trwało to kilka minut, aż nareszcie Magid osmielił się zapytać:

— Cóż, nie podoba wam się ta partja?

— Ja nie bankrut, abym się z kimś kolligacił dla majątku—odrzekł reb Lejb sucho.

— A co powiecie o synu rabina z Hamburga?

— Goły!

— Jeżeli nie stoicie o majątek...

— Ale też nie chcę, by ludzie mówili, że sam sobie jak jaki dorobkiewicz za pieniądze kupił zięcia.

— Bez urodzenia—nie, bez majątku—także nie, bez osobistych przymiotów—tem bardziej nie. A gdzież to, proszę was, znaleźć wszystko razem?

Reb Lejb, milcząc, brodę gładził.

— Jest jeszcze syn pozostały po zmarłym rabinie z Przemyśla...

— Słyszałem już coś o tym chłopcu.

— Rabin był znakomitością naukową i zostawił synowi ładny majątek—ciągnął dalej osmielony już trochę Magid.

— To ród nowy...

— Ojciec, dziad i pradziad nawet rabina byli znany-
mi uczonymi.

— Ale od tego pradziada się i zaczyna. Pra-pradziad
był podobno człowiekiem nieznanym.

— Co tam pra-pradziad!—zawołał, zapalając się już
Magid—kiedy sam chłopiec prawdziwy Esrog z Korfu ¹⁾
brylant czystej wody!

— Ileż ma lat?

— Szesnaście najwyżej, choć wygląda może na więcej.
Mądry i uczony nad wyraz, a przytem piękny co się zowie,
postawa królewska, twarzyczka krew z mlekiem, słowem—
istne dziecię książęce.

— Czyż ja, potomek Abarbanela, ba, samego nawet
króla Dawida, mogę brać zięcia, którego przodkowie byli
ludźmi tak mało znanymi w Izraelu?

— Pozwólcie sobie na to odpowiedzieć bajką, reb
Lejb!

Gwir kiwnął głową na znak przyzwolenia.

— Żył raz potężny lew na pustyni, który panował
nad wszystkimi zwierzętami. Otóż, zdarzyło się dnia je-
dnego, że lew ten, uganiając się za zwierzyną, wszedł za
nią do podziemnej pieczary, a że pieczara ta wewnątrz
rozdzielała się na różne małe, lew wkrótce stracił drogę,
zabłąkał się. Napróżno szukał wyjścia i już był blizkim roz-
paczy, gdy ujrzał zdaleka jakieś światelko, a idąc za tą
wskazówką, wkrótce dostał się do niskiego otworu. Lew
długo stał nad tym otworem, rozmyślając, czy jemu, dum-

¹⁾ Jabłko rajskie, używane przez żydów do modlitwy w święto
szłasów, na którym nie powinno być ani jednej plamki. Na wyspie
Korfu rosną one najpiękniej.

nemu królowi zwierząt, wypada zniżyć się tak dalece, by zgiąć kolana dla wydostania się na wolność. Ale czas nagił, głód zaczął mu dokuczać; a więc, chcąc niechcąc, schylił się i na kolanach wysunął z podziemia... Sens moralny (*melica*) ztąd, reb Lejb, że gdzie innej nie ma drogi, i lew czasem schylić się musi...

Reb Lejb uśmiechnął się dobrotliwie. Bajka pogłaskała jego miłość własną i przeto łatwiej może trafiła mu do przekonania.

— Tymczasem mamy święta — rzekł — będzie jeszcze czas do namysłu.

Magid zrozumiał, że jak na teraz konferencja była ukończoną, ale jako baczny spostrzegacz oddalił się, zadowolony ze skutku swej wymowy.

II.

Nazajutrz była *Hoszana Raba*.¹⁾

Dla gospodyni starodawnego a zamożnego domu izraelskiego, dzień ten bywał jednym z ważniejszych w roku; zwyczaj bowiem rozsyłania przysmaków i zapraszania znajomych w ostatnie święta (*Symchas Tora*), nadawał sztuce kucharskiej publiczny niemal charakter. Gwirta, Blima, żona reb Lejba, nie potrzebowała się wprawdzie obawiać współzawodnictwa tutejszych niewiast, ale za to ciążył na niej obowiązek godnego reprezentowania domu, nie w obec miejscowych, ale i przyjezdnych gości, którzy, mówiąc bez przerośnięci, nie z jednego już pieca chleb jedli.

Stały też Gwirta, Blima i córka jej przez całe popołudnie same w kuchni, czuwając nad przygotowaniem potraw świątecznych, i mimo gorąca bijącego z olbrzymiego szabaśnika, własnymi rękami formowały dzioby bab w kształcie ptaków, układały placki z miodem i pierogi z jabłkami w koła, trójkąty, lub owale doskonałe.

Teraz wieczór już zapadł i robota była ukończona.

¹⁾ Piąty dzień wolnych świąt szalasowych, po którym następują znowu uroczyste święta *Szmini Acereth* i *Symchas Tora*.

Mężczyźni modlą się w synagodze, a kobiety, zmieniawszy toaletę, czekają na nich w ogrodowym pawilonie, czyli szałasie (Suko).

Długi stół, biało nakryty i pysznem zastawiony srebrem, zajmuje cały środek szałas, którego ściany aż do samego stropu z zieleni, okrywają karmazynowe, złotem i srebrem przetkane makaty. Wielkie lustro w złożonych ramach odbijają światła licznych świec, w srebrnych kilkoramiennych kandelabrach, które Blima, jako pobożna niewiasta, zapaliła na cześć uroczystego ósmego święta (Schmini-Acereth).

Na sofie spoczywają dwie kobiety, podobne teraz do wschodnich księżniczek w swych strojach z jedwabiów, pereł i brylantów. Starsza z nich, pulchniutka, jasnooka i wcale przystojna jeszcze Blima, nie bez upodobania spogląda na własną swą figurę, powtarzając się w kilku naraz zwierciadłach, często tylko zwracając wzrok czuły na siedzącą obok niej śniadą i wątłą, piętnastoletnią najwyżej dziewczeczkę.

— Opowiem ci sekret, Beluniu, który cię pewnie ucieszy—rzecz teraz matka z uśmiechem. Ojciec dziś napisał do Gdańska po drogie kamienie do takiej samej „bindy“ jak moja. A wiesz dla kogo?

— Nic nie wiem, mamuniu—była obojętna odpowiedź dziewczyny.

— Sprobój-no odgadnąć!

A gdy Bella milczała, Blima, trochę już zniecierpliwiona, dodała:

— Jakżeś niedomyslna!—Dla ciebie, dziecię moje!

— Dla mnie?—pyta dziewczę zdziwione—kiedy panny nie noszą podobnych strojów?..

— Zdaje się, że Belunia moja chyba wiecznie panną

nie zostanie; przy tych słowach matka patrzy nawpół figlarnie na wpół tkliwie w oczy swej córeczki.

— Ale jabym chciała zawsze być przy was, jak teraz.

— Dziecinna jesteś, Belciu—strofowała Blima—alboż my cię kiedy od siebie oddamy? Ojciec sam powiedział, że gdyby kawaler miljony miał i nie chciał przy nas zamieszkać, to nic z tego nie będzie. Wszak tyś jedyną naszą pociechą i nadzieją!—i wzruszona Blima, całując swoją pieszczołkę, łzy miała w oczach.

— Jabym była tak nieszczęśliwą, gdyby mi przyszło was opuścić i żyć między obcymi...

— No, no dzieciaku! nie tak to znowu straszne, jak sobie dziewczęta po większej części wyobrażają. Pamiętam dobrze, że i ja tak kiedyś myślałam; ale gdy ojciec twój po mnie przyjechał, prędko zmieniłam zdanie. Gdzie mąż, tam i dom dla niewiasty. Już trzydzieści lat temu jakieśmy się pobrali, i ani razu jeszcze nie zatęskniłam do Wilna, a będąc tam niedawno, dla odwiedzenia grobu ojca (Kewer-awoth) czułam się w rodzinnem swem mieście osamotnioną, jakby na obczyźnie.

A gdy się Blimie zdawało, że jedynaczka jej się zamysliła, dodała, gładząc ją po delikatnej twarzyczce:

— Nie rób znowu tak smutnej miny, gołąbku mój!. Jesteś, dzięki Bogu, córką wielkiego reb Lejba, majątku ci nie zbraknie, a o wybornego chłopca ojciec się już stara. Nie ma się więc tak bardzo o co troszczyć.

Blima miała słuszość,—jedynaczka jej nie miała się istotnie o co troszczyć, myśląc o przyszłości. Tylko, że jak na teraz, wcale jeszcze o niej nie myślała. Nad głową dziewczęcia wiatr wieczorny szumiał i liście sufitu szeleściły, gwarząc o młodych nadziejach; ale Belunia miała dopiero rok piętnasty i nie rozumiała jeszcze szumu wiatru, ni gwaru liści, a słowa matki o bindzie i wybornym

chłopcu, wydawały jej się dalszym ciągiem bajek starej nianki Hanny, rozповідаjącej szarą godziną o złotowłosym królewiczu, który, jak się okazało, był synem rabina i ożenił się z bogatą kucpówną...

* * *

Ostatnie święta przeszły hucznie. Zauważono, że reb Lejb i żona jego w dobrym byli humorze, i że pierwszy często po obiedzie tajemne miewał konferencje z Magidem. Ztąd powstały domysły o blizkich zaręczynach Beluni, które nabrały pewności, gdy zaraz po świętach Magid wyjechał do Przemyśla w towarzystwie reb Gabryela, rodzzonego stryja Gwira.

Magid i pełnomocnik przez miesiąc byli w drodze, ale wrócili z podpisanym już aktem zaręczyn. Odtąd Bela nosiła na szyi drogocenne perły, przywiezione jako podarunek od nieznanego jeszcze narzeczonego; reb Lejb ze swej strony posłał Eljaszowi (takie było imię kawalera) wysadzany djamentami zegarek; młodzi zaś ludzie widzieć się dopiero mieli, wychodząc z pod baldachimu ślubnego (chupe). Rodzice (mechutonym) byli uszczęśliwieni, słysząc od reb Gabryela o piękności, rozumie i nauce przyszłego zięcia. Czy młodzieniec inne jeszcze posiadał przymioty, czy będzie w stanie zadowolnić serce Beluni—o to, przy tak młodym z obu stron wieku, pytać się nie potrzebowali. Jakżeby Belunia nie miała być zadowoloną z męża, wybranego z pomiędzy tysięcy? Czyż własna jej matka nie w taki sam sposób za mąż wyszła, a pożycie jej z reb Lejbem czyż było przez to mniej wzorowem i szczęśliwem? Sama Belunia, jakieśmy widzieli, mało jeszcze myślała o przyszłym towarzyszku. Pewna, że nie opuści domu rodziców, dziecko-dziewica spokojnem okiem patrzyła na

bliską zmianę stanu, z którą tak mało zmienić się miało w dotychczasowem jej życiu. Wszak i po ślubie młoda para jeść miała przy stole reb Lejba (kost), zostawić ojcu zarząd swego majątku, i podczas, gdy młody mąż kontynuować będzie studja swe, towarzyszka jego, jak dotąd, pomagać będzie matce w domowych zatrudnieniach.

Ślub odłożono na rok jeden tylko, bo Gwirowi pilno było ujrzeć u siebie tak dawno upragnionego zięcia, a czas ten prędko upłynął na różnorodnych przygotowaniach do wyprawy i wielkiej uroczystości weselnej. Krawcy i kuśmierze w domu szyli ciężkie racimorowe, adamaszkowe i złotem tkane jubki i futra, do których materiał oddawna już leżał przygotowany; szwaczki krajały cienkie holenderskie płótna; złotnicy oprawiali długie kolczyki i kolje; haftarki pracowały nad wykończeniem djademu (stern-tuch), i na czarnem aksamitnem tle rozsypywały wprawna ręką wielką ilość pereł i djamentów, wyszywały brokatne żaboty (brust-tuch) i szerokie tiulowe fartuchy w desenie i kwiaty misterne. Blima ledwo podolać mogła wszystkim obowiązkom ciężącym teraz na głowie matki (*mechutenesty*) nie mówiąc już o konfiturach i tortach, do których umyślnie sprowadzono cukierniczkę, i o nadzorze nad robotnikami i robotnicami, pracującymi za domem nad dostarczaniem rozmaitych innych potrzeb.

Im bardziej się zbliżał dzień uroczysty, tem gorętszem wszystko kipiało życiem. Już w ostatnim tygodniu wysłani jezdcy kursowali na drodze z Przemyśla do naszego miasteczka; przy wielkiej bowiem trudności komunikacji ówczesnej, zwłaszcza w jesieni, nigdy nie można było być zanadto pewnym, że się stanie na umówiony termin. A że zwyczaj wymagał, aby pan młody przyjechał na miejsce ślubu w sam dzień uroczystości, podróżni więc oznajmiali o sobie z noclegów oczekującym ich kolligatom.

Mieszkanie dla pana młodego reb Lejb kazał przygotować na drugim końcu rynku.

Znakomitych gości sproszonych na wesele, umieszczono u różnych znajomych, a obowiązek zaopatrywania tychże we wszystkie potrzeby, przy takim rozproszeniu, stawał się arcy-trudnym. Serwery (rodzaj garsonów), posługacze i posługaczki, ciągle się uwijali z zawiniątkami i pakami, odprowadzani przez tłumy ciekawej gawiedzi; ubodzy szykowali się na sutą biesiadę, którą im wyprawić miano, słowem—całe miasteczko w gorączkowym usposobieniu oczekiwało dnia pierwszego Listopada, (roszchodosz Cheszwan), mającego w rocznikach jego tak ważną stanowić epokę.

Nadszedł nareszcie ów upragniony poranek. Dzień obiecywał być pogodnym. Lekki przymrozek osuszył plac rynkowy, gdzie od samego świtu kilka powozów przysłanych od okolicznej szlachty, stało, czekając rozkazów reb Lejba. Niebawem też ostatni kurjer oznajmił, że spodziewani goście nadjeżdżają, poczem Gwir i najznakomitsi z krewnych i obcych gości, wsiedli do powozów, i cała ta strojna kawalkata wyruszyła na spotkanie pana młodego.

Blima pozostała w domu weselnym, dokąd od godziny jedenastej sproszone dziewczęta schodzić się już zaczęły. W znanym nam już paradnym pokoju Gwirostwa siedziała na honorowem miejscu Belunia, a na około niej ze dwadzieścia może rówienniczek. Panna młoda nie przedstawiała się wcale korzystnie. Wysoka, wiotka jej postać była naprzód pochyłona, jakby pod ciężarem drogich kamieni i łańcuchów, a nierozwinięte jeszcze formy kibici, więzione w krótkim i opiętym staniku o przystających rękawach, zdradzały niezgrabność, często szpecącą piękne nawet podlotki; bladość śniadej cery odbijała zielonkawato od jasnokarmazynowego koloru sukni, a nos wydawał się za wiel-

kim w proporcji do reszty rysów drobnej twarzyczki, której brakowało jeszcze owej pełności, czyniącej owal młodości tak powabnym. Górna wprawdzie część twarzy była bez zarzutu, ale nieumiejętnie czesane krucze włosy, przystawając do pięknego czoła, do połowy je zakrywały, i chyba tylko cudne czarne oczy o tęsknem, marzącem spojrzeniu, wynagrodzić mogły brak ogólnej w rysach harmonji.

Muzyka zagrzmiała. Blima zaprowadziła pannę młodą do każdej z dziewcząt, by je zaprosić do honorowego tańca, właściwie tylko przechadzki na około pokoju; poczem dziewczęta, ośmielone już i zachęczone przez gospodynię, same oddały się tańcom z całą swobodą swego wieku.

Właśnie zabawa szła w najlepsze, gdy wysłany na zwiady Mordko wpadł zadyszany z wiadomością, że jedzie pan młody. Tańce tedy ustały i zabrano się do uszykowania oczepin (bedekens).

Teraz dopiero pokój prawdziwie uroczyste przybrał wejrzenie. Zapalono wszystkie świece w srebrnych pająkach i świecznikach; panna młoda usiadła na samym środku pokoju, oparta na poduszkach ze złotogłowiu, i otoczona stojącemi w półkole dziewczętami, które, płacząc, rozplatały długie jej włosy. Dwie druchny stanęły przed nią z tacą, na której leżała ciężka zasłona i chmiel.

Orkiestra grała smętne melodje, a w przestankach improwizator (badchen) deklamował:

Jak oicho się rozwija cudny kwiat Saronu,
Wzrasta w cieniu u matki dziewica Syonu;
Aż przychodzi młodzieniec z złocistą zasłoną:
„Bądź mi podług praw Izraela wierną żoną!”

Rosną na górach Jehudy winne macice,
Mamy w szlachetnych rodach pobożne dziewice;

Z owoców winnicy miłe Bogu ofiary—
Z łona dziewicy powstaną mężowie wiary.

Dzisiaj dla ciebie, Bello, nastał dzień sądenia,
W rękę Boga ważą się szale przeznaczenia;
Dziś sprawiedliwi przodkowie z niebios wyżyny
Błagają Stwórcę o pomysłność rodziny.

Kto łzami zasieje, ten z radością plon zbierze;
Nieś-że, o dziewczyno, łzy obfite w ofierze,
Aby gałązka ta szczepu w dąb się rozrosła,
Cnotę i naukę aby w gniazdo to wniosła!

I patrz w przyszłość swoją z tą wiarą i nadzieją,
Że uproszone na ciebie łaski się zleją.
Powcdzeniem ucieszysz dostojną drużynę,
A teraz idź do ślubu w szczęśliwą godzinę!..

Przy ostatnich słowach improwizatora, drzwi roztwar-
ły się na rozcież i wszystkie oczy zwróciły się na młodzia-
na, idącego na czele mężczyzn. Był to pan młody. Wy-
glądał na lat osmnaście, wzrostu był więcej niż średniego,
a zgrabnie skrojona atłasowa kapota doskonale uwydatniała
silnie zbudowaną i szykowną zarazem postać, na której nie
znać było wcale skutków ciągłego schylania się nad księgą.
Włosy jasne, jedwabiste, długie i bujne, zamiast formowa-
nia długich loków, zarzucone były w tył głowy, co połą-
czone z pewnem spójrzeniem ciemno szafirowych oczu
i energicznym zakrojem ust, ozdobionych już meszkiem ro-
dzącego się wąsa, nadawało prześlicznej twarzy wyraz śmia-
łości i swobody, niezwykle u młodzieńców żydowskich.

Pan młody ciekawem okiem objął niewieście zgroma-
dzenie, zatrzymując je na siedzącej w pośrodku Belli. Gło-
wa jednak panny młodej była pochyloną, rozplecione wło-

sy zupełnie twarz jej zasłaniały, a nadto, trzymała jeszcze chustkę przy oczach.

Piękny młodzieniec przybliżył się powolnym krokiem, wziął z tacy zasłonę i położył ją na głowie Belli, poczem rabin rzucił na nią garść chmielu.

Po pobłogosławieniu państwa młodych przez rodziców i ciotkę narzeczonego, mężczyźni z muzyką i pochodniami zaprowadzili oblubieńca do wielkiej synagogi, potem wrócili po Belunię, którą niewiasty, oprowadziwszy siedm razy na około, postawili pod „chupą” tuż obok Eljasza.

Ile tylko miasteczko mieściło w sobie mieszkańców, wszyscy, żydzi i chrześcijanie, zbici w jedną czarną masę, oblegli teraz plac przed synagogą, a szczęśliwcy, którzy potrafili wdrzeć się do przedsionka świątyni, ujrzeli baldachim z pąsowej materji, i mogli podziwiać stojącego pod nim bohatera dnia, ubranego w elkową czapkę i drogic futro, z którego wyglądał srebrzysty kołnierz śmiertelnej koszuli (kitel).

Rabin pobłogosławił kielich z winem i podał go ślubującym, którzy w nim usta swe umoczyli. Przeczytano na głos akt ślubny (kesuba), i pan młody włożył obrączkę na palec panny młodej, mówiąc: „Bądź mi poświęconą tym pierścieniem, podług praw Mojżesza i Izraela!“, potem nogą stłukł podłożoną mu na ten cel szklanekę. Kantor zaśpiewał piękny hymn o braterstwie, przyjaźni i miłości, i dwoje ludzi, którzy dotąd wzajemnie twarzyć swej nie widzieli, stali się mężem i żoną, i jako tacy, prowadząc się za rękę, wrócili do domu Gwira.

Noc tymczasem zapadła, a rozliczne pochodnie, niesione przez orszak ślubny, jak i zapalone kagańce ustawione po drodze, rzucały jaskrawy blask na pochód godowy. Dygoczące na ulicy kobiety, blask ich djademów i jaskrawych jubek, białe brody starców, surowe i wyraziste obli-

cza mężów w spiczastych czapkach, krzyki tłumu, łączące się z ogłuszającym hukiem bębnow, dźwiękami cymbałów i trąb, wszystko to stanowiło całość fantastyczną, ale dziwnie zarazem wspaniałą.

Na progu weselnego domu, stara Hanna, niańka Belli, przyjęła nowożeńców pszennym kołaczem, potem odprowadzono ich do przeznaczonego dla nich pokoju.

Bella i Eljasz pozostali sami. Pierwsza ciągle miała na głowie zasłonę, odgarniętą tylko przez Blimę od twarzy i oczu. Młody małżonek, spojrzawszy na żonę zbladł — wyraz rozczarowania ściągnął piękne jego rysy.

Twarzyczka Belli, wycieńczona całodziennym postem i fatywą, oczy czerwone i nabrzękle od płaczu, widocznie przykre na nim robiły wrażenie. Przewycięzył się jednak i spróbował przemówić kilka słów; ale młoda kobieta, na dźwięk tego obcego głosu, zadrżała tylko nerwowo i nie podnosząc wzroku, odsunęła się instynktowo, jak spłoszona gołębica.

Położenie stawało się coraz kłopotliwszem, szczególnie dla młodzieńca, w którego oku mignęło coś w rodzaju gniewu, czy politowania...

Na szczęście, serwer wniósł teraz zupeł dla państwa młodych, a niedługo po nim Blima i mąż jej zjawili się, by zabrać córkę i zięcia do czekających na nich gości.

Nastąpiła suta uczta. Eljasza usadowiono tuż obok rabina, a za nimi resztę mężczyzn podług wieku i dostojności. Dla kobiet nakryto w osobnym pokoju, i tu Belunia usiadła obok rabinowej.

Po pierwszych daniach, Eljasz wystąpił z uczoną mową, ułożoną jeszcze w domu przez krewnych jego i nauczycieli. Potem improwizator wymienił na głos podarunki ślubne, a na końcu kantor wraz z chórem zaśpiewali różne trele na cześć każdego z zaproszonych.

Dopiero przy siedmiorakiem błogosławieństwie (Sze-wa-Berachoth) Bellę zawołano do męskiego pokoju, a gdy wstano od stołu, serwer podał jej do ręki jeden róg jedwabnej chusteczki, którego drugi koniec trzymał rabin. Tak kilka razy przeszli pokój przy odgłosie muzyki. Po rabinie inni po kolei dostawali do ręki chusteczkę. Tym sposobem pobożni żydzi godzili przepis talmudystów bawienia oblubienicy, z surowym obyczajem niedotykania ręki obcej niewiasty. Sam nawet nowożeniec za pośrednictwem tylko chusteczki tańczył z zaślubioną sobie kobietą, podczas gdy improwizator, to czystą hebrajszczyzną głosił ich pochwały obecnym, to rozmaitemi facecjami i skokami bawił zebranych.

— Daj wam Pan Bóg wkrótce doczekać wnuka, to nas znowu poczęstujecie!— Tem zwykłem w takim razie podziękowaniem, nasyceni i napojeni goście nadedniem dopiero opuścili dom wielkiego reb Lejba Gwira.

III.

Zima, która nastąpiła po zameźciu Belli, należała do najpomysłniejszych dla miasteczka. Urodzaj w kraju, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętali, i wysokie przytem ceny zagraniczne, ożywiły handel zbożowy w niezwykle sposób. Co kilka dni kute kufarki, srebrną naładowane monetą, wędrowały z kantoru reb Lejba do szkatuł okolicznych obywateli, w zamian za zboże, lub drzewo dostawione, czy dostawić się mające. Szlachta ze swej strony, nie dawała wcale rdzawieć kosztownemu kruszcowi, przez co potok zamożności szeroko się rozlewał po miasteczku, tak, że poczawszy od właścicieli garkuchni i winiarni, marzących o kamienicach, aż do ubogich flisów i faktorów, rozkoszujących się widokiem obowią swej bosonogiej dotąd działwy, każdy miał swój udział w błogosławieństwie matki ziemi.

Główną zaś sprężyną tego ruchu był, jakieśmy już nadmienili, kantor Gwira.

Oblężony literalnie przez interesantów różnego stanu i wyznania, reb Lejb nie mógł już z dotychczasowym swym buchhalterem, reb Fajwlem, wydołać nawałowi pracy; widział się zmuszonemu przyjąć drugiego pomocnika w osobie Akiwy, znanego powszechnie pod imieniem „Akiwy

pisarza“. Mówimy „zmuszonym“ gdyż Gwir, który doniczych zdolności, krom własnych, nie miał zaufania, w ogóle nie lubił pomocników, a prócz tego, osobiste jeszcze miał powody niechęci ku nowemu pisarzowi.

Akiwa uchodził w miasteczku za człowieka złośliwego, bezbożnego; w młodości swej dawał nawet powody publicznego zgorzenia. Reb Lejb wiedział o tem, z nietajonym wstrętem patrzył na zaniedbaną powierzchowność, i znosił zuchwały sposób odzywiania się swego podwładnego. Konieczność jednak zniewalała do używania Akiwy, jako jedyne go w miasteczku indywiduum, zdolnego do należytego prowadzenia korespondencji w języku krajowym, bez której bogaty kupiec, przy obecnym rozwoju handlowych swych stosunków, żadną miarą obejść się już nie mógł.

W kantorze znajdowali się, oprócz Gwira, buchhalter reb Fajwel i nowy pomocnik.

Ostatniego już znany, o pierwszym niewiele więcej da się powiedzieć nad to, że za przykładem pryncypała i dla honoru domu, bardzo także dbał o zewnętrzną swą osobę. Rażącą z nim sprzeczność przedstawiał Akiwa.

Małego wzrostu i mocno z jednej strony przygarbiony, pisarz ubrany był w dymkową kapotę, świecąca się od długiego używania, na łokciach trochę nawet obszarpaną, i dziurawy pas siatkowy, za którym tkwiła czerwona i zatabaczona chustka do nosa.

Broda spiczasta w nieładzie, włosy niegdy czarne, teraz mocno już siwizną przypruszone, i również jak zrudziała jarmulka noszące ślady częstego otarcia o nie pióra, czoło wysokie, zdradzające niezwykłą inteligencję, lecz żółte i przedwczesnemi okryte zmarszczkami, oczy duże, ciemne, zapadłe od trosk, czy długiego czuwania nocnego, i dziwnym gorejące ogniem,—oto, co na pierwszy rzut oka



przedstawiał ów osławiony Akiwa, czytający teraz na głos świeżo nadeszłe listy, treści których reb Lejb, przechadzając się z założonemi w tył rękami, słucha z uwagą.

— Kasztelan żąda po dwanaście złotych za korzec pszenicy—spytał Akiwa—cóż mam odpisać?

— Że daję jedenastcie, bo tak wszystkim płacę—była odpowiedź.

— Pan Borzęcki ofiaruje tysiąc korcy.

— Z panem Borzęckim targu nie ma. Napisać, że jak zawsze, zgodzimy się co do ceny gdy przyjedzie do miasteczka. Tylko grzecznie i nie zapominać na końcu listu dodać, że polecam się łaskawym względom Jaśnie Wielmożnego i do nóg upadam uniżenie.

— A tu jest list od hrabiego S.,—ma cztery tysiące korcy i żąda po trzynaście.

— To śliczny gatunek. Napisać, że przysłę Fajwła z pieniędzmi, i proszę, aby hrabia kazał przygotować furmanki.

— Mamy już dwadzieścia i pięć tysięcy korcy—odezwał się pisarz z akcentem przestrogi.

— Z Boską pomocą dojdziemy do czterdziestu tysięcy—odpowiedział niedbale pryncypał.

— Ryzyko wielkie...

Reb Lejb uśmiechnął się pogardliwie na te słowa nowicjusza, a reb Fajwel odpowiedział:

— Ryzyko płacić po jedenastcie i trzynaście złotych za korzec pięknej pszenicy?!...

— Koszta splawu...

— Dochodzą zaledwo do czterech złotych na korcu.

— Jak jest woda na Wiśle, a jak jej zbraknie?..

Reb Lejb spojrział już gniewnie na wtrącającego się niepotrzebnie Akiwę.

— Dzięki Bogu, ceny są dosyć wysokie w Gdańsku,

i pewnie się jeszcze podniosą na lato—odpowiedział reb Fajwel z wyższością.

— Ale mogą i spaść...

Reb Lejb zatrząsł się, jakby go zmija ukąsiła.

— Nie otwieraj ust swych do złego!—rzekł surowo.

— Nie bójcie się, reb Lejb! Wiecie dobrze, że nie należę do ludzi pobożnych, których słowa od razu notują się w Niebie...

— Można czasem wymówić w złą godzinę — wtrącił reb Fajwel.

— Szczęśliwy to ludek, ci pobożni!—zaśmiał się Akiwa. We wszystko wierzą, nawet w skutek słów takiego jak ja biedaka...

Ton ironiczny, z jakim słowa te były wymówione, do żywego ubodły reb Lejba.

— Za to ty, Akiwo, w samego nawet Boga nie wierzysz—rzekł z pogardą.

— Kto wie, może i wierzę. Ponieważ mi jednak za to nie płacie, zamiast więc spowiadać się ze swoich przekonań, wolę wam radzić w interesach.

— Niczyjej rady nie potrzebuję, a tem mniej twojej—ofuknął go pryncypał.

— Owszem, moim obowiązkiem...

— Twoim obowiązkiem jest robić co ja każę i—milczeć, rozumiesz?—przerwał mu reb Lejb, którego brwi, groźnie ściągnięte, zapowiadały burzę.

Rumieniec wystąpił na wychudłe policzki pisarza; usłuchał jednak i zabrał się do pisania. Ale dyktujący mu kupiec, rozdrażniony jeszcze słowami, a więcej może jeszcze sarkastycznym uśmiechem Akiwy, bynajmniej mu tej pracy nie ułatwiał. Co chwilę miał coś do zganienia: to styl nie był dosyć jasnym, to zbyt przesadzony pokorą, i t. p.

Była już godzina czwarta po południu, gdy Akiwa ukończywszy na dziś swoją pracę, udał się do domu na objad. Deszcz lał jak z cebra, i na dworze zupełna już panowała ciemność. Akiwa, opuściwszy rynek, skierował swe kroki ku uliczce, od znajdującej się wśród niej starożytnej synagogi zwanej „bóżniczą” i zamieszkaną przez samą ubogą ludność żydowską.

Jesień była wczesną i śnieżną tego roku; ale na końcu lutego obfite deszcze zdawały się już wiosnę zwiastować. Gdy więc rynek i część miasteczka leżące na pagórku, jako tako jeszcze przystępnymi były dla przechodniów, na uliczkę bóżniczą, posuniętą niżej ku rzece, topniejące masy śniegu zewsząd spływały, i zmiękczając gliniasty grunt, tworzyły gęste, nieprzebyte prawie błoto. Jedynym teraz środkiem komunikacji były rzucone od jednego domu do drugiego kładki drewniane; ale te się teraz wsunęły w masę błotnistą, i trudno je było rozróżnić wśród ciemności. Akiwa zdawał się być przyzwyczajonym do tej drogi, i choć zmoczony na wskroś kaftan lśnił się jak atlas, on spokojnie, grubym kijem który trzymał w ręku, szukał owych ukrytych wśród błota desek zbawienia.

Tak doszedł aż do sklepiku, mieszczącego się w jednym z małych, na wpół zwalonych domków, który niczem się nie różnił od innych tego rodzaju kramików żydowskich. Były tu najróżnorodniejsze towary, od siana i smoły, aż do garnków, śledzi i soli. U wilgotnego pułapu rozwieszane były z jednej strony sznury z łojowemi świeczkami, a z drugiej—mikroskopijne obwarzanki, służące raczej za zabawę, niż za pokarm dla dzieci. Przepierzenie z desek tworzyło w tyle sklepiku alkierz mieszkalny, którego sprzęty zdradzały nietylko ubóstwo, ale i najwyższe zaniedbanie. W glinianym piecyku palił się teraz ogień; przy nim, skulona w kłębek, siedziała na ziemi stara ko-

bieta, a z pod watowanego jej czepka, oblamowanego popielatym futrem, wyglądały pospolite rysy zwiędłej i stro-skanej twarzy.

Kobieta na widok wchodzącego ledwo się odwróciła; dał się tylko słyszeć ostry jej głos:

— Cóż to, na ciebie lato, czy co, Akiwo, żeś drzwi otworzył na rozcież?

Akiwa, nie zrażony tem przyjęciem, odwrócił się i drzwi, które zostawił otwartemi, zamknął w milczeniu. Potem zdjął zmoczone ubranie, owinął się w stary jakiś chałat, i usiadł na ławie koło stołu.

— Dałabys mi co zjeść, Ryfko, głodny jestem,—mruknął po chwili.

Ryfka wstała, wyjęła z pieca spory garnek, i dodawszy doń drewnianą łyżkę, postawiła przed mężem.

— Co tu masz, kartofle?—spytał Akiwa, zaglądając do garnka.

— A może ci co lepszego przygotować, he?—nawzajem zapytała kobieta opryskliwie. Za pieniądze, które mi dajesz, żyć też można pieczenią...

— Mniejsza o pieczeń—odrzekł Akiwa obojętnie.— Cóż to zresztą za różnica, czem człowiek żyje? Czy zje pieczeń, czy kartofle, zawsze po to tylko je, aby mógł pracować, a pracuje, aby miał za co jeść. Wzniosły naprawdę cel—dodał po cichu,—warto się też było na świat narodzić...

— Przed tygodniem jeszcze miałeś odebrać od Gwira kwartalną pensję, a ja dotąd grosza na oczy nie widziałam.

Na wspomnienie pensji, zakłopotanie uwydatniło się na twarzy Akiwy.

— Pensja?.. A tak, przypominam sobie. Ale bo widzisz, Ryfko, będziesz się chyba musiała bez tego obejść.

— Co ty mówisz? Obejść się bez pensji?—krzyknęła kobieta.

— Wszak dotąd zawsześmy się bez niej obchodzili?

— To też jeden tylko Pan Bóg wie, jakim sposobem dotąd nie umarłam z głodu, wraz z dziećmi. Horowałam jak koń i żyłam gorzej niż pies na barłogu. Ale teraz dostałeś się na posadę do bogatego kupca i spodziewałam się, że choćby na stare lata trochę odpocznę... No, dajże już, daj te dziesięć dukatów od Gwira, bo mi potrzebne,— nalegała kobieta, wyciągając rękę.

— Niestety, musisz się po nich pocieszyć...

— Jak-to? Nie odebrałeś pensji?

— Owszem, odebrałem.

— A gdzież pieniądze?

— Wydałem je co do grosza.

Ryfka złapała się za głowę.

— Na co, na Boga?

— Trafiła mi się właśnie okazja do Gdańska i zapisałem sobie ztamtąd świeże książki—odpowiedział Akiwa pokornie.

— Czyś oszalał? Dziesięć dukatów na szpargały, kiedy już ich masz pełną skrzynię?

— Ale, tych właśnie nie mam.

Niewielka doza cierpliwości, którą Ryfka rozporządzała, wyczerpała się po tej lakonicznej odpowiedzi zupełnie.

— Ależ to gorzej, niż tracić pieniądze w szynku—krzyknęła, załamując ręce.

— Nie, Ryfko, na to się nie zgadzam. Zawsze moje pijaństwo ciche i nikomu nie zawadza.

— Już wolałabym sto razy pijaka, aniżeli takiego, jak ty, bezbożnika i marnotrawcę!—zawołała rozwścieczona do najwyższego stopnia kobieta.

— Co robić? Nie wszystkim dano mieć to, co wola...

Ryfka rzuciła się jeszcze, groziła, przeklinała w najokropniejszy sposób, i dopiero gdy jej tchu zabrakło, cofnęła się do sklepiku, zostawiając przeciwnika samego w alkierzu.

Objad tymczasem ostygł, ale Akiwa już nie czuł głodu.

— Ma słuszość Ryfka—pomyślał z goryczą—że wolałaby pijaka. Gdybym wracał do domu zataczając się, i w dodatku zbił ją należyście, miałaby przynajmniej tę satysfakcję, że zrozumiałaby jasno swe położenie. Ludzie zwykle przekładają nieszczęście, które zrozumieć potrafią.

A nie jestże to także rodzajem pijaństwa?..

Czyż książki mnie jeszcze zadawałnają? Czy w nich znalazłem owe wytłumaczenie zagadki bytu, którego tak mozolnie szukałem? A jednak, obejść się bez nich nie mogę, i gdyby mi wzięli z przed ust i tę odurzającą czarę, zginałbym może marnie, jak ginie nałogowy pijak, któremu nagle trującego zbraknie napoju!..

Tak rozmyślał Akiwa, siedząc nad garnkiem z zimnemi kartofflami, a my tymczasem rzućmy okiem na przeszłe jego życie, które nam może niejedno w jego mowie i postępowaniu wyjaśni. Akiwa był rodem z miasteczka i synem ubogiego niegdyś szewca. Oddany jak wszystkie dzieci żydowskie, do szkółki elementarnej (cheder), wczesnie już zwrócił na siebie uwagę niezwykłemi swemi zdolnościami, i ojciec, zamiast brać go do warsztatu, pozwolił mu uczyćszczać na dalsze studia do uczelni. Gdy bachur (młodzieniec) liczył rok szesnasty, zamożny jeden faktor rzucił nań okiem i oświadczył się z chęcią wydania za niego swej córki. Wprawdzie panna była brzydką i o jakie dziesięć lat starszą od kawalera, ale za to ojciec jej deklarował utrzymywać młodą parę i ich potomstwo, póki on, fa-

ktor, tylko żyć będzie. Widoki tak świetne nagradzały zupełnie brak młodości i wdzięków w oczach starego szewca, ojca Akiwy, i z chęcią zgodził się na zaręczyny, po których niebawem nastąpiło wesele. Po ślubie, Akiwa, mając sobie przez teścia zapewniony wikt i mieszkanie, z większą jeszcze gorliwością oddał się nauce, która, według mniemania ogółu, do rabinicznego kiedyś doprowadzić go miała krzesła.

Los jednak zrządził inaczej. Mówiliśmy już, że teść Akiwy był faktorem; teraz dodamy tylko, że specjalnością jego było załatwianie sprawunków dla OO. Jezuitów, których klasztor do roku 1773 istniał w miasteczku. *Pocziwy* Aronek, jak go wielebni zwali, oddany był całą duszą usługom swych księży, targował się dla nich godzinami całemi po sklepach, klócił się z krawcem o pół łokcia sukna, gdy tenże kazał sobie dać na nowy habit więcej niż było potrzeba, śpieszył po śniegu i zawiei z listami do rodzzeństwa i przyjaciół, słowem—był prawdziwym starej daty faktorem. Nawzajem wielebni żywy brali udział w losach Aronka i jego rodziny, dawali zapomogi na *brys* lub *maseltow* (chrzciny), ile razy nowy członek jego rodu na świat zawitał, i niemało się też przyczynili do wyprawy najstarszej jego córki, znanej nam już Ryfki.

Aronek nie omieszkał pochwalić się przed dobrodziejami z nowego zięcia, a uczony brat Rafał, dobrze znający język hebrajski, udał się nawet raz do domu faktora, by młodego poznać Akiwę. Nie upłynęły jeszcze dwa lata od ożenienia się tego ostatniego, a stosunki z księdzem stanowczy już wpływ wywarły na całe późniejsze jego życie. Uczony teolog, zachwycony bystrością umysłu młodziutkiego talmudysty, wkrótce począł go namawiać do uczenia się polskiego języka i łaciny, sam ofiarując swą pomoc nauczycielską. Z początku Aronek czuł się schle-

bionym upodobaniem, jakie ksiądz dobrodziej znajdował w jego skarbie (tachszyt). Gdy jednak ojciec Rafał zbyt często zaczął zaglądać do siedziby faktora, gdy ten ostatni się dowiedział, że Akiwa czasem sam się wybiera do klasztoru — serce biednego Aronka zadrżało o najkosztowniejszy klejnot każdego żyda, — o tę wiarę ojców, którą Izrael tylokrotnie krwią swoją okupywał. Zabronił więc teraz surowo Akiwie stosunków z księdzem Rafałem — niestety za późno, gdyż młody talmudysta o głębokim i krytycznym rozumie, dawno może pobudzony do rozmyślań nad najwyższymi zagadnieniami życia przez pisma Majmonidesa, przez tajemnicze i pełne obietnic komentarze Aben-Esry, jak i przez mistyczną naukę Kabały, teraz już poczuł w sobie ową niepohamowaną żądzę wiedzy, która łamiąc wszelkie zapory, sama sobie jest środkiem i celem ostatecznym.

Zaczęły się tajemne wycieczki do klasztoru, skutkiem których wieść się rozeszła po miasteczku, że zięć faktora zamysła zmienić religję. Wiadomość ta niweczyła od razu plany i nadzieje biednego Aronka. Gniew, płacz, przekleństwa, wszystko to posypało się na głowę osmnastoletniego wówczas Akiwy, który zrazu przeląkł się skutków swego postępowania, i spróbował nawet wrócić do dawnego życia. Dobra atoli sława jego była już straconą na zawsze, a z nią i widoki przyszłego rabinatu, czy nauczycielstwa. Teść, rozgniewany, przestał dawać utrzymania; żona, której charakter nigdy nie odznaczał się łagodnością, nie dawała spokoju, obwiniając go jako przyczynę niedoli; dawniejsi znajomi go unikali, lub pokazywali nań palcami, prześladując najniemiłosierniej. Akiwa czuł się nieszczęśliwym i pytał sam siebie, czem na to zasłużył? Pytał się zresztą i o wiele innych jeszcze rzeczy, na które teraz dopiero oczy mu się otworzyły. Drzewo bowiem, które raz wystrzeliło ku niebu, nie wraca już więcej do matki-zie-

mi, aż życie zakrzepnie w jego konarach, a umysł ludzki, który raz wybijał i wyrósł po nad codzienną rutynę, nigdy, przenigdy, nie wróci już do bezmyślnego nasładowania drugich, i wiecznie stawiać sobie będzie pytanie: „po co? i dla czego?..“

Odpowiedzi ojca Rafała teraz nie wystarczały już Akiwie. Teologja chrześcijańska, tak samo jak i żydowska nie zadawała tej głowy trzeźwej, domagającej się prawdy bezwzględnej, dla której wszelkie dogmata, czy tradycje, nabierały tylko znaczenia obłonek, mających blask wiekuistego światła uczynić mniej rażącym dla oka prostaczków. Nie nęciły też Akiwy obietnice bogactwa, sławy i zaszczytów, ofiarowywanych mu przez kościół katolicki. Suchy kawał chleba, pęk słomy pod głową, były wówczas dostatecznymi dla człowieka, nie dbającego ani o żonę, ani o dzieci, i znającego jedną tylko potrzebę—*wiedzieć, wiedzieć wszystko*.—Biedna Ryfka założyła sobie przy pomocy rodziców kramik, i teraz sama jedna pracować musiała na nędzne utrzymanie; ale Akiwę mało to obchodziło. Żył jak anachoreta na pustyni, i gdy mu znajomość języka krajowego nastęrczała czasem rzadki i lichy zarobek, latami całemi zbierał pieniądze na łacińskie książki, które sobie potem, za pośrednictwem miejscowych szyprow, z Gdańska zapisywał. Ojca Rafała nie było już w miasteczku. Wkrótce po zapoznaniu się z Akiwą, uczony ksiądz przeniesiony został do stolicy, i nigdy się już potem nie pokazał w dawnym swym klasztorze. Akiwa, nie mając nikogo do porady, książki kupował podług wy czytanych gdzieś przypadkiem tytułów, lub wybrane na chybił trafił przez gdańskiego księgarza. Dzieła takim sposobem nabyte, nie należały naturalnie do najlepszych, ani do najnowszych, i często ciemnym stylem, scholasty-

czną zawiloscią i dłubaniną słów, zamiast rozjaśniać, gmatwały jeszcze bardziej znużone pojęcie samouka.

Na około świat cały wrzał walką, podobną do tej, jaka się odbywała w umyśle Akiwy. We Francji, w Niemczech, a nawet w kraju i między żydami, niesforne duchy burzyły się i miotaly na wsze strony, szukając, to jak Akiwa, prawdy absolutnej, to czystszych form religijnych, to jakichś arkanów szczęścia dla siebie, lub ludzkości. Encyklopedyści i mesmeryści, farmazoni i wskrzeszeni rosenkreuzerowie, mendelsoniści i frankiści, mówili, pisali, dysputowali publicznie; ale żaden odgłos tej wrzawy nie przenikał do tylnego alkierzyka przy ulicy „bóżniczej,” gdzie Akiwa dzień i noc słęczał nad książkami, dawno już przez współczesne mu pokolenie zapomnianemi.

Lat dwadzieścia i pięć przeszły samouczkowi w ten sposób. Ciało jego złamało się i zwiędło, a duch, zamiast, jak zuchwale marzył, dosięgania nadziemskich wyżyn, kurczył się owszem i malak w tych bezowocnych usiłowaniach. Górnik, szukający w łonie ziemi kosztownej żyły kruszczu, twarz ma bladą i oko zamglone, bo blask złota nie zastąpi ożywczych promieni słońca i jasnego sklepienia błękitu, bo samotnie pracującego trapią potworne widziadła i cienie nocy, których słabe światło jego latarki rozproszyć nie zdoła... Samotny też uczony, pozbawiony wszelkiego pola działalności, na któremby wiedzę swą mógł zużytkować, odgradzony od otoczenia całą swoją wyższością intelektualną, odwrócony od jasnej strony życia, od miłości rodziny i współbraci—tracił powoli cudowną energję dążeń i tę wartość etyczną, która z niej wypływa; zewsząd go obsiadły potworne cienie zwątpienia, sobkostwa i cynizmu. Obracając się ciągle sam jeden w błędnem kółku ciemnych systematów i hipotez metafizycznych, nie dziw, że zwątpił nareszcie o wyższem przeznaczeniu człowieka.

Widząc koło siebie tyle złości i głupoty ludzkiej, łatwo przeoczył pojedyncze objawy rozumu i dobroci. Wzgardzony, oplwany, nawzajem znienawidził ten tłum kupczący, lub przezuwający czasem tylko łupiny starej cywilizacji hebrajskiej...

Gdyby Akiwa teraz był przeszedł na łono religji panującej, gdyby doszedł do sławy i znaczenia, błotem by pewnie obrzucał byłych swoich współwyznawców,—pomnożyłby sobą ów szereg osławiony apostatów minionych wieków, którzy najczarniejsze na ród swój i dawnych braci po wierze miotali potwarze...

Jako biedny atoli i żyd, był bezsilnym; pozostawało mu tylko truć się samemu jadem, przez tyle lat we własnej piersi zbieranym, i co najwyżej część jego wylewać w gorzkim szyderstwie nad tem, co przesładowcy jego za najwyższą uważali świętość... Ostatniej tej przyjemności Akiwa bynajmniej sobie nie skąpił, a w miasteczku spoglądano nań za to jako na uosobienie wszelkiego złego; urągano jego biedzie, uważanej za wyraźną karę niebios, i dziwiono się Gwirowi, że takiego grzesznika (Posze) przyjął do swego interesu.— „Pomoc takiego człowieka nie przynosi domowi błogostawieństwa“—powtarzano, potrząsając głowami, na widok nowego pisarza, zasiadającego teraz codzień za biurkiem kantoru reb Lejba.

IV.

W domu Gwira wszystko szło jak najlepiej. Interesa dobrze się zapowiadały, a podczas gdy teść pracował nad gromadzeniem nowych bogactw, zięć i spadkobierca imienia zajmował się studjami, mającemi kiedyś rodowi nowego przysporzyć blasku.

Wiemy już, że reb Lejb, spełniając ślub uczyniony zaraz po narodzeniu się jedynaczki, męża jej przeznaczył na duchownego. Owóż, ślub ten, acz wyjątkową wywołany okolicznością, zgadzał się zupełnie z osobistemi widokami Gwira.

Jest-to wrodzonym człowiekowi, że z chwilą, gdy ustaje potrzeba borykania się z losem o chleb powszedni, budzi się, tak w jednostkach jak i w społeczeństwach całych, pragnienie wielkości mniej lub więcej idealnej, wstępuje w szranki chęć sławy—ambicja.

Wykluczenie z politycznego życia kraju, pogarda, z jaką żydzi—nie mówimy tu o wyjątkach, na których nie zżywało—traktowani byli przez inne stany, ścieśniając zakres ich ambicji, nie zmniejszały wcale potęgi samego uczucia.

Nie mogąc przewodzić w radzie, ani na wojnie, za-możniejsi żydzi, wrodzone pragnienie wielkości zwracali na

jedynie dostępne im pole—godności gminnych i nauki judaistycznej. Dorobkiewiczze starali się zwykle różnemi sposobami o urząd kahalnego, i tytuł „Wasza cześć“ ¹⁾ bywał szczytem ich marzeń. Sumienniejszych, czy bardziej delikatnego uczucia Mejuchesów, władza ściągania podatków i kontrybucji, oraz lokowania wojska po kwartarach, bynajmniej nie pociągała. Za to mieć syna lub zięcia znakomitego rabina i autora wiekopomnych dzieł kazuistycznych, bywało dla nich przedmiotem takichże zabiegów, jak dla szlachty starostwa, kasztelanje, a nawet i buława hetmańska. Zaprawiano też chłopców od pierwszego zaraz dzieciństwa do subtelności naukowych, do rozpraw i kontrowersji, któreby gdzieindziej zaledwo dojrzałemu umysłowi przystępnemi być mogły; trzymano ich zdala od wszelkich ćwiczeń ciała,—uważano szablę i konia bodaj czy nie tak samo, jak stan rycerski łokieć i kwartę. „Nauka osłabia siły“ (Tore matysz koach) —powtarzano; a więc wiotka figura i blada cera stały się u młodzieńca znamieniem dystynkcyj rodowej; słowem *meguszem* (materjalny, cielesny) oznaczano najwyższy stopień brzydoty, gdy *ruchnijoth* (uduchowienie, eteryczność) największy miała urok. Tak mało jak siłę fizyczną, ceniono też i mężką odwagę. Na cóżby się siła fizyczna i odwaga przydać mogły żydowi, który sprytowi tylko i potulności zawdzięczał możność istnienia wśród samowolnej szlachty i wrogiego mieszczaństwa?..

Reb Lejb, jako człowiek tak poczetne w swoim świecie zajmujący stanowisko, gorąco pragnął, aby zięć jego, doskonaląc się w teologii, mógł z czasem stać się powagą

¹⁾ Tak do dziś dnia gmin żydowski tytułuje osoby, zajmujące wybitniejsze stanowisko w gminie.

naukową, światłem i sławą późnych jeszcze pokoleń. Przewodnika na tej drodze sam wybrał dla Eljasza w osobie jednego z rezydentów i dalekiego krewnego. Reb Samson był to mąż wielkiej pobożności i erudycji, który co dwa lata przewertowywał wszystkie księgi Talmudu, i na cześć ukończenia tej olbrzymiej pracy wyprawiał, rozumie się kosztem reb Lejba, wielką ucztę (Syjum); słowem, była to „biblioteka pełna ksiąg“ (cane mole safro), jak się o nim wyrażano w obrazowym stylu hebrajskim. Magid wprawdzie nazywał go „osłem obarczonym księgami“ (chamor nose sefarym), ale czynił to po cichu, i nie przeszkadzało mu to bynajmniej do uczestniczenia w biesiadach syjumowych i wypijania dobrego wina za zdrowie uczonego solenizanta.

Stosunek Eljasza do młodej żony, reb Lejb znajdował zupełnie zadawalniającym, a jeżeli Bliuna zwracała uwagę, że małżeństwo za mało się zdaje zajmować sobą, odpowiadał: „tak właśnie być powinno!”.

Serce matki jednak nie tak łatwo się zadawalało.

— Alboż to grzechem, gdy mąż i żona się kochają?—pytała—alboż to pobożnym ludziom nie wolno mieć miłości w sercu?

— Wolno mieć miłość w sercu, ale okazywać ją nazewnątrz—nie przystoi uczonemu i przyszłemu rabinowi. „Skromny do raj, a bezwstydn do piekła”—mawiali ojcowie nasi.

Twierdząc tak, reb Lejb stał na gruncie tak religijnym, jak i krajowo-obyczajowym swej epoki. Mimo bowiem odosobnienia społecznego, do którego z początku zmuszało izraelitów uposledzone ich, wśród wielkiej polskiej rodziny, położenie, mimo wprost przeciwnych zajęć i upodobań—wiele się w domowym ich życiu, bezwiednie prawie, zwyczajów i obyczajów narodowych przyjęło. Ale, jak przez

grube mury gmachów starożytnych atmosfera zewnętrzna powoli tylko przenika, i często w środku chłód jeszcze ranny panuje, gdy na dworze słońce ze swego zenitu pola i łąny ogrzewa, tak przez zapory wzajemnych przesądów i uprzedzeń, wpływ otaczającego świata powoli tylko się rozpościerał, i życie żydów przedstawiało spóźnione odbicie minionych raczej czasów, aniżeli tych, wśród których narodzić się i żyć im było danem. Odróżniali się oni zawsze obyczajem i ubiorem, ale najbardziej od współczesnych. Zamożny kupiec żydowski z końca ośmnastego wieku, ubierał się i wiódł życie, pod wielu względami podobne niemal do życia polskiego szlachcica z szesnastego i siedemnaastego wieku. Usunięty od areny politycznej, potrafił sobie w sprawach gminnych utworzyć miniaturowy obraz gorących pragnień, zjadliwych walk i bezmiernych dążeń do władzy naśladowanych przez siebie magnatów. Zebrania kahalne (asyfos) burzliwością swoją były tylko karykaturą sejmików szlacheckich; kandydat zaś na *Parnessa*, czy Głowę kahału, tak samo wódką i gęsiną kupował podpisy i kije na stronnictwo przeciwnika, jak dawny możnowładca biesiadą i kielichem — głośy i szable swoich adherentów.

Kosztowne futra, ałasowe żupany, delje i bekiesze, szerokie pasy, czapki sobolowe na głowach ogolonych u mężczyzn, drogocenne bindy i kanaki, złotem tkane jubki i załóżki, haftowane fartuchy i merynosowe w kwiaty czepeczki u kobiet — wszystko to, wśród po większej części zfrancuziałych i zniemczających już ubiorów szlachty i mieszczaństwa, dawno ubiegłe czasy przypominało. W łonie rodziny izraelskiej, patryarchalna władza ojcowska dotąd w całej średniowiecznej panowała grozie, i zdarzało się, że żonatyh i dietnych już synów na ławie rozciągnięto. Małżonkowie kochali się bodaj czy nie szczerzej od dzi-

siejszych; ale objawy czułości w obec drugich uważano za uwłaczające powadze mężczyzny i uszanowaniu winnemu cnej białogłowie, jako matce szlachetnego rodu...

Mężowie zajmowali się kupiectwem, lub nauką zakonu, kobiety, z wyjątkiem tych, które w interesach zastępowały uczonych małżonków—gospodarstwem, pobożnemi praktykami, kądzielą, lub krosienką. W zimie, czytanie biblii, lub moralnego dzieła Aboaba (Menorath-Hamoar) w tłómaczeniu, zastępowało u niewiast suszenie owoców i smażenie konfitur. Dnie mijaly jednostajnie, przerywane tylko przygotowaniami na święta, lub przyjazdem jakiegoś gościa, który przy stole dysputował z mężczyznami, ale rzadko kiedy opowiadał coś takiego, coby i niewiasty zainteresować mogło. Życie domowe dwóch płci, choć żadnym wyraźnym nie rozdzielone rygorem, miało swoje odmiennie centra, koło których się obracało, a każde z nich zupełnie osobnem i sobie tylko właściwem płynęło ko-rytem.

Belunja, córka reb Lejba, acz pieszczona jedynaczka, od najmłodszych zaraz lat przyzwyczajoną była do bezwarunkowego posłuszeństwa rodzicom, i wiedziała, że dziewczęta żydowskie zaręczają się i wychodzą za mąż, tak samo jak się rodzą i umierają, bez udziału swej woli. Nie skarżyła się też potem na brak czułości ze strony pięknego małżonka, a może go i nie dostrzegala wecale, gdy tryb życia i otoczenie ciągle ich prawie rozłączały, nie dając im żadnej z tych wspólnych trosk i zabiegów, będących najżywszą rozkoszą i najsilniejszą zarazem spójnią młodego małżeństwa.

Podobna twarzą do ojca, Belunja nie odziedziczyła dumy jego rodowej, ani tej pewności siebie, którą on wszystkim naokoło siebie imponował. Służba i ubodzy, których była ona opatrnością, ubóstwiali to słodkie dzie-

cię, zawsze tak ciche i małowówne, a mające dla nich, w chorobie lub nieszczęściu, dziwne środki ukojenia i jej tylko właściwe słowa pociechy. Obcym atoli Belunja nie koniecznie świetnie się prezentowała. Nie była ani zgrabną, ani ładną, choć należała do rodzaju bladych brunetek, które czasem późną rozkwitają urodą. Nie brakowało jej może myśli, ale nie posiadała daru wypowiedzenia ich w danej chwili. Nie miała ani odrobiny dowcipu, tak często spotykanego u żydów, i również przez nich cenionego jak przez francuzów; słowa jej szły jak po grudzie, wyrażenia rzadko były trafne.

Reb Lejb, patrząc z uśmiechem na zmięszaną i jąkającą się córeczkę, mawiał:

— Nasza Belunja w sam raz stworzona na rabinową.

Znaczyło to, że widział w niej istotę niezbyt żywych uczuć i trochę ograniczoną, i że się cieszył tem biernem usposobieniem, które, zamiast jedynacze jego przeszkadzać do szczęścia, miało jej owszem oszczędzać dojmujących w życiu dolegliwości.

Eljasz pod tym względem podzielał zupełnie zdanie teścia. W pierwszej zaraz chwili po ślubie, żona wydała mu się niezbyt hojnie od natury uposażoną, a czas nie zatarł bynajmniej tego wrażenia. Słodycz charakteru i delikatne zdrowie Beluni budziły w nim tylko ową sympatję, jaką każda szlachetna siła czuje dla słabości potrzebującej jej opieki. Mogło ztąd z latami wyrosnąć przywiązanie, trwalsze od najgorętszej miłości, ale go dotąd jeszcze w stosunkach małżonków nie było.

Eljasz, jak wiemy, był synem rabina i sierotą. Miał on zaledwo lat trzy, gdy go młodzi jeszcze rodzice odumarli, i gdy się dostał pod opiekę starej i chorowitej ciotki. Kobieta ta, wdowa bezdzietna, cały zasób niewieściego uczucia przelała na jego głowę i patrzyła przez szpary na wy-

bryki dzikiego siostrzeńca, którego pięknoscią nie ona jedna się zachwyciała. Podług zdania przemyskich żydów, świat jeszcze takiego cudu nie widział jak Eljaszek, i chłopczyk nie mógł się pokazywać na ulicy, by go każda z nich nie wysmoktała i nie robiła znaku odganiającego zły urok od jego osoby. Że piękny chłopiec, prócz tego, naturalnym obdarzony był rozumem, wydawało się to rzeczą, co najmniej zdumiewającą — od czwartego już roku sierotę po rabinie jednomyślnie okrzyczano gienjuszem.

Genjusz jedną tylko miał wadę — nie lubiał pocić się nad księgą i wołał musztrować swych kolegów na górce za „chederem”, zawiązawszy im wprzód z tyłu długie pejsy w miniaturowe harcapy, jak to raz widział u austriacka, będącego u nich na kwaterze, i posypawszy je mąką, ukradkiem przyniesioną w kieszonce ¹⁾. Gdy jednak czasem zaglądał do księgi, nie mało z niej skorzystał. Przytomność umysłu, głos dźwięczny i gładka niezmiernie wymowa, wiele mu też pomagały do ujęcia sobie nauczycieli. Był niezaprzeczenie dzieckiem pojętnem, choć bujna natura fizyczna bardziej go pociągała do praktyki życia, aniżeli do jego teorii. Jak ryba wody i ptak powietrza, tak krzepkie ciało i dzielna dusza Eljasza wymagały ruchu i czynu do swego rozwoju, a potrzebę tę wiek młodzieńczy w namiętne przemienił pragnienie. Gdy Magid z rebi Gabrielelem przyjechali w swaty do Przemyśla, Eljasz przedtem wiele już był słyszał o bogactwie i kupieckich stosunkach Gwira, i bardzo sobie życzył zostać jego zięciem. Dołożył więc wszelkich starań, by się przypodobać przyszłemu stryjaszkowi, a i potem z niecierpliwoscią oczekiwał chwili ożenienia, stanowiącej niejako wstęp do zaczarowanej krainy jego marzeń...

¹⁾ Wojsko austriackie nosiło wówczas harcapy i pudry.

Widok liczego dworu teścia, przepych wesela i bogate urządzenie domu, wiele z początku nowych wrażeń przyniosły sierocie, wychowanemu w skromnym domu wdowy. Po paru atoli miesiącach, wszystko to już spowszedniało i Eljasz zapragnął czegoś nowego. Wiedział, że na wiosnę wyprawiają zboże do Gdańska, i że buchhalter, reb Fajwel, ma się tam udać dla kierowania sprzedażą. Powziął więc zamiar towarzyszenia reb Fajwłowi w tej podróży. Umysł żywy łaknął odmiany, a gdzież ją łatwiej znaleźć, aniżeli w dalekich krajach?

Od wesela osiemnaście już tygodni minęło, gdy wieczór „postu Estery“, stanowiący początek święta Purym ¹⁾ zebrał licznych krewnych, podwładnych i klientów w modlitewni domu reb Lejba.

Po krótkim nabożeństwie, biegły lektor (kore) rozwinął pargaminowy zwój i tradycyjną melodją przeczytał na głos starą, a tak poetyczną opowieść (Megilah) o prześladowaniu żydów za czasów perskiego króla Ahaswerusa i cudownem ich ocaleniu przez nadobną królowę Esterę.

Gdy lektor skończył, gospodarstwo, podług dorocznego zwyczaju, wszystkich bez różnicy obecnych zaprosiło do siebie na przekąskę po całodziennym poście. Na górze, stoły pokryte czerwonym w złote rzuty adamaszkiem, uginały się już pod ciężarem srebrnych dzbanów i roztruhanów z winem i miodem, flaszek z gdańską wódką, oraz mis i półmisków wszelkiego rodzaju z pieczywem i łakociami. W kobiecym pokoju, Blima, mimo swej tuszy, sama się uwijała, dopomagając córce w obnoszeniu pierni-

¹⁾ Purym, święto pamiątkowe, obchodzone w połowie miesiąca Adar (Lutego) na cześć obalenia potęgi Hamana i zniweczenia złośliwych jego względem żydów zamiarów.

ków, pierogów z makiem i powidłami (haman-tasche), słodkich nalewek i konfitur. Małe niebieskie oczy i do-brotliwy uśmiech na twarzy gospodyni jaśniały wesoło, tak jak przy jarzącem świetle brylanty drogocennego djademu i przypiętych do niego kolczyków, a każdą choćby naj-biedniejszą z obcych niewiast wypytywała łaskawie o zdro-wie, o sprawy familijne i gospodarskie, każde z dziewcząt głaskała po twarzy, chwając wzrost, urodę, lub rozum przedwczesny.

U mężczyzn także sam reb Lejb czynił honory, a gdy tak pod samym srebrnym pajakiem stanął na środku ob-szernego pokoju, wspaniała jego postawa, podnoszona je-szcze dzisiaj piękną elkową czapką, mimowoli przejmowa-ła uszanowaniem.

Goście czuli może coś w tym rodzaju, i z początku ławy koło stołu zasiedli w milczeniu, ale wina, wódki i pierniki były wysnienite, wszyscy cały dzień ściśle su-szyli, więc też dzbany i flaszki zaczęły się wypróżniać, i rozmowa się ożywiła.

Uczone uwagi do przeczytanej dziś historii Estery, nowiny polityczne i inne, następowały teraz jedne po dru-gich. Magid Złoczewski bawił gości dowcipnemi bajkami i dykteryjkami; reb Samson sypał jak z rękawa dowody głębokiej erudycji; obcy nakoniec gość, reb Mojżesz z Li-sy, objeżdżający kraj celem zbierania prenumeraty na mo-ralne swe dzieło „Droga do raj“, opowiadał, co mu się w podróży widzieć i słyszeć zdarzyło.

— Objechał teraz człowiek kawał świata—mówił reb Mojżesz, widział różne kraje i różnych ludzi. Dzięki Bo-gu, na polskiej ziemi pobożność kwitnie w Izraelu, i bo-gaci ludzie nie zamknęli jeszcze swej dłoni dla tych, co uprawiają świętą niwę zakonu. Ale w Niemczech, a nawet w Czechach, wielkie znalazłem zmiany. Nauki Desauczyka,

który pewnie tam w piekle się piecze, i innych berlińskich heretyków, szkodliwie działają na ludność i sprowadzają ją z drogi religji i tradycyjnego obyczaju żydowskiego.

— Któż to był ten Desauczyk?—spytał zięć gospodarza, ciekawie.

— Młodzi jesteście, ale zawsze dziwi mnie, żeście nie słyszeli o tym Mojżesz z Dessau, który nazwał siebie po niemiecku *Mendelsonem*, ponieważ ojciec jego, ubogi *Sofer* (pisarz rodałów), miał na imie Mendell!

-- Czem to ten Desauczyk tak wpływał na ludność?—zapytał teraz z kolei znajomy nam już Akiwa, należący także do zaproszonych i siedzący u szarego końca stołu.

Rabi Mojżesz nie znał Akiwy—inaczej pewnie nie za- dałby sobie trudu odpowiedzenia mu. Tak jednak, pochlebiony ciekawością, jaką obudzić potrafił w swych słuchaczach, odrzekł:

— Wpływ tego heretyka stokroć silniejszym i bardziej niebezpiecznym się okazuje w Niemczech od Sabataja Cwi na Wschodzie, a nawet i Franka u nas ¹⁾ Ci ostatni byli-to awanturnicy, szarlatani, którzy właśnie dla tego, że za życia tyle narobili wrzawy, teraz już prawie zapomnieni zostali. Ale Mojżesz z Dessau żył cicho i skromnie ze swej pracy w kantorze kupieckim; od nikogo pieniędzy nie przyjmował, z nikim się w dysputy religijne nie wdawał. Nie ubiegał się o łaskę możnych, a jednak najznakomitsi uczeni chrześcijańscy byli przyjaciółmi tego małego żydowskiego garbuska. Prowadził kuchnię koszer- ną i modlił się trzy razy na dzień, jak każdy żyd prawo-

¹⁾ Sabotaj Cwi i Frank sławni sekciarze żydowscy, żyjący w ośm- nastem stuleciu.

wierny, i dla tego może przeklęte jego nauki tak głęboko się wszczepiły w umysły żydów niemieckich.

— Czy dawno jak umarł ten Dessauczyk?—spytał znowu Akiwa.

— Będzie już ze sześć lat temu, a mimo to, liczni uczniowie ciągle jeszcze propagują przewrotne jego idee religijne, drukują książki, które się rozchodzą tysiącami egzemplarzy, a co najgorsza, cieszą się uznaniem ludzi bogatych, a nawet wysoko u rządu postawionych. Wielkie też z tej strony grozi niebezpieczeństwo Izraelowi, i Pan Bóg jeden tylko wie, do czego nas to jeszcze doprowadzić może!..—kończył rebi Mojżesz z westchnieniem.

— *Nas?* — zapytał reb Lejb,— czyż mniemacie, reb Mojżeszu, że ten nieszczęsny obłąd kacerstwa i do nas przenieść się może?

— Mówię *nas*, bo wszyscy żydzi odpowiadają za siebie wzajemnie ¹⁾. Ale wiercie mi, reb Lejb, że nie zupełnie jestem bez obawy, co do rozszerzania się tych niebezpiecznych maksym. Jeżeli miasta takie jak Wrocław i Praga, które od najdawniejszych lat były matkami w Izraelu ²⁾, kolebką tylu sławnych talmudystów, mogły teraz stać się ogniskiem nauk kacerskich—któż może ręczyć za inne?

— Wybaczcie; lecz ja nie mogę dzielić tej obawy. Słyszałem i ja już o tych nowatorach, ale szaf ten prędko przeminie. Jestem pewny, że nie ma między heretykami ani jednego człowieka z dobrej familji..

— Otóż, na nieszczęście jest zupełnie inaczej—przer-

¹⁾ Według wyrzeczenia Talmudu, że „cały Izrael jest solidarnym względem siebie”, rozumie się, odnośnie tylko do powinności przestrzegania przykazań religji i moralności.

²⁾ Wyrażenie biblijne.

wał reb Mojżesz. Zaraza właśnie czepia się najwyższych głów. Potomkowie Gaonów ¹⁾ ludzie stojący na czele naszego społeczeństwa, najpierwsi występują przeciwko uświęconym wiekami obyczajom...

— Opowiem wam, co się mnie niedawno dopiero przytrafiło w Wrocławiu — wtrącił Magid. Railem tam bardzo dobrą partję dla córki reb Zajnwela, o którymście pewnie słyszeć musieli, boć to, co się zowie znaczny i bogaty kupiec, dom z dziada-pradziada pobożny i uczony. A jakąż, myślicie, dano mi tam odpowiedź? Oto, ni mniej ni więcej, że ponieważ panna papla wysoko ²⁾ po niemiecku i brzdąka na jakiejś tam harpie, ³⁾ przeto nie może wyjść za syna rabina, lecz koniecznie za młodzieńca nowomodnego i światłego.

— A cóżście mu odpowiedzieli na to, Magidzie?

— Powiedziałem tylko ojcu, że lepiejby pono było, aby konkurenci do jego córki wcale światła nie mieli, bo inaczej z łatwością dojrzeć mogą, że jest długa i sucha, jak post w Lipcu, a tak czarna i niegładka, jak droga grudniowa, gdy śniegu nie ma.

Wszyscy się roześmieli na ten koncept Magida; oblicze tylko gospodarza zasepiło się.

— W takim razie—rzekł po chwili namysłu—winą to rabinów, którzy nie dość wczesnie, nie dość ostro wystąpili i nie wyrwali chwastu z ogrodu Izraela...

— Owszem, rabini byli i są nieugięci. Prześlado-

¹⁾ Gaon,—znakomitość naukowa.

²⁾ Hochdeutsch, czysto po niemiecku, jako przeciwstawienie żargonowi.

³⁾ Ma być na „arfe“, które to słowo Magid umyślnie przekręca na *charpie* (wstyd, bańba).

wania wszelkiego rodzaju, wykluczenia publiczne, klątwy nawet—nic tu nie pomogło.

— Raczej pogorszyło to pewnie sprawę—odezwał się teraz stary reb Gabryel, stryj gospodarza, który dotąd w milczeniu słuchał opowiadania reb Mojżesza,—bo przepaść dzielącą ich od ogółu jeszcze głębszą uczyniło.

— Ależ, bezbożnicy na tę karę najzupełniej zasłużyli!—wykrzyknął reb Mojżesz.

— To jeszcze pytanie —była odpowiedź reb Gabryela.

— Powiedźcie-no, rebi Mojżeszu, co właściwie tym ludziom zarzucają?—spytał teraz Eljasz.

— Jak to co? Ubierają się kuso jak chrześcijanie, kobiety nie strzygą włosów, i *bawonosenu harabim* (przez wielkie nasze grzechy) dzieci nawet zaczynają posyłać do szkół publicznych...

— Czyż to wszystko? — spytał znowu Eljasz naiwnie. Widocznie przygotowany był na większe zbrodnie.

— Alboż tego jeszcze mało?—zawołało kilka oburzonych głosów. Eljasz jednak pytał dalej:

— Cóż wtem tak strasznego, że się ludzie ci ubierają i żyją, jak im się podoba? Musi to owszem wyglądać wcale ładnie, i naprawdę, ciekawbym był choćby jednego z nich zobaczyć.

Reb Lejb rzucił piorunujące wejrzenie na wtrącającego się tak niefortunnie zięcia.

— Eljasz ma słuszość—odrzekł teraz reb Gabryel. Sami przyznacie, że ani zmiana ubioru, ani nauki świeckie nie są wzbronione zakonem, i że to bynajmniej nie szkodzi religii, jeżeli są ludzie, którzy się w tem oddalają od przyjętego powszechnie zwyczaju. Przypuśćmy teraz, że znalazł się duchowny zelota, który ich za to przesładuje, cóż ztąd wyniknie? Oto, ludzie ci, czujący się w prawie urzędzenia sobie życia według własnego upodobania,

oburzeni niesprawiedliwością, sami także staną się niesprawiedliwymi i niechęć swą z nienawistnego fanatyka przeniosą na cały Judaizm, który bynajmniej temu nie winien.

— A cóż nas niechęć takich bezbożników obchodzić może?—spytał reb Lejb z wyrazem lekceważenia.

— Zmiana ubioru, tak jak i wszystkie nieżydowskie obyczaje, wyraźnie zabronione są w *Tora* (Pięcioksięgu)—odezwał się reb Samson sentencjonalnie. Napisanem jest: „Nie pójdziecie ich drogą!”

— Zdaje się, że Mojżesz, nauczyciel nasz, myśl tę nieraz objaśnił. Powiedział bowiem: „Nie pójdziesz drogą narodów, które przed tobą wypędziłem, i nie splamisz ziemi ich występkami, aby się ciebie nie wyrzekła, jak się wyrzekła tych narodów!”—zauważył reb Gabryel. Wyraźnie więc tu tylko mowa o bałwochwalstwie, kazirodstwie i innych wszeteczeństwach, praktykowanych przez pierwotnych mieszkańców Palestyny, nie zaś o niewinnych zwyczajach, lub ubiorze teraźniejszych ludów, niemających żadnego związku z moralnością, lub religją, a tem mniej o naukach świeckich, które ani mędrcom Talmudu, ani Majmonidesowi nie przeszkadzały wcale zostać odwiecznymi filarami Judaizmu.

Słowa reb Gabryela popierał Eljasz cytatem ze słów mędrców: „Dobra nauka zakonu, połączona z obyczajem krajowym, gdyż razem one chronią od grzechu“, a potakiwał mu Akiwa, śledzący dotąd z natężoną uwagą za rozprawami, które widocznie żywo go zajmowały.

Ale właśnie to jego potakiwanie rozdrażniło reb Lejba.

— Zwyczaje Izraela prawem są—rzekł reb Samson, a kto ich nie obserwuje, żydem być przestaje.

— Obowiązkiem zaś każdego z nas jest tak zarazoną owcę—tu wzrok reb Lejba spoczął na pisarzu—z trzody wydalić...

— I winnicę Izraela oczyścić—dodał reb Mojżesz.

— A teraz dość już tego,—zawołał reb Lejb zniecierpliwiony. Mówmy o czem innym, Magidzie. Opowiedzcie nam coś nowego!

Magidowi nigdy nie brakło przedmiotu do opowiadania, i niedługo humor jego prawdziwie zapustną przy stole wywołał wesołość.

Goście, a między nimi Akiwa i żona jego, późno dopiero wieczorem opuścili dom Gwira. Akiwa szedł milczący, w głębokich zatopiony myślach. Rywec natomiast usta się nie zamykały. Była ona po raz pierwszy w domu Gwira, i oczarowaną została panującym tam przepechem. Nieprzyzwyczajona do ukrywania swych uczuć, przez całą drogę i po powrocie do domu nie przestawała ani na chwilę wykrzyknikami wyrażać swego zachwytu nad dobrymi potrawami, jakie jadła, nad pięknymi pokojami, srebrami, jakie jej tam podziwiać dano. Uprzejmość gospodyni i córki jej podbiły zupełnie proste serce Ryfki, i słowa uwielbienia dla ich dobroci mieszały się z wyrazami najwyższego podziwu dla ich bogactwa. Na Akiwie zachwyty żony przykre robił wrażenie; wiedział jednak z doświadczenia, że potok jej słów niczem się w biegu powstrzymać nie da, milcząc więc udał się na spoczynek.

Od kilku już godzin światło zgasło w alkierzyku, a sen dotąd nie skleił znużonych powiek Akiwy. Opowiadanie rabi Mojżesza i dysputa przy stole reb Lejba tyle dawno już pogrzebanych w nim obudziło pragnień, tyle zasypanych wśród popiołu rozdmuchnęło iskier! A więc istnieje już w Niemczech cała klasa żydów, która, rzuciwszy z siebie jarzmo przesądów, jawnie występuje w obronie swych przekonań;—cały zastęp uczonych, który rezultaty swych badań zastosowuje w życiu, i trzymając

się za ręce, śmiało stawia czoło przesładującej ich rzeszy prostaków i zelotów!.. Gdybyż się do nich dostał!.. Gdybyż choć raz pełną piersią odetchnąć powietrzem swobody, rzucić na godzinę, choćby na chwilę, ten kamień samotnych myśli gniotący od lat trzydziestu nieszczęsną głowę samouka!.. Gdybyż choć raz z żywych ust człowieka usłyszeć echo własnych poglądów i napić się słodkim dźwiękiem słowa uznania!..

Długo Akiwa rzucał się niespokojny na twardem swem posłaniu, a nie mogąc zasnąć, wstał nareszcie, zapalił łożówkę i zbliżył się do skrzyni z książkami.

— Jesteście tu wszystkie!—rzekł czytając tytuły.

— Ileż dla was upokorzeń znosiłem, ileż nocy bezsennych strawiłem, zanim mi się udało znaleźć klucz do waszych tajemnic! Z jakąż rozkoszą i bijącymi pulsami postępowałem za tem migającym światelkiem, któreście mi ukazywały, a które zaślepiony brałem za błysk oddalonej, ale stałej gwiazdy prawdy!..

A jakaż teraz korzyść z pracy całego życia?—Nędza i pogarda tego głupiego motłochu!.. Z jakim lekceważeniem ten napuszony bogacz patrzył na mnie, mówiąc o heretykach! Z jaką pogardą przy każdej sposobności depce on nędznego robaka wijącego się pod jego stopami!... A jednak, gdybym się teraz jeszcze dostał wśród ludzi wykształconych, pewnieby i mnie, jak tego Dessauczyka, otoczył tłum wielbicieli!..

Nie, nie, zapóźno! Mam lat czterdzieści i sześć, głowa moja siwa, siły ciała i ducha stargane, dla mnie wszystko się już skończyło!..

V.

Rabi Mojżesz z Lisy nie długo po *Purym* wyjechał; ale pamięć opowiadanych przezeń faktów, jak i wywołanych przez to rozpraw, nie tak prędko się zatarła w domu Gwira.

Reb Lejb nie mówił dotąd z zięciem o swoim ślubie. Było rzeczą tak naturalną, aby młody i uczony arystokrata został rabinem, że Gwir nie widział nawet potrzeby wdania się o to w dyskusję z Eljaszem, któremu w całej tej sprawie bierna tylko przypadała rola. Gdy umysł młodzieńca dojrzeje, teść postara się o znaczną dla niego posadę i posypie dukatami na świetny wjazd do miasta, które go obierze duchownym swym przewodnikiem. Do Eljasza zaś należało jedynie pilnością i ćwiczeniem się w pobożnych praktykach chwilę dojrzałości przyspieszyć, oraz unikać wszelkiej lekkomyślności, nie licującej z przyszłą jego godnością.

Jako lekkomyślność tego rodzaju uważał reb Lejb opisane przez nas w poprzednim rozdziale wtrącanie się Eljasza do opowieści rabi Mojżesza. Wyrażona wówczas ciekawość poznania kacerzy i gorące potakiwanie ich obrońcy, reb Lejb znajdował w najwyższym stopniu nieprzyzwoitem; postanowił tedy większą odtąd baczność zwracać

na postępowanie młodzieńca. A nastroczało się już w niem istotnie niejedno do zganienia.

Reb Samson skarżył się na roztargnienie i brak ochoty u swego ucznia. Zauważono również, że jak na przyszłego rabina, Eljasz zbyt wielką przywiązywał wartość do piękności ciała i niezwyklej siły ramienia, któremi natura go obdarzyła.

Były to wszystko symptomata na 'pozór małoważne, ale Gwirowi, który nie tracił z oczu raz powziętego zamiaru, dawały one do myślenia.

Eljasz ani przypuszczał, by teść miał jakieś względem niego plany. Był on pewny, że termin przymuszonej nauki prędko upłynie, że potem dadzą mu udział w interesach i gdy tylko poprosi, wyślą go do Gdańska, dla tem szybszego wtajemniczenia się w kombinacje handlowe. Nadzieja podróży w świat daleki uśmiechała się młodemu chłopcu, a opowiadanie rabi Mojżesza o nowomodnych gdzieindziej obyczajach, zaciekały jego wyobraźnię, coraz nowe i bardziej ponętne nasuwając jej obrazy.

Najsilniejszy wpływ wywarł ów wieczór zapustny na Akiwę pisarza. Żyjąc przez lat tyle w odosobnieniu, samouk nie zasłyszał nawet dotąd o nowych prądach w Judaizmie, ani o Mendelsonie i jego szkole. Wiadomość, że gdzieś w świecie żyją żydzi, takichże jak on przekonani, a żyją nie samotni i prześladowani, lecz jako klasa można i bogata, wstrząsnęła całym jego jestestwem, i dotychczasowe głuche niezadowolenie przemieniło w jakąś rozpacz szaloną, która mu wszystkie fibry serca targała niemiłosiernie.

Takim zastajemy go też dzisiaj w kantorze reb Lejba. Pryncypał i reb Fajwel są nieobecni, a Akiwa tylko

co skończył przegląd całego stosu listów, czekających niezwłocznej odpowiedzi. Teraz zasiadł do pisania.

Przez kilka godzin pióro jego przesuwano się po kartach leżącego przed nim sinego papieru, i takoby go tak widział schylonego nad robotą, wzięłby go za niezmordowaną a bezmyślną ludzką maszynę. Gdy skończył i wstał od biurka, wyraz niezwykłego znużenia malował się na zwiędłych jego rysach.

— Przekłeta pańszczyzna! — wykrzyknął, odsuwając z gniewem ostatni zapisany arkusz. I nad nią to strawić mam resztę pozostałego mi jeszcze życia?...

Gniewny, zasmucony, zbliżył się do okna. Okno to wychodziło na ogród i przez огоłocone z liści drzewa, spójrzanie sięgało aż rzeki, uwolnionej od krępującego ją dotąd lodu. Wiosna już się zapowiadała.

Młoda trawka niesmiało wysuwała blade zielone główki z ledwo stającego gruntu; jasne kwietniowe słońce igrało po współsennej jeszcze ziemi, jak niewinny rumieniec na czole budzącej się dziewczycy, muskało srebrzyste fale, które z młodzieńczym zapędem, szumiąc i pieniając się, śpieszyły w dal nieznaną, a wabiącą urokiem nowości.

Nad brzegiem i przy śpichlerzach, chłopci, flisy, tragarze krzątali się koło ładunku, zwozili belki, zbijali je w tratwy i śpiewając, złote sypali ziarno.

W metafizycznych zatopiony spekulacjach, Akiwa rzadko kiedy zważał na otaczającą go przyrodę; ale dzisiejszy widok szczególnie jakoś poruszył wzburzoną już i tak duszą jego. Życie tego człowieka przeszło bezbarwnie i nie zostawiło mu żadnego z tych obrazów swobody dziecięcej, lub uroczego pragnienia i roskoszy młodego wieku, których wspomnienie w późnych nam jeszcze latach ozłaca ciężką życia pielgrzymkę. A jednak teraz, na progu bezzadziejności starości, w obec odnawiającej się natury, żal, żal głęboki za

straconą młodością przejął jego serce. Wszak tyle innych jeszcze na świecie istnieje uciech, prócz rozwiązania naukowego problemu! A on, niestety, za późno to poznał! Dla niego wiosna już nie wróci, już nie odrodzą się siły, które szamotanie się z myślami zbyt wczesnie stargało,—zaschło na wieki źródło życia, zanim zdołał zmoczyć w niem spragnione swe usta!..

— Wierzyłem filozofom—rzekł, załamując ręce,—że chcąc poznać prawdę, uwolnić się trzeba z więzów zmysłowości; a jednak sam pierwowzór ich, Sokrates, bywał u Aspazji i lepsze tam pewnie potrawy zjadał, niż moje kartofle, i ładniejsze widywał twarze, niż mojej starej Ryfki!..

Akiwa jeszcze stał przy oknie, gdy drzwi kantoru się otworzyły. Odwrócił się żywo, ale zamiast oczekiwanego reb Fajwla, na progu ujrzał młodego zięcia pryncypała.

Eljasz, trzymany zdala od interesów, nie bywał prawie nigdy w kantorze, i pisarz znał go zaledwo z widzenia.

Młodzieniec szukał reb Fajwla. Słyszał, że buchhalter wybiera się do Gdańska, przyszedł więc się dowiedzieć, kiedy to ma nastąpić. Akiwa odpowiedział, że dopiero za parę miesięcy. Wszczęła się rozmowa, która niebawem zajęła pisarza. Eljasz mówił o swoim pragnieniu widzenia obcych krajów, a z każdego słowa tryskała pełnia życia, rwanie się do nieznanego jeszcze świata.

— Jak ja zostanę kupcem, nie będę pewnie siedział w domu jak teść. Muszę wszędzie być i wszystko widzieć—kończył Eljasz.

— Wy?—spytał zdziwiony Akiwa. Czyż teść na to pozwoli?

— Wszakże mi podróży nie zabroni!

— Kto wie?.. Teść wasz ma czasem swoje przywidzenia...

— Ciekawym, co może mieć przeciw temu, bym pojechał i starał się praktycznie obeznać z handlem zbożowym?

— Czyż nie wiecie, że kieruje was na rabina?

Eljasz zaśmiał się wesoło.

— Na rabina? Mnie? Chyba żartujecie!..

— Cóż w tem dziwnego? Wszak jesteście synem duchownego?

— Ale sam najmniejszej do stanu tego nie czuję skłonności—spowiadał się Eljasz z wyrazem dobroduszej szczeroty. Ja bo od dzieciństwa samego daleko większą czułem ochotę do życia czynnego, i dla tego właśnie chciałbym już czem prędzej się ztąd wydostać.

— A wiecież wy o ślubie reb Lejba?

— Cóż ślub teścia może mieć wspólne go z moją podróżą?

— Ludzie mówią, jakoby Gwir i żona jego ślubowali, że mąż ich jedynaczkę poświęci się stanowi duchownemu...

Eljasz po raz pierwszy o tem słyszał, ale wydało mu się rzeczą śmieszną, by chciano nim rporządzać bez jego wiedzy i woli.

— A więc każą sobie chyba śluby rozwiązać (Matir-neder)—odrzekł, śmiejąc się,—bo z pewnością nie z tego nie będzie. Ale tam widzę idzie reb Fajwel, a więc żegnam was, reb Akiwo—dołał, i raźnie wybiegł na spotkanie buchhaltera.

Było tyle naturalnej świeżości w głosie i śmiechu, tyle otwartości i swobodnego wdzięku w ruchach, dorodnej postawie i słowach młodzieńca, że z nim jakby powiew wiosenny z zewnątrz przeniknął do zatęchłej atmosfery kantoru. Zdawało się Akiwie, jakoby młodość i zdrowie, które tylko co oplakiwał, widomie przed nim stanęły...

— Dzielny chłopiec!—pomyślał, patrząc za odchodzącym. Gdybym ja miał takiego syna, nie dałbym mu pewnie zagrzebać młodego życia w pyle foljantów. Pojechałbym z nim w świat; znaleźlibyśmy tam sławę, rozkosz życia—znaleźlibyśmy szczęście!.

W same święta Wielkanocne, Eljasz przedstawił teściowi życzenie swoje udania się z reb Fajwlem do Gdańska, na co reb Lejb odpowiedział, aby sobie darmo takim głupstwem głowy nie zaprzętał.

— Dla czego?—spytał Eljasz.

— Bo ja nie każę i basta...

Było to wyrzeczone takim tonem, że nawet Eljasz, słysząc go poraz pierwszy, języka w gębie zapomniał.

Gwir w tem żądaniu zięcia widział skłonność do stanu świeckiego, co go bardziej jeszcze gniewało, niż niepokoiło. Nie przypuszczał wprawdzie, by śmiano sprzeciwiać się wyraźnie wypowiedzianej woli jego, ale rozmyślał nad sposobami wyrugowania na zawsze niepotrzebnych zachceń z głowy domnianego rabina. O środkach łagodności i perswazji nie mogło być i mowy. Zdaniem reb Lejba, naczelnik rodziny groźbą tylko i postrachem działać winien na swe otoczenie. Zaczął tedy od dawania surowych instrukcyj reb Samsonowi i rozkazu przerobienia u miejscowego krawca eleganckich żupaników, przywiezionych z domu przez Eljasza. Długie jedwabiste włosy, najpiękniejsza ozdoba i tajemna zarazem chluba młodzieńca, także pasć miały pod brzytwą golarza, jako ofiara przyszłego powołania. Tak zdecydował reb Lejb i czekano tylko upływu dni żałobnych (sifra)¹⁾, w których te-

¹⁾ Siedmiotygodniowy okres czasu od świąt „Pessach“ do świąt „Tygodni“, w którym dni się liczą na pamiątkę Omer, ofiar nie-

go rodzaju operacje bywały religijnym wstrzymane skrupułem.

Eljasz z początku odurzony został niespodzianymi napadami na osobistą jego wolność, i przez czas jakiś reb Lejb mógł sobie wieszować skutku swej taktyki.

Chłopiec, ściśle teraz strzeżony, monitowany na każdym kroku, nie mając nikogo do pomocy, posmutniał od tych drobnych przesładowań, zatruwających mu chwile kradzonej swobody; osowiał, a teść kładł to na karb zwrotu ku mniej światowemu usposobieniu. Kobiety o niczem dotąd nie wiedziały. Reb Lejb zwierzenie się żonie z przełamującej obawy uważałby za ujmę patryarchalnej swej powagi, a Eljasz w lękliwej i cichej Beluni widział ograniczone dziecko, któreby nawet powodu jego zmartwienia zrozumieć nie zdołało. Blima, przekonana przez męża, że to, co jej się zdawało być brakiem uczucia dla córki, było tylko oznaką skromności Eljasza, przywiązała się do pięknego chłopca, mającego jej syna zastąpić. Miłość to jednak była względna—kochala go jako swego Kadysza²⁾, jako nadzieję rodu, jako męża i przyszłego opiekuna Beluni, ale głównie może jako człowieka, noszącego w sobie rękojmię spełnienia ślubu, od którego życie jej jedynaczki zawisło...

Od spotkania się Akiwy z Eljaszem w kantorze, wspomnienie rozmowy z młodym chłopcem nie opuszczało

gdys z pierwocin w świątyni, oraz według legendy ofiar w ludziach jakie zaraza niegdys z pomiędzy uczniów tanaity r. Akiwy co dzień zabierała.

²⁾ *Kadysz*—związujący nabożeństwo tak zwane, za dusze zmarłych. W braku męskiego potomka, obowiązek ten przechodzi na zięcia.

już pisarza. Znając reb Lejba, pewny był, że między nim a zięciem przyjść musi do walki, i niezmiernie ciekawy był jej rezultatu. Czasami, myśl, że reb Lejb postawi na swoim, drażniła go okrutnie. „Nakłonią go, przymuszają” — myślał w duchu — a później i ten wesoły chłopiec przyzwyczai się do ich życia i sposobu myślenia, i kto wie, czy z czasem nie obejdzie się to kiedyś z chudeuszami, jak szanowny teść jego ze mną?

Idąc do kantoru, Akiwa często teraz spotykał Eljasza eskortowanego przez reb Samsona, a zbladła i znużona twarz młodzieńca coraz bardziej go uderzała.

— Podobno to sierota, bez ojca i matki — mówił sobie Akiwa. Reb Lejb widocznie pastwi się nad bezbronnym. Ci ludzie są bez litości... A reb Samson, — to pedant bez mózgu, który może rozumnego człowieka do szaleństwa doprowadzić.

Przypuszczenie to zrodziło w nim sympatję dla młodzieńca, cierpiącego także z powodu jarzma rodzinnego i religijnego, które i jego życie zwiechnęło.

Poddrzwiami uczelni Akiwa stał na czatach, by przechodzącego Eljasza zaczepić.

— No i cóż, Eljaszu? nie jedziemy podobno do Gdańska? — spytał.

— Szydzicie ze mnie, reb Akiwo! — odpowiedział młodzian gwałtownie. Ale na dwoje babka wróżyła. Nie dam ja się w kaszy zjeść, choćby przez samego nawet teścia.

— Nie szydzą, ale zdołam może coś poradzić. Chodźcie ze mną do ogrodu — dodał, biorąc rękę młodzieńca. — opowiecie mi co wam dolega; tu nie można, bo nie trzeba, aby nas widzieli razem.

Udali się tedy ukradkiem aż pod sam pawilon ogrodowy.

Gdy usiedli na stojącej tam ławce, Akiwa zaczął:

— Wy cierpicie—widzę to. Powiedźcie mi, co macie na sercu!

Eljasz się zawahał.

— Nie ufacie mi?..

— Nikogo się nie boję, choć wiem, że każde moje słowo dostaje się do uszu teścia.

— Macie mnie tedy za szpiega reb Lejba? A więc nie wiecie, że i ja go z całej duszy nienawidzę?..

— Wy go nienawidzicie. Ach! jak to dobrze! — zawołał z dziecinną niemal radością młodzieniec, który uczuł nieograniczone zaufanie do swego interlokutora.

— Powiedźcie mi, czego od was chcą?

Eljasz nie wiele miał do opowiedzenia; ale w namiętnych jego słowach każdy ostry wyraz teścia, każde napomnienie reb Samsona nabierały znaczenia śmiertelnej obrazy.

— Takim sposobem rzeczy dalej pójść nie mogą—zawyrokował Akiwa,—bo inaczej swoje jeszcze przeprowadzą...

— Ale ja rabinem nie chcę być i nie będę—zawołał, tupiąc nogą, młodzieniec.

— Przymuszają...

— Mnie nic w świecie przymusić nie zdoła!

— To dobrze, że macie swoją wolę, ale z reb Lejbem nie taka łatwa sprawa. Trzeba, abyście się mu na każdym kroku stawiali hardo, to z czasem da wam święty spokój. A jakby zaszło co nowego, mnie zawiadomić,—poradzę co dalej zrobić. Teraz idźcie już do domu, gotowi was szukać, a nie trzeba, aby się między nami domyśleli porozumienia.

Rada Akiwy odpowiadała naturalnej dzielności charakteru Eljasza, której wychowanie dodało jeszcze cechę samowoli i niczem nie dającego się złamać uporowi.

Nagła zmiana postępowania w domu teścia z razu

trochę wprawdzie odurzyła młodzieńca, ale słowa Akiwy wystarczyły mu do otrząśnięcia się z narzuconej chwilowo uległości. Gniewały go zarówno plany teścia, jak i sposób, w jaki je wykonać usiłowano,—postanowił tedy pokazać reb Lejbowi, że nie jest już dzieckiem...

Sposobność ku temu wkrótce się nastąpiła. W dwa dni przed Zielonemi świątkami, reb Samson wzmiankował coś o rozkazie teścia, aby sobie Eljasz dał włosy ogolić.

Młodzieniec stanowczo odpowiedział, że póki żyć będzie, brzytwa nie dotknie się jego czupryny.

Sprawa wytoczyła się przed samym reb Lejbem i dała powód do otwartego z obu stron wystąpienia.

Eljasz wyraźnie oświadczył, że nie myśli zostać duchownym, bo mu się stan ten nie podoba, na co Gwir wybuchnął takim gniewem, że obecny temu reb Samson aż uciekł strwożony.

Przez lat szesnaście, od samej chwili urodzenia mu się jedynaczki, reb Lejb nosił się z ideałem przyszłego zięcia, stwarzał dlań w myśli coraz nowe przymioty niezbędne młodemu rabinowi, wybierał coraz znakomitsze miejsca urzędowania dla tej domniemanej chwały, nie tylko rodziny, ale i Izraela całego. Rozum i młodość Eljasza zdawały się reb Lejbowi być stosownym materiałem, i zaraz po ślubie zaczęło się wtlaczanie żywego człowieka w przygotowaną już naprzód od lat tylu formę. Spostrzeżono wprawdzie niebawem, że tu i ówdzie jeszcze czegoś brakło do jej wypełnienia, ale od czegoż uczony Samson, grube foljanty i bystre oko głównego mistrza—reb Lejba?..

A teraz, gdy nadzieja tak bliską już była ziszczenia, odrazu krnąbrność dzieciaka miałaby całą wspaniałą tę formę rozsadzić? O, nie! choćby przyszło ją dziesięciokrotną opasać obręczą, choćby dusza nią skrępowana, wić się miała w tym żelaznym uściskul..

Reb Lejb chodził jak struty, a przyczyna jego niezadowolenia długo się w domu ukryć nie mogła.

Rezydenci, ochciwi plotek, jak wszyscy próżniacy, wkrótce się dowąchali, że Eljasz popadł w niełaszkę, a znaleźli się szpiegi, sledzący każdy jego ruch, każde słowo, by o nich donieść teściowi. Chwila spaceru w ogrodzie, byle jaka swawola młodzieńcza, wyproszona ukradkiem u furmana Jankla przejażdżka konna, doniesione i powiększone przez zauszników, rozżarzyło jeszcze bardziej gniew Gwira.

Blima musiała się też nakoniec o wszystkim dowiedzieć. Płakała biedna gorącemi łzami; żal jej było ładnego zięcia i szczęścia córki; ale była głęboko przekonaną, że od spełnienia ślubu zależało życie Beluni.

W całym domu dwaj tylko ludzie spróbowali waśń tę rodzinną zażegnać. Magid Złoczewski radził Eljaszowi pozorną uległość.

— Warto też sobie krwi psuć—mawiał.—Niby to nie ma sposobu, aby był i wilk syt i owca cała. Na waszem miejscu przecierpiałbym jeszcze rok, dwa, a potem kupiłbym sobie posadę, ¹⁾ choćby gdzieś na Litwie lub Galicji, byle tylko daleko od oka teścia. Niby to taki, jak wy, człowiek, potrzebuje zaglądać do księgi, będąc rabinem! Można sobie trzymać uczonego zastępcę i robić co się żywnie spodoba—jeść, pić, wesoło żyć, a nawet jeździć konno na publicznym rynku, byle tylko kahałowi dobrze kieszenie i żołądki napychać.

Stryj reb Gabryel usiłował natomiast przekonać reb Lejba i żonę jego, że nie mają prawa przymuszać zięcia do stanu duchownego, że ślub uczyniony względem dru-

¹⁾ Bywały wypadki, że gminy frymarczyły zaszczytnym tytułem rabina.

giego, bez jego wiedzy i woli, jest nonsensem, nie potrzebującym nawet rozwiązania, że grzechem śmiertelnym jest mącić pożycie dwojga młodych ludzi dla takiej chimery...

— „Bądź przyjacielem zgody i ubiegaj się za nią, jak Aron“ — cytował reb Gabryel słowa mędrców.

Ale reb Lejb wtenczas tylko lubiał cytaty, gdy takowe popierały własne jego zdania, a Blima była tylko przesadną kobietą, drżącą o skarb swój jedyny, który jej się zdawał być zagrożonym.

Gdyby choć Eljasz usłuchać chciał praktycznych rad Magida... Ale szczerą i ognistą naturą młodzieńca nie zajmowała udawania, a zasuszony reb Samson znudził go już śmiertelnie.

Czyż to sposób siedzieć przez sześć godzin z rzędu na twardej ławce, i gdy gorąca krew dwudziestoletnia wre w żyłach, słuchać, schylony nad księgą, monotonnie śpiewającego głosu starego pedanta i patrzeć na wązką, ogoloną jego głowę, u której żółte, długie loki kiwają się tam i nazad, jak serce u poruszonego dzwonka?.. Nie, ten reb Samsom był nie do zniesienia...

Znowu miesiąc przeszedł w tym stanie wzajemnych podejrzeń, tajnych niesnasek i wybuchów tłumionego gniewu. Akiwa przez cały ten czas bacznie śledził przebieg sprawy, jątrząc ją słówkiem rzucanem coraz do ucha Eljasza. Dziwne teraz myśli chodziły po głowie pisarza. Gdybyż to, czego jemu nie dostawało, znaleźć mógł w obozie przeciwnika! Gdybyż mógł namówić Eljasza do opuszczenia domu reb Lejba, by razem z nim udać się tam, gdzieby obaj żyć mogli swobodnie!.. Eljasz miał swój własny fundusz, z któregooby wzięść można na kosztą podróży i utrzymanie na początek, a raz dostawszy się między ludzi wykształconych, znajdą wszak nietylko sposób do życia, ale bogactwa i honory, oddawna należne Akiwie, jako znakomi-

temu uczonemu i filozofowi! Eljasz zaś dosyć był jeszcze młodym, by pod jego przewodnictwem nowe i szczęśliwsze rozpocząć życie.

— Mam dla was sposób wydostania się ze szponów teścia i reb Samisona—rzekł raz Akiwa do Eljasza.

— Jaki?

— Trzeba ztąd wyjechać.

— Nie dadzą.

— To tajemnie; ja wam ucieczkę ułatwię i sam pojedę z wami.

— Dokąd?

— Dokądbądź... Przez jakiś czas pozostaniecie sami, później będą musieli wydać wam deponowany posąg i żonę.—Cóż, zgadzacie się, żonę na jakiś czas opuścić?— spytał pisarz, patrząc badawczo w twarz młodzieńca.

Eljasz, zamiast odpowiedzi, poruszył tylko głową obojętnie.

Radość zabłysła w zapadłych oczach Akiwy; obawiał się był wpływu przywiązania do młodej żony—obawa ta teraz znikła.

— Nie będzie więc żadnej przeszkody—rzekł. — Ale potrzeba wszystko obmyśleć ostrożnie, a tu nie można, bo nas pewnie szpiegują. Przyjdźcie do mnie, tam będziemy swobodniejsi.

— Chętnie, gdzież mieszkanie?

— Choćbym wam i powiedział, nie traficie sami. Czekajcie na mnie po północy. Gdy stojąc na ganku, zastukam w okiennicę, wyjdźcie ze swego pokoju, zaprowadzę was do siebie. Tylko cicho, sza, nikomu ani słowa o tem, i aby żona się nie domysliła...

O godzinie pierwszej po północy, Eljasz, na dane hasło, wysunął się po cichutku, by śpiącej żony nie obudzić. Akiwa obawiał się także języka Ryfki; zamiast więc

zaprowadzenia gościa do alkierza, usiadł z nim na kłocu leżącym przeddrzwiami sklepiku.

Noce były jeszcze ciepłe, można więc było i tam czas jakiś rozmawiać.

Zaczęła się narada. Eljasz był zachwycony projektem Akiwy; ale wykonanie nie mało przedstawiało trudności. Osobisty majątek Eljasza, składający się z trzech tysięcy dukatów, deponowany był w Warszawie; z dwóch zaś kwitów depozytowych jeden dotąd pozostawał w ręku teścia. Prócz tego posagu, młodzieniec żadnego nie posiadał funduszu. Moznaby, co prawda, zebrać wszystkie kosztowności doń należące, i te w pierwszym większym mieście spieniężyć; ale jak się tam dostać? Chwilowo Akiwa nie posiadał ani grosza, pensję kwartalną miał odebrać dopiero za jakie dwa miesiące. Trzeba więc było koniecznie czas ten przeczekać, i nie dać po sobie poznać tajemnych planów. Mogli się często w ten sam sposób co dzisiaj widywać. Eljasz znał już drogę do mieszkania Akiwy, a nocą, lub wczesnym porankiem, będzie mógł przychodzić do niego niepostrzeżony.

Eljasz, wdzięczny za współczucie, które jeden Akiwa mu dotąd okazywał, zgadzał się na wszystko. Myśl tajemnej ucieczki i zdobycia sobie niepodległości, doskonale przypadła do jego żywej wyobraźni i awanturniczego usposobienia; same już nocne wykradanie się z domu bawiło go, jako przerwa w monotonii codziennego życia.

Często teraz po północy siadał na kłocu przed małym sklepikiem, napawając się więcej może aromatyczną wonią letniego poranku, aniżeli nowemi poglądami, jakie Akiwa przed nim rozwijał. Za to dwudziestoletni kochanek z większem pewnie utęsknieniem nie oczekuje przedmiotu pierwszej swej miłości, niż samouk co noc wyglądał przybycia Eljasza. A jak młodzieńczym zapalem jaśniały

oczy pisarza, gdy siedząc obok pięknego chłopca, udzielał, mu z bogatego zasobu wiedzy swej i doświadczenia!.. Gdybyż na tem poprzestał!.. Ale Akiwa zbyt wiele cierpiał i zbyt długo z musu milczał. Nagromadzona przez lat trzydzieści gorycz przeciw ścieśniającym przepisom religji przeciw przesładującym go współwyznawcom, tłumnie się teraz cisnęła do ust, cudem prawie rozpieczętowanych, a Eljasz cieszył się, gdy gryząca ironja sceptyka wyzuwała system i osoby jego ciemniejszych i wyższych, którą mu dotąd imponowali.

Akiwa zalecał Eljaszowi jak największą ostrożność, by przed czasem nie odkryto ich tajemnicy. Taki atoli gorączka, jak zięć reb Lejba, z trudnością się tylko stosował do rad samouka. Straciwszy szacunek dla teścia i jego popleczników, Eljasz rzucił zarazem wszelki przymus i z ochotą oddał się naturalnym swym skłonnościom. Reb Lejb już nawet gniewać się przestał, i z zaciętymi ustami słuchał opowiadań rezydentów. Czuł on, jak jawne nieposłuszeństwo ze strony własnego dziecka podkopywało jego powagę, i że wybuch służyłby tylko do wykazania jego bezsilności.

— Swawola przejdzie z wiekiem—pocieszał stryj Gabriel.—Cóż, kiedy się niebawem groźniejsze jeszcze pojawiły oznaki. Doszło do tego, że Gwir nie o same już tylko rabinostwo się obawiał. Jakiś duch niewiary wiał ze słów Eljasza; zuchwałe zdania jego z dniem każdym trącały coraz większą herezją, a reb Lejb nie mógł już myśleć bez trwogi o przyszłości swego rodu. Cóż czekało szlachetne gniazdo Gwirów pod takim naczelnikiem? Jakież los ukochaną jedynaczkę przy boku takiego małżonka?..

W alkierzyku przy ulicy bóżnicznej tymczasem niemięjsze panowało wzburzenie.

Ryfka dostrzegła już była częste wymykanie się z do-

mu męża; postanowiła więc śledzić jego kroki. Ukryła się raz niewidziana za węglem domu, gdzie Eljasz i Akiwa nocną na kłodzie prowadzili rozmowę, i podsłuchiwała cały plan ucieczki. Biedna, kłótniwa Ryfka czuła, jak serce w niej zamierało. Kochała ona może towarzysza długoletniej niedoli po swojemu, znosiła zań prześladowanie i pogardę ogółu, pracowała ciężko na jego utrzymanie, a teraz, na starość, gdy siły ją opuszczają, on miałby ją rzucić jak znoszoną suknię, zostawić samą wśród ludzi obojętnych, lub, co gorsza, szydzących z jej bólu?..

Nie, ona, Ryfka, tego nie ścierpi. Jest jeszcze sprawiedliwość na świecie, są dobrzy ludzie, którzy się ulitują nad nieszczęśliwą...

Przypomniała sobie Gwirtę-Blimę, tak łaskawą dla niej owego wieczoru zapustnego. Tak, to Pan Bóg ją natchnął. Eljasz jest zięciem Gwirty, i tej ostatniej pewnie tak samo na tem zależy, aby młodzieniec nie uciekł tajemnie. A Blima i mąż jej, co tyle znaczą w miasteczku, pewnie posiadają środki, zdolne odwieść Eljasza, a tem samem i Akiwę, od zamierzonego przez nich wyjazdu.

Reb Lejb, wchodząc dnia jednego do pokoju żony, zastał tam nieznaną sobie kobietę z ludu, która, zanosząc się od płaczu, wołała:

— Blimo-opiekunko, królowo nasza! Ratujcie póki czas, i niedopuszczcie takiej krzywdy swemu dziecku i mnie nieszczęsnej!

Zdumiony Reb Lejb usłyszał teraz z ust Ryfki, co wiedziała i czego się obawiała dla siebie i jego córki. Już samo to zestawienie strasznym było ciosem dla dumnego Gwira, a każde słowo nędzarki, niby nagle błysnięcie wśród burzy, złowrogie światło rzucało na chmury, piętrzące się nad głową jego rodziny.

Wiele rzeczy niepojętych w słowach i postępowaniu

Eljasza, odrazu mu się stały jasnymi. Chwast to niedowiarstwa, zaszczipiony przez bezbożnika Akiwę, tak prędko wzeszedł i rozbijał w duszy jego zięcia! Teraz wszystko było straconem! Od takiej drogi niema już powrotu!

Przypuszczenie zetknięcia się *jego dziecka* z wyrzutkiem społeczeństwa—Akiwą, przejmowało Gwira wstrętem, nie dającym się opisać. Tu jednak nie o to już chodziło, czego życzył dla siebie i swojej rodziny, ale o obowiązek publiczny. Z jego to, reb Lejba Gwira, familji wyjść miała zaraza odszczipienstwa, i, jak to opowiadał reb Mojżesz o niemieckich heretykach, rozszerzyć się może po kraju całym!... Reb Lejb truchlał na samą myśl o tak ciężkiej w obec Boga i ludzi odpowiedzialności. Niebezpieczeństwo było nagłem, a każda chwila je powiększała. Nie czas już zwlekać z wypaleniem gangreny, która niebawem rozszerzyć się może na całe prawowierne ciało żydowskie...

— „Trzeba zarazoną owcę z trzody wydalić“ — rzekł wówczas reb Lejb, gdy mowa była o obcych.—Nie powinienże się zastosować do własnego zdania, gdy rzecz się tyczy członka własnej jego rodziny?..

Tejże jeszcze nocy, po długiej naradzie z żoną, dojrzał w umyśle reb Lejba projekt—żądania rozwodu.

Blima napróżno próbowała odwieść męża od tego zamiaru. Chciała teraz łagodnością działać na Eljasza, pomówić z Belunią, by się starała tkliwemi prośbami wymódlz na nim zmianę postępowania; ale reb Lejb surowo zakazał wszelkiego mieszania się kobiet do tej sprawy.

— Chcesz-że zgubić naszą córkę?—spytał z wyrzutem. Belunja dziecko, a on mało się nią zajmował. Nie miała jeszcze czasu doń się przywiązać. Chcesz-że uspioną zbudzić duszę, wyzwąć ją do walki, zbyt ciężkiej na jej lata i usposobienie? My—cierpmy i walczmy, a ona niech się w ostatniej dopiero chwili dowie o naszym postanowieniu.

Im prędzej działać będziemy, i im mniej słów—tem lepiej. Zanim się dziecko rozpatrzy, będzie już wolną od człowieka, który, jestem tego pewny, żadnego w jej sercu nie zostawi wspomnienia...

A gdy Blima dalej jeszcze nalegała, reb Lejb zamknął jej usta słowami:

— Wolałażbyś, aby ten niecnota, łamiąc uczyniony ślub, naraził drogie życie Beluni, lub uciekając z Akiwą, zostawił nam dziecko na całe życie *Aguną* ¹⁾?

Na tę myśl dreszcz przebiegł po ciele biednej matki.

— Rób jak ci się podoba,—rzekła z rezygnacją, a łzy kropliste jak groch spadały po zmienionej jej twarzy.

Jedna tylko obawa dręczyła umysł Gwira, mianowicie, czy Eljasz się zgodzi na danie rozwodu. Ale na wszystko były sposoby, i reb Lejb gotów był na największe ofiary pieniężne, byle się uwolnić od takiego zięcia.

Na pośrednika do tej negocjacji wybrał Gwir nauczyciela Eljasza--reb Samsona.

Miał on delikatnie wybadać swego ucznia, ile też on zażąda w zamian za rozwód dany Belli, i był upoważniony do wymienienia znacznej summy, jaką też na to przeznaczył.

Reb Samson ułak się tedy dnia jednego z propozycją Gwira do pokoju Eljasza.

Niestety, nasz erudyta nie należał wcale do zręcznych dyplomatów, i choć, jak mu się zdawało, bardzo kunsztownie nakierował rozmowę na drażliwy przedmiot, żądanie reb Lejba z jego ust tak jakoś wyszło, że Eljasz aż wstrząsł się cały.

¹⁾ Kobieta opuszczona, której mąż zniknął bez śladu, skazana przeto na życie samotne.

— I to sam reb Lejb kazał mi powiedzieć?..—zapytał z gniewem.

— Teść przecież nie żąda darmo rozwodu—doda wam do waszego posagu jeszcze tysiąc dukatów z majątku córki.

— Cóż-to — teść za hajdamaka mnie ma, że okup ofiaruje?..

— Cztery tysiące dukatów, to wcale ładna sumka—perswadował dalej reb Samson. Ożenicie się bogato i będziecie sobie całą gębą panem...

— Ani słowa więcej!—krzyknął Eljasz.

— Reb Lejb gotów dać i więcej—zaczął znów nauczyciel, gdy mu przerwał groźny głos Eljasza:—Milcz i wyność mi się ztąd, podły pedancie, — przyczem przyskoczył doń i ujął go za barki w najwyższym uniesieniu.

Nasz erudyta zląkł się tej gwałtowności; w oczach młodzieńca błysnęło coś takiego, coby przestraszyć mogło męźniejszą duszę, niż reb Samsona, który teraz, wyrwawszy się z ciskającej go dłoni, śpiesznie zrejterował ku drzwiom.

— Toć to teraz djabeł jakiś, nie żyd — pomyślał, drżąc jak listek osiny. Szczęście, że uciekłem, gotówby mi jeszcze co złego zrobić! Kto, jak ten *posze* (grzesznik), czesał się w sobotę ¹⁾ i jeździł konno w same dni *sfiry*, może i człowieka zabić...

Błady jak trup, reb Samson udał się do Gwira z opowiadaniem nieszczęśliwego rezultatu swej misji.

Pewny, że to tylko wybieg, dążący do podwyższenia ofiarowanej summy, reb Lejb sam się za parę dni udał do pokoju Eljasza.

¹⁾ Niektórzy kazuiści utrzymują, jakoby czesanie włosów należało także do prac, których unikać trzeba w dzień Sabatu.

Na widok wchodzącego teścia, młodzieniec zerwał się z siedzenia. Przez chwilę, oboje przeciwnicy wzajemnie się zmięrzali okiem w milczeniu.

Dawno już osoba Gwira przestała wywierać na Eljaszu zwykły urok powagi; a jednak, pod wpływem tego spójrzenia, tak surowego i wyniosłego zarazem, młodzieniec mimowolnie wzrok spuścił ku ziemi. Reb Lejb uśmiechnął się pogardliwie.

— Przyszedłem dowiedzieć się czegoś chciał... od reb Samsona?—zapytał.

— Reb Samson znieważył mię ciężko—odrzekł Eljasz, którego policzki okryły się szkarłatem.

— Żądał tylko w naszym imieniu rozwodu dla naszej córki.

— Ale ofiarował cenę...

— Która wydała ci się zbyt niską—rozumiem. Nauczyłeś się teraz cenić zaszczyt nalożenia do naszej familji...

Szafirowe oczy młodzieńca zaiskrzyły się, wszelka nieśmiałość znikła z wyprostowanej jego postaci.

— O, jak Akiwa was znał!—wykrzyknął, przystępując do teścia. Wszystko u was jest udaniem—pobożność i uczciwość, i owa duma, która nibyto najmniejszej nie ścierpi plamki na swym honorze. Pieniądze i opinja—oto wasze bogi!..

Reb Lejb patrzył zdumiony na ten niezrozumiały wybuch zięcia. Cóż znaczyły te słowa i do czego one zmierzwały?

— Nie chcesz dać rozwodu żonie?—pytał niespokojny.

— Czy myślicie, że wiele mi zależy na waszem bogactwie i zółkłym pargaminie waszego listu genealogicznego?..

— A więc zgadzasz się na rozwód, czy nie?

— Zgadzam się, tak, sto razy tak! Nie chcę ani wa-

szego *Ichesu*, ani waszych pieniędzy! Nie chcę nic mieć wspólnego z człowiekiem, który traktuje mię jak rabusia, ofiarując okup za własną żonę, i podłem złotem zapłacić chce krzywdy mi wyrządzone. Schowajcie do kieszeni okup i przyspieszcie tylko rozwód, abym mógł czempredziej proch z nóg moich otrząsnąć!..

Reb Lejb z trudnością się hamował, ale teraz nie czas było się obrażać patetycznymi wyskokami przeciwnika. Dobrze i to, że Eljasz nie miał przeciw samemu rozłączeniu się z Belunją. Było to, jak nateraz, rzeczą najgłówniejszą, choć Gwir musiał sobie powiedzieć, że tem dumnym odrzuceniem ofiarowanych mu pieniędzy, zięć przykrą dał mu nauczkę.

— Zuchwałe to, bezbożne, ale zawsze krew rabina nie kłamie—myślał w duchu.

VI.

Zaraz nazajutrz po odwiedzinach Ryfki, Belunię przeniesiono do dawniejszego, panińskiego jej pokoju. Blima, tuląc do siebie jedynaczkę, ze łzami tłumaczyła jej całe niezrozumiałe dla niej zajście; malowała jak najczarniejszemi kolorami grzechy Eljasza i straszne następstwa ztąd wyniknąć mogące, a nareszcie oświadczyła niezłomne postanowienie ojca żądania dla niej rozwodu.

Bela słyszała coś o niesnaskach między ojcem a Eljaszem, ale wiedziała, że nie do niej należało mięszać się w sprawy mężczyzn, których słuszności osądzić nie byłaby w stanie. Nigdy jednak biedne dziecko nie pomyślało, aby rzeczy zajść mogły aż tak daleko, i teraz słów matki słuchała z przestraszaniem. — Mąż nie okazywał jej wprawdzie nigdy zbytnej czułości, ale też nigdy jej ostrem nie uraził słowem. Widziała, że w postawie, ubraniu i obyczajach, odmiennym był od młodych kuzynów, bawiących w ich domu; ale ta odmienność wydawała jej się zawsze wyższością, i oko jej nieraz zajaśniało, gdy się Eljasz jakimś rozumnym słowem przy stole odzywał, gdy z nieporównanym wdziękiem chleb jej lub kielich z winem podawał. Z początku wszyscy go chwalili, rozwodzając się nad jego przymiotami, a ona chętnie wierzyła tym pochwałom. Później nikt już tak nie mówił, ale ona tak często o nim

myślała, że prawie zmiany tej nie dostrzegą. Jakimże sposobem tak rzadkie zalety odrazu zmienić się mogły w swe przeciwieństwo? Było to pytanie, nad którym sobie darmo teraz głowę łamała. Ojca pytać się nie śmiała, a matka nie mogła jej tej zagadki rozwiązać.—„Zepsuli go. namówili”—oto wszystko, czego się od tej ostatniej dowiedzieć mogła. Namówili—do czego? Aby nie chciał być rabinem? W tem nie mogła jeszcze widzieć występku. Rabini, których dotąd poznała, tak miejscowi, jak przyjezdni, byli to wszyscy ludzie żółkli, zgarbieni, szpetni i zaniedbani w ubiorze; a czyż nie szkoda było, aby młodzieniec, wysmukły jak sosna i świeży jak jutrzienka poranna, zamienić się miał w takiego zasuszonego grzyba?

— Nie chciał dać sobie obciąć włosów!—jakby nie było grzechem targnąć się na te jasne kędziory, których złotym połyskiem nieraz się lubowała, gdy słońce padało na nie przez okna jadalni, ogolić te przesłiczne włosy faliste, które podczas ożywionej rozmowy, tak wdzięcznie białą ręką z wysokiego odgarniał czoła?

Rozum jej nie mógł rozwikłać sprzeczności w postępowaniu swego otoczenia. Przy obiedzie—Eljasz teraz sam jadał w swoim pokoju—każdy miał coś złego do opowiedzenia o upadłym faworycie. Reb Samson szczególnie, coraz nowe fakta, dawno już jakoby spostrzeżone, na stół wytaczał, i żywymi barwami malował karę, czekającą w przyszłym życiu tych, którzy święty zakon i jego przedstawicieli znieważają.

Co tylko wyuzdana fantazja czcicieli ognia ¹⁾ wymy-

¹⁾ Wyobrażenie o piekle i strasznych karach zagrobowych obcemi są czystemu Mozaizmowi; mistycy przejęli je od starożytnych Persów.

śleć mogła w okropnościach kary zagrobowej, wszystko to, zdaniem erudyty, miało kiedyś być udziałem takich, jak Akiwa i Eljasz potępieńców.

Reb Lejbowi nie wsmak były te mowy, znosił je tylko w nadziei, że one ostatnią iskrę przywiązania, jeżeliby jeszcze tliła, w sercu jego córki przytłumią. Belunia zaś nie myślała wcale o krytycznym rozbiorze tych niedorzeczności. Wierzyła im owszem ślepo, i straszne obrazy na każdym ją dotąd kroku przesładowały. Niepokój o zagrożone zbawienie Eljasza i bezmierna litość dla obłąkanego całe jej serce zapełniały. Wszakże ten nieszczęsny nie wiedział nawet, że w końcu piekło go czekało! Czemuż go nikt o tem nie ostrzegął? Czemuż go nikt nie wstrzymywał nad brzegiem wieczystego potępienia? Byłóż to po ludzku, byłóż to po żydowsku, postępować tak z sierotą bez ojca i matki, którego wspierać, którym kierować byli powinni?..

Prędzej aniżeli się spodziewała Belunia, nadszedł termin rozvodu. Już Eljasz się z ich domu był przeniósł do zajazdu, a żona jego jeszcze nie zdawała sobie jasno sprawy, dla czego wszystko tak stać się musiało.

Noc poprzedzającą dzień fatalny, młoda kobieta przepędziła bezsennie. Wszystkie myśli, wątpliwości i obawy, o których mówiliśmy, obległy razem strwożone jej serce. Wiedziała, że Eljasz miał niezwłocznie po rozwodzie opuścić miasteczko. Nie będzie już tedy miała sposobności widzenia się z nim, by go ostrzedz o groźnym niebezpieczeństwie?.. Nieśmiałość, która ją dotąd wstrzymywała od zbliżenia się do męża, wydała jej się odrazu występłą. Czyż nie jej było obowiązkiem starać się wszelkimi siłami o moralną poprawę człowieka, którego żoną dotąd była przed Bogiem? A teraz miałoby już być zapóźno?... Dla czego zapóźno? Wszak Eljasz znajdował się w mieście,

wszak mogła mu jeszcze wypowiedzieć to wszystko, co jej na sumieniu ciążyło!

Ale przyzwoitość—tak utrzymywała matka—nie dozwalała zbliżyć się do człowieka, który nią wzgardził. Czyż jednak wzgląd na przyzwoitość nie powinien ustąpić tam, gdzie szło o sprowadzenie błędzącego na drogę cnoty i religii?..

Głowa biednego dziecka wirowała, serce jej uderzało jakby młotem, gdy nadedniem dopiero z tego chaosu pytań rozpaczliwe wynurzyło się w niej postanowienie. Machinalnie, jak lunatyczka, opuściła łóżko, ubrała się, i zarzuciwszy chustkę na głowę, wysunęła się z mieszkania. Sama nie wiedziała dobrze co robi, ale głos w jej sercu kazał iść — do *niego*. Musiała go widzieć, choćby potem i umrzeć przyszło...

Szła więc, nie oglądając się, do zajazdu, gdzie Eljasz czasowo zamieszkał.

Brama i okiennice były jeszcze zamknięte, Belunia, otuliwszy się chustką, usiadła na przyzbie przed domem i czekała. Nie pytała się, jak długo przyjdzie tu siedzieć, zanim ujrzy Eljasza—byleby go widziała.

Słońce tylko co weszło, jasne i majestatyczne, budząc wszelkie uspione życie i nowemi krzepiąc je siłami; ale świeżość cudnego poranku nie mogła ochłodzić żaru, który palił Belunię ni słodki świergot odzywających się ze-wsząd ptasząt zażegnać burzy, która wrzała w jej łonie. Przyroda lżejsze tylko łagodzić może cierpienia. Gdzie, zaś ból jest zarazem pierwszym rozkwitającym uczuciem, również silnem i energicznym, jak krążenie krwi gorącej w siedemnastoletniem sercu, kojący wpływ natury znika przed potęgą rozhukanej namiętności...

Tuż nad głową Beluni jedna z okiennic się zsunęła

i otworzyło się okno. Młoda kobieta zadrżała i spojrzała w górę.

W otworze ukazała się na wpół siwa głowa—Akiwy.

Pisarz wczoraj miał gwałtowną scenę z Rywką. Żona gniewała się, wymyślała, a nareszcie prosiła i błagała, ale nic więcej nie wymogła na Akiwie, prócz przyrzeczenia, że jej niezwłocznie przysła dużo pieniędzy.

Chcąc uniknąć dalszych skarg żony, Akiwa tej ostatniej nocy zamieszkał przy Eljaszu w zajeździe. Tak on, jak i młodzieniec, nie wiele dziś spali. Rozmawiali o przyszłości, o której pisarz tak samo marzył, jak młody jego towarzysz, i teraz pierwszy wyrzwał na ulicę, dla orzeźwienia się po nocy spędzonej bezsennie.

Akiwa poznał wnet otuloną postać młodej kobiety. Zdziwił się tem niezmiernie, ale bardziej jeszcze zaniepokoił myślą, by te niespodziane odwiedziny nie zagroziły całemu gmachowi, który z takim wielkim budował mozołem?...

Eljasz, słysząc, że żona czeka na dole, krzyknął zdziwiony. Czemp prędzej ubrał się i zeszedł, by się dowiedzieć, co ją skłonić mogło do tych odwiedzin. Ale jeszcze przed nim ukazał się Akiwa. Zjawienie się ich wywołało silny rumieniec na blade dotąd lica młodej kobiety. Przez cały czas układała sobie w myśli płomienne słowa, któremi przekonać miała Eljasza o grzeszności jego życia, wystawiać całą okropność czekającej go kary piekielnej. Będzie śmiałą, będzie wymowną, jak nigdy dotąd, boć szło o zbawienie bliźniego. Ale widok szyderczej twarzy pisarza zbudził w niej uczucie niewieściego wstydu, i pierwsze jej zaraz słowo w ustach zamroził.

— Czy macie jaki do nas interes? — spytał Akiwa, uprzedzając Eljasza.

Belunia stała zawstydzona, nie mogąc się jeszcze zdobyć na odpowiedź.

— Trochę za późnoście się podobno wybrali — rzekł teraz Akiwa ironicznie.

Okrutne te słowa do reszty zmięszwały Belunię.

— Chciałam tylko prosić męża... Eljasza, aby się.. opamiętał—wyjąkała nareszcie ledwo dosłyszalnym głosem.

Jakże to co powiedziała, zimnem było i zarazem niedorzecznem! Czowała nieboraczka, jak głupią rolę odgrywała w obec Eljasza.

Akiwa roześmiał się szyderczo.

— Czy żona nie przyniosła czasem jakiej pokutnej książeczki?—spytał, odwracając się do Eljasza.

Ten, milcząc, wpatrywał się w twarz Belli. Czegoż ona właściwie chciała? Jakież mogła mieć powód narazenia się na ranną wizytę w zajeździe?

Akiwa odgadł to pytanie.

— To ojciec was tu pewnie przysłał, z obawy, aby były zięć nie został dłużej w miasteczku i nie skompromitował go swoim postępowaniem—rzekł.

Eljaszowi takie tłumaczenie wydało się trafnem. Bo i jakże przypuścić, aby lękliwe to dziecko samo się zdobyć mogło na krok tak śmiały?

— Powiedz ojcu, niech będzie spokojny. Dziś jeszcze rozwód nastąpi, a potem niezwłocznie wyjadę.

— To nie ojciec mnie tu przysłał — cicho odrzekła Belunia.

— A więc ktoś inny chyba?..

— Przyszłam z własnej woli, prosić cię,—abyś odtąd był pobożnym—wymówiła z największem wysileniem młoda kobieta, którą łyzy, gwałtem powstrzymywane, w gardle dławily.

— Nie bójcie się—odrzekł Akiwa szyderczo —Eljasz

wyjedzie ztąd daleko. Nie będziecie się potrzebowali wstydzic, żeście byli jego żoną. Nie przeszkodzi wam to bynajmniej do nowego a świetnego zamążpójścia...

Belunia stała niema jak posąg pod powodzią słów, z których każde, niby miecz ognisty, przesywało zbolełe jej serce.

Chciała odpowiedzieć, objaśnić Eljasza, że się myli, ale łzy cisnęły się do jej oczu, a tu ludzie już się budzili, i ciekawością zdjęci, zaczęli się zbliżać do grupy przed zajazdem. Wstyd ogarnął biedaczkę. Otuliła się jeszcze bardziej w swą chustkę, zakrywając starannie łzami zalaną twarzyczkę, i śpiesznym krokiem uciekła ku domowi.

Tu wszyscy jeszcze spali, Belunia mogła tedy wejść niespostrzeżona, i rozebrawszy się, położyć napowrót do łóżka.

W południe tegoż dnia Belunię zawołano do salonu.

Rabin, ten sam, który im ślub dał, czekał tam wraz z duchowieństwem i *soferem*, mającym rozwód napisać.

Milczenie panowało uroczyste, przerywane tylko skrzypieniem pióra *sofera* na twardej kartce pergaminowej. Zanim tenże ukończy swą pracę napisania bez jednego błędu dwunastu fatalnych wierszy, oboje małżonkowie mają jeszcze czas do namysłu, i mogą cofnąć ostatecznie rozdzielające ich słowo.

Belunia podniosła wzrok w ten kąt salonu, gdzie przy oknie stali Eljasz i Akiwa. Ten ostatni miał minę tryumfującą, ale Belunia jej nie widziała. Eljasz stał wyprostowany, jakby gotując się do walki; wyglądał zupełnie jak ów królewicz w bajkach starej nianki Hanny. Złotołśniące włosy okalały twarz jego cudną aureolą piękności, a oczy młodej kobiety nie mogły się oderwać od tego widoku. Zdawało się Beluni, jakby go ujrzała po raz pierwszy. Prawdaz-to, że przez cały rok prawie żyła

obok niego?.. Nie, to sen chyba; ale przebudzenie było okropne. Jak tylko sofer skończy swoje pisanie, Eljasz weźmie od niego list rozwodowy, i gdy go poda jej do ręki, wszystko między niemi będzie skończone!..

Oto sofer już przestał pisać. Eljasz zbliża się z fatalnym listem. Śmiertelny chłód przeniknął serce młodej kobiety; instynktownie schowała rękę do kieszeni szlafrocza.

Eljasz, zbliżając się do żony, uderzony został straszłą bladością jej lica. Dziwne przypuszczenie błysnęło w jego myśli. Więc żona nie życzyła sobie rozwodu? Któżby to powiedział?—Ale w takim razie ranne jej odwiedziny w zajeździe miały inną może pobudkę? Wszak Akiwa nie dał jej nawet przyjść do słowa!..

W pierwszej chwili litość nad tem biednem, bladym dzieckiem, a może i tkliwsze jakie uczucie przemogło, i pargamin z którym szedł do niej, wypadł mu z ręki.

Akt rozwodowy był unieważniony, i sofer musiał zacząć na nowo mozolną swą pracę.

Rabin dostrzegł tymczasem wahanie się małżonków i podniósł się z siedzenia.

— Jeszcze czas do namysłu, dzieci moje!—rzekł łagodnie, zwracając się to do Eljasza, to do jego żony. Zapomnijcie uraz wzajemnych, pogodźcie się, a Bóg i ludzie cieszyć się będą z tego dzieła pojednania!

— Ja nie chcę pojednania—wykrzyknął stojący tuż za córką reb Lejb.—Sofer, napiszcie po raz drugi list rozwodowy!

— Zapominacie, reb Lejb, że wy tu nie jesteście stroną. Głos wasz w obec prawa żadnego już po ślubie nie ma znaczenia. Cóż, kobieto, zgadzasz się na rozwód?—spytał rabin poważnie.

— Powiedz *tak!*—szepnął jej ojciec po cichu.

W głębi serca Belli brzmiało potężne *Nie!*; ale nie-

stety, żaden głos nie wydobył się z dręczonej okrutnie piersi.

Eljasz patrzył głęboko wzruszony na żonę, której uczuć zaczął się domyslać; ale tuż za nią stał teść, również wyniosły i pogardliwy, jak zawsze, i Akiwa, wskazując nań, szepnął młodzieńcowi do ucha:

— Chciałżebyś przeprosić tego tyrana i wrócić jak żalujące dziecko pod różgę reb Samsona?

Eljasz zacisnął pięście.—Nigdy!—rzekł.

— A więc nie rób głupstwa, daj rozwód i jedźmy!

— Chcesz-że się wystawić na przyszłość pełną cierpien?—pytał tymczasem po cichu reb Lejb. On cię nigdy nie kochał; wszak okazał to swoim postępowaniem!

Belunia milczała wciąż.

— Miałażby moja córka tak dalece zapominać swoją godność, by pozostać przez całe życie nienawistnym ciężarem dla tego młokosa?—nalogał dalej ojciec.

Głuchy jęk wydobył się z ust nieszczęśliwej.

— Bo on cię nienawidzi, wierz mnie, ojcu swemu!

— Nie zostanę nienawistnym dlań ciężarem!—wykrzyknęła Belunia z rozpaczem wysileniem.—Ojcze, przyjmuję rozwód!..

Przeciw wyraźnie wypowiedzianej woli, rabin nie już nie miał do nadmienienia. Sofer powtórnie ukończył swą czynność, a Eljasz z hardą miną wręczył żonie akt rozwodu, rozdzielający ich na wieki...

Bella zaraz potem zemdląła, ale to już nie mogło zmienić dokonanego faktu. Nazajutrz Eljasz, odebrawszy kwit depozytowy na swoje trzy tysiące dukatów, wyjechał z Akiwą, nie wiadomo dokąd.

VII.

Belunia chodziła jak cień, ale oczy miała suche i usta się nie skarżyły.

Blima nie przestawała płakać. W duszy obwiniała już zbyt ni pośpiech męża, któremu by się była pewnie oparła, gdyby nie przesądna obawa następstw złamanego ślubu, i owe straszne słowo „Aguna“, którym reb Lejb ją przeraził. Ale i teraz jej było nie wesoło. Belunia prawie nie brała pokarmu i całymi dniami siadywała nieruchoma przy oknie, z okiem utkwionem gdzieś w dali niedoścignionej. Ciężki niepokój ogarniał serce rodziców, gdy tydzień za tygodniem mijał, żadnej nie przynosząc ulgi ukochanemu dziecku. Na czułe pytanie rodziców Belunia odpowiadała z uśmiechem, że ją nic nie boli, ale uśmiech ten, mimo swej dobrotliwości, miał coś tak bolesnego, że Blimie serce omal nie pękało z żalu.

Po kilku tygodniach okazało się, że Belunia była chorą i radzono się doktora Manasse, który, choć uczył się jedynie w golarni swego ojca, miał być wielkim *Mymche* ¹⁾. Manasse, odgarnąwszy długą kapotę, usiadł przy

¹⁾ Biegłym, znachorem.

łóżku chorej, i gryząc ogromną srebrną skówkę od doktor-
skiej laski, zawyrokował, że to wszystko—*humory*.

Recepty nie dał, bo mu z pisaniem szło nie bardzo
gładko; ale od siebie przysłał dużą kwartową fiaskę z ja-
kimś gorzko-słodkim dekoktem. Flaszkę tę chora miała
wypić w przeciągu dwudziestu czterech godzin; poczem
wszystko dobrze będzie.

Nie było jednak dobrze, mimo powtórzonej porcji
dekoktu, którą Belunia wysączyć musiała co do kropli.

Kuracja trwała długo, aż do dnia, w którym doktor
Manasse, wzięwszy Blimę na stronę, dziwną jej oznajmił
wiadomość.

— Moja przyjaciółko!—był to zwykły sposób mówie-
nia Manassego—na tę chorobę nawet Hufeland nie pomoże,
choćbym go gąsiorami lał do gęby chorej ¹⁾.

— A więc jest niebezpieczeństwo życia?—spytała, za-
łamując ręce biedna matka.—Moje dziecię, moje jedyne
dziecię!..

— Owszem,—odparł Manasse spokojnie—zamiast je-
dnego dziecka, będzie ich niezadługo dwoje...

— Na Boga! co mówicie, reb Manasse?

— Nic strasznego, Blimo, nic strasznego, jakim Ma-
nasse. Moja przyjaciółko! każcie smażyć konfitury i po-
myślcie o dobrych piernikach, bo będzie wnuk, albo wnu-
czka, co Bóg da...

Za kilka miesięcy pan Bóg w istocie dał Beluni cór-
kę, a reb Lejbowi wnuczkę, której przy nabożeństwie so-
botniem nadano imię *Speranzy*, na pamiątkę zmarłej przed
laty matki reb Lejba.

¹⁾ Manasse, który zasłyszał gdzieś przypadkiem imię Hufelan-
da, brał je za nazwę jakiegoś uniwersalnego lekarstwa.

Dziecię było zdrowe, przesłiczne, ale zawsze smutna to była uroczystość, przy której brakło ojca, a obecna matka wyglądała jakby nie z tego już świata.

Belunia wstała potem z łóżka i zajęła się jak dawniej gospodarstwem; ale zwykła bladość jej cery przeszła w jakąś przezroczystą, żółtawość; chód jej stracił swą elastyczność, a widok rozwijającej się codzien pięknej córeczki nie wywoływał radości na wychudłe jej lica. Stała czasem godzinami całemi nad kolebką małej Speranzy, patrząc w cudowne szafirowe oczy, które miała od ojca, z wyrazem tak rozdzierającego smutku, że obecnym temu na łzy się zbierało.

Rodzice próbowali wszystkiego w świecie dla jej rozerwania, obwozili ją po oweczarach i owczarkach okolicznych, po rebach i magidach, i byliby z nią pojechali do warszawskich doktorów, gdyby nie niespokojne czasy polityczne, które podróż w tamtą stronę czyniły niebezpieczną.

Reb Lejb potajemnie się nawet wywiadywał o miejscu pobytu byłego zięcia, w nadziei, że widok jego ożywi chorą; ale Eljasz wpadł jak kamień w wodę, i nikt nie mógł powiedzieć, co się z nim stało po wyjeździe z miasteczka.

Wycieńczenie Beluni stawało się coraz groźniejszym. Biedna nie opuszczała już wcale łóżka, choć ciągle jeszcze zrozpaczonych rodziców zapewniała, że to nic, że minie niedługo. Ani razu imię Eljasza nie przeszło przez usta młodej kobiety, a jednak do ostatka obraz jego tkwił w kochającej jej duszy. Kazała sobie kołysek przysunąć do łoża i z bolesną rozkoszą przyglądała się twarzyczce małej Speranzy, z dniem każdym okazującej większe do ojca podobieństwo.

W nocy, czuwająca przy Beluni stara niańka Han-

na, i mamka dziecięcia, słyszały jak chora, sądząc się samą, mówiła: „Pragnęłabym żyć dla ciebie, Speranzo moja, nauczyć się czytać we własnem sercu, gdy wyrośniesz, ale nie mogę—bez *niego*...

Reb Lejb i żona jego suszyli po całych tygodniach. Po wszystkich bóżnicach i beth-hamidraszach miasteczka od rana do wieczora rozlegały się modły i psalmy na intencję chorej dziedziczki. Przed kamienicą Gwira codzien rudobrody Mordko wraz ze starą Hanną stali z ogromnym koszem świeżo upieczonego chleba, który rozdzielali między biednych. Całą wyprawną garderobę Beluni, nie wyjmując złotem i srebrem haftowanych jubek, rozdarowywano między biedne panny. Pokuta, modły i dobroczynność—tak pocieszali się biedni rodzice—idą aż do tronu Bożego i mogą jeszcze w ostatniej chwili *Gzar-dyn* (wyrok śmierci) rozdrzeć.

Znachory i znachorki nie wychodzili z domu, kadząc, zamawiając, smarując, a doktor Manasse nie odstępował prawie łóżka chorej.

— Najgłówniejsze: wesołość i apetyt! — mawiał.—Do apetytu dopomagać miały flaszki z coraz nowymi dekoktami, które bezustannie warzył, a do wesołości—historje i rubaszne żarty, któremi się starał Belunię zabawić. Na nie-szczęście, doktor Manasse w prawdziwych swych historjach nigdy nie mógł spamiętać imion działających w nich osób, i sposób w jaki je sobie przypominał, nie zaweze był trafnym.

— Ot ta, co to mąż jej zawsze tak duże nosi pantofle, lub — ten, co to ma dom z czerwonymi okiennicami—miało służyć, zamiast zapomnianych przezeń imion własnych.

Razu jednego, opowiadając znowu jakąś historję,

w braku imienia, rzekł: Oto ten, co to żona jego niedawno umarła na suchoty, pamiętacie?..

Belunia odpowiedziała łagodnym skinieniem głowy, poczem spytała:

— Nieprawdaż, doktorze, że i ja niedługo umrę na suchoty?..

Manasse zląkł się swej niezręczności i zamilkł, skonfundowany.

— Teraz niema tu ani ojca ani matki; powiedzcie mi, zaklinam was na żonę i dzieci: kiedyż umrę?..

— Ale cóż wy gadacie. Młoda jesteście i Pan Bóg jeszcze dopomoże...

— Szczęście waszych słów, reb Manasse! Czuję, że już życia na długo nie stanie, a nie chciałabym umrzeć nie przygotowaną.

— Ot, nie gadalibyście takich rzeczy. Zobaczycie, że potańczymy jeszcze na waszem weselu...

Belunia nie już nie odpowiedziała; ale zaraz nazajutrz prosiła starą Hanne, aby się postarała o modlitwy dla konających, ale tak, żeby rodzice o tem nie wiedzieli.

Było to w pierwszy piątek po *Purym* roku 1793. Marcowe słońce jasno przyświecało przez okno sypialni. Na żądanie Beluni, przeniesiono ją z łóżka na fotel.

Kazała otworzyć okno i chciała, choć z trudnością, wciągała w siebie wiosenne już niemal powietrze.

— Dziękuję ci, Panie Boże, żeś mi pozwolił dożyć dnia słonecznego!—rzekła, składając pobożnie ręce, chora, której twarz niebiańskim jaśniała spokojem.

— Ojeze, matko, chodźcie tu do mnie—dodała łagodnie,—mam do was prośbę!

— Mów, dziecię moje, wszystko zrobimy, co tylko każesz — odrzekli rodzice, tuląc do ust zlodowaciałe jej ręce.

— Przyrzeczcie mi, że córki mojej nie wydacie za mąż przed dwudziestym rokiem, i nie będziecie przed nią nigdy źle mówili o jej ojcu!...

Był to jedyny raz, w którym Belunia zdradziła poniekąd powód trawiącej ją choroby.

Rodzice, szlochając, przyrzekli wszystko, co chciała.

— A teraz dajcie mi moją Speranzę, niech ją pobłogosławię, i pošlijcie po Chewrę, ¹⁾ bo czuję, że czas do drogil.. A wy nie płaczcie, nie desperujcie!... Taka była wola Boża...

W godzinę potem, jasna i kochająca dusza wróciła na łono Przedwiecznego...

Przez te półtora roku, które minęły od dnia rozvodu, niejedna srebrna nitka wkradła się między kruczo włosy i brodę Gwira. Czarne oczy wiele straciły ze swego wyniosłego blasku; ale reb Lejb żadnem słowem nie zdradzał żalu ze swego postępowania. Bolesć rozdzierająca ojcowskie jego serce, niemniej była głęboką, choć silna wiara, że bez rozporządzenia Bożego człowiekowi włos z głowy nie spadnie, odejmowała jej żądło samoobwiniania. Reb Lejb cierpiał jak Hliob, ale nie bluźnił jak on. Wierzył, że cokolwiek się stało, oddawna już napisanem było w księdze przeznaczeń, że Bóg nie chciał zbeszczeszczenia i zepsucia starego gniazda, i dla tego sprawił, że wydalono zeń grzesznika, a jeżeli ukochana jedynaczka życiem to przypłaciła, widać, że jemu i żonie jego nie było z góry przeznaczonem cieszyć się potomstwem...

— Bóg dał, Bóg wziął!—rzekł do tarzającej się w prochu żony swej. Niech będzie pochwalony Sędzia sprawiedliwy!

¹⁾ Bractwo zajmujące się konającymi.

A gdy Blima ciągle jeszcze w szalonej rozpaczycy uderzała głową o mur, jakby się czempredzej położyć chciała obok zimnych zwłok swego dziecięcia, zgromił ją za to surowo:

— Grzeszysz, niewiasto, przeciw Najwyższemu! Skargi twoje przeszkadzają czystej duszy wznieść się w te rajske sfery, które jej pewnie są przeznaczone. Podziękuj Bogu, że dziecię nasze zeszło z tego świata nieskalane, i staraj się, byś je potem spotkać mogła w Niebie. Ona święta, bo umarła bez skargi, i ty bądź jej godną i nie skarż się na sprawiedliwe wyroki boże!.

Zawołał potem Mordkę i spytał się, czy stół nakryty i lichtarze ze świecami przygotowane na nadchodzący Sabat.

— Blimo, osusz łzy i umyj twarz, bo święty Sabat nadchodzi—wołał, a żona posłuszna wstała z ziemi, umyła twarz i bezprzytomna prawie poszła, by stojące na stole świece zapalić.

Przez całą Sobotę reb Lejb nie widział trupa i nie uрониł ani jednej łzy; ale ci, co go w Sobotę wieczór widzieli, jak wyjmował z szafy płótno na *Tachrychym* (śmiertelne ubranie) zauważyli, że mu od wczoraj dziesięć lat wieku przybyło. Nie ta bowiem boleść jest największą, która na zewnątrz wybucha...

CZĘŚĆ II.

Speranza.

VIII.

Trzydzieści lat upłynęło od opisanych wyżej wypadków.

Krwawy demon wojny wstrząsnął posadami starej Europy, i w Polsce nie było chyba człowieka, któryby w jesieni 1806 roku nie odczuwał elektrycznego drgania tego prądu wielkich wypadków. Kupcy patrzyli z trwogą na zbliżający się huragan; politycy rachowali, a młodzież, owa gnuśna młodzież szlachecka, w której, zdawało się, apatja pruskich czasów ostatnią iskrę męztwa zgasiła, budziła się z letargu, i na odgłos trąby wojennej śpieszyła przelać krew na obce pola i dla sprawy sobie obcej, lecz ogromem swym olśniewającej nieopatrznych wnuków rycerzy z pod Grunwaldu, Chocima i Wiednia.

Ciągnęła młodź tłumnie pod chorągwie nowożytnego Cezara, a niejeden z osieroconych ojców, wyplakawszy oczy za synami, nie miał potem nikogo, coby mu znużone zawarł powieki.

Między innymi podobny los spotkał sędziwego pana Władysława Borzęckiego, właściciela naszego miasteczka, o którym wzmianka była na początku niniejszego opowiadania. Borzęccy, dawniej ród możny i bogaty, jeszcze za dziada i ojca obecnego dziedzica stracili znaczną część swych posiadłości, a to co zostało, rozdzielone na głowy

pana Władysława i starszego brata jego pana Michała, nie o wiele już przechodziło porządną fortunę szlachecką.

Dwaj bracia nie mogli jednak zapomnieć dawnej świetności, i całe życie starali się o naprawienie niesprawiedliwości losu. Pan Władysław dom prowadził pański, a dwóch dorodnych synów utrzymywał na wielkiej stopie w stolicy, licząc na bogate ożenienie, lub inny jakiś traf szczęśliwy, któryby im otworzył drogę do odzyskania należnego rodzinie Borzęckich stanowiska.

Pan Michał został bezżennym, życie prowadził aż do zbytku może oszczędne, chodził w szaraczku i barankach, pracował jak prosty ekonom na zagonie, a w opinji okolicy, a nawet i własnego brata, uchodził za skąpeca i dziwaka. Stary kawaler nie zrażał się wcale temi przydomkami i wytrwale dążył do celu, który, wbrew ogólnemu mniemaniu, stanowiło nie samo tylko zbijanie groszy. Pan Michał marzył o zebraniu z czasem majątku dla swoich bratanków, którym wprawdzie, by ich nie zachęcić do marnotrawstwa, nic nie dawał za życia, ale za to po śmierci zostawić miał znaczne kapitały w gotówce.

Gdy osiemdziesięcioletni pan Michał w roku 1807 świąt ten pożegnał, dukaty znalazły się w żelaznej szkatule pod jego łóżkiem; ale nie było już tych, dla których przez całe życie z taką ja zbierał skrzętnością. Porwani ogólnym zapalem, obaj młodzi Borzęccy, wbrew woli ojca i stryja, opuścili już byli kraj ojezysty i walczyli w szeregach francuzkich. Jednocześnie prawie otrzymana wiadomość o zgonie brata i zaciągnięciu się synów do armji, złamała sędziwego pana Władysława. W zimie 1808 roku zastajemy go złożonego ciężką niemocą i trapionego myślą zostawienia w najemnych rękach dziedzictwa Borzęckich.

Przy łożu chorego siedzi znajomy nam już kupiec

Lejb, czyli, jak my go nazwalismy, reb Lejb Gwir z miasteczka.

Borzęcy od wieków opiekowali się domem naszych Gwirów. W czasach wojen szwedzkich, najazdów tatarskich i kozackich, rodzina żydowskiego kupca bywało chroniła się do warownego zamku dziedzica i dzieliła tam losy jego wiernych, a w następujących potem latach pokoju przywilej szlacheckiego pana osłaniał kwitnący handel zbożowy izraelity.

W osmuastym wieku potęga domu Borzęckich wiele ucierpiała. Rozsypały się w gruzy mury warownego zamku, zmieniły się stosunki między panem a protegowanym przezeń kupcem, ale się nie zerwały. Nigdyby ani pan Władysław, ani brat jego pan Michał, nie sprzedali komu innemu swych produktów, jak reb Lejbowi; nigdyby się pierwszy do kogo innego nie udał z żądaniem pożyczki, gdy synowie z Warszawy o coraz nowe pisali zasiłki, jak do niego.

Czując, że dni jego są policzone, sędziwy pan Władysław kazał zawołać do siebie zaufanego izraelitę.

— Zle, Lejbo!—mówił chory. Życie uchodzi, nie doczekam się już powrotu mych synów.

— Jasnie panie!—próbował pocieszać kupiec.—Ufaj łasce Bożej! On jeszcze paniczów sprowadzi kiedyś w ojczyste progi.

— Ufam i wierzę, Lejbo, i dla tego o tem tylko myślę, jakby zabezpieczyć majątek, zostawiony im przez stryja, by mieli czem odbudować ojcowiznę, którą, gdy mnie już nie stanie, znajdą pewnie zniszczoną długim niedozorem, a może i spustoszoną przez niesumieńczych ofcjalistów.

— Jezelibym mógł w czem dopomódz, chętnie wszystko zrobię, co jasnie pan rozkaże.

— Wiadomo ci, Lejbo, że nieboszczyk Michał zostawił znaczny kapitał w gotówce. Jam pieniądze te od pierwszej chwili uważał za nietykalną własność mych synów, i mam je dotąd w całości. Teraz chcę je złożyć w twoje ręce.

— W moje?... przerwał kupiec zdziwiony.

— Tak jest, w twoje, Lejbo, gdyż do ciebie jednego tylko mam nieograniczone zaufanie.

— Jasnie panie! Tyś mnie zawsze miał za bogatszego, aniżeli byłem w istocie. Panowie macie przesadzone wyobrażenie o żydowskich majątkach; ale sumienie nakazuje mi odkryć ci całą prawdę. Choć Pan Bóg dawniej błogosławił mojej pracy, nigdy nie posiadałem dziesiątej nawet części tego, co mi przypisywano; ostatecznie zaś czasy wojenne źle oddziały na moje interesa,—mogę być narażony na utratę wszystkiego co posiadam.

— Wykręcasz mi się, a to nie pięknie z twojej strony. Nigdybym się tego po tobie nie spodziewał, Lejbo! Ton wyrzutu widocznie zabolął kupca.

— Czyż, jasnie panie, nie znasz Lejby, że tak mówisz? Mam-że ukrywać, że nie jestem już bogaty, i że to co zostało, może być w każdej chwili straconem?..

— Tu nie o majątek idzie, mój Lejbo!—odrzekł łagodnie chory. Kogo własne nie strzeże sumienie, tego bogactwo nie wstrzyma od bezprawia. Im więcej posiędzie, tem chciwiej zagarnie cudzą własność. Ja nie od dziś dnia znam twą uczciwość. Jestem przekonany, że choćbyś wszystko stracił, nie naruszysz powierzonego ci depozytu mych dzieci.

— Prędzejbym umarł—zawołał kupiec żywo.

— Widzisz, że cię trafnie osądził. Bierz więc tę szkatułę, i zakop ją w bezpiecznych podziemiach twego skarbnika, aż do powrotu moich synów.

Reb Lejb wahał się jeszcze.

— Jaśnie panie! Masz krewnych, przyjaciół—czemużś wśród nich nie wybrał depozytariusza?

— Bo przewiduję nowe burze w kraju, i wiem, że one nasz stan rycerski więcej dotkną niż ciobie, spokojnego kupca. Wasza zresztą familja, mamy tego dowody, potrafi być wdzięczną za wyświadczone jej dobrodziejstwa, a ty, Lejbo, osobiście jesteś przywiązany do naszego domu.

— Jaby'm gotów w ogień pójść za potomka Borzęckich—rzekł żyd poważnie. Wszakże to ród naszych opiekunów, dobrodziejów naszych, którzy przez tyle wieków silnemi barki podpierali dom moich ojców, od tyłu krzywd i przesładowań zastaniali nasze gniazdo.

— A więc, na pamięć naszych ojców, którzy się wzajemnie w każdej wspierali potrzebie, zaklinam cię teraz, abys wziął do siebie szkatułę i starał się wywieźć o pobycie moich synów, by ją oddać w ich ręce.

— Gdzież się obecnie znajdują młodzi panicze?

— Mówią, że w Hiszpanji, ale nie wiem nic pewnego. Jeżeli Pan Bóg ich zachowa przy życiu, niedługo tam się pewnie zostaną.

— Jakżeż ja bym mógł ich odszukać?...

— Nie wymagam niepodobieństwa; chcę tylko, abys się zobowiązał robić, co będzie w twojej możności, a resztę zostawiam woli Bożej i własnemu twemu sumieniu. Nie odmawiaj mi, Lejbo, tej ostatniej przysługi, a umrę spokojny.

Reb Lejb nie mógł się już dłużej opierać prośbie umierającego.

— Jaśnie panie,—rzekł wzruszony. Zrobię co każesz, i oby mi Bóg tak dopomógł w życiu i wysłuchał prośby moje w ostatniej godzinie, jak się postaram wiernie spełniać przyjęty teraz obowiązek. Oto moja ręka, że cokol-

wiek bądź nastąpi, nie tknę własności twych synów, i że wszystko, co tylko w ludzkiej jest mocy, zrobię, dla odzyskania paniczów i oddania im powierzonej mi teraz szkatuły.

Chory z uczuciem uściśnął podaną sobie dłoń żyda.

— Dziękuję ci, Lejbo, — rzekł, i mam nadzieję, że wspólny nasz Ojciec w Niebie wesprze twe usiłowania i nagrodzi podjęte dla nas trudy...

W parę tygodni po przytoczonej tu rozmowie, sędziwy pan Władysław Bogu oddał ducha, a nazajutrz po jego pogrzebie, reb Lejb własną ręką zakopał w podziemiach swego skarbnika powierzoną mu szkatułę Borzęckich.

Nowe stulecie, nadające inny zupełnie charakter społeczeństwu Europy, słabo tylko oddziaływało na otoczenie takich jak Gwir konserwatystów.

W domu reb Lejba znajdujemy ten sam tryb życia, te same zwyczaje i obyczaje, któreśmy tu zostawili przed laty.

Gwir i jego żona przez długi czas byli niepokieszeni po stracie jedynaczki. Reb Lejb osiwił nagle, a Blima straciła swą świeżość i tuszę, ale „śmierć pochłania na wieki i ściera Bóg łzę z każdego oblicza ¹⁾). Głęboka wiara, która nie dozwoliła reb Lejbowi oddać się bezrozumnej rozpacz, krzepiła go i w dalszem życiu. Rana została w sercu niezagojoną, ale niktby się jej, patrząc na dumnego Gwira, nie domyślił. Jedyłą oznaką była większa czułość dla Blimy, na której zapadłe policzki patrzył z boleścią, jakby na żyjący wyrzut sumienia.

¹⁾ Wiersz biblijny, którym odchodząco z cmentarza żegnają świeżą mogiłę.

Z czasem i córeczka Beluni, mała Speranza, stawała się pociechą dla strapionego dziadostwa. Trudno było zaiste widzieć coś rozkoszniejszego nad tę jasnowłosą dziewczynę, która, nie czując swego sieroctwa, uśmiechała się do patrzącej na nią ze łzami Blimy, drobne do niej wyciągając rączkę. Nawet surowy reb Lejb rozmarszczał czoło na widok małej Speranzy i godzinami całeni bawił się z wnuczką, która okazywała wyraźną predylekcję dla swego dziadusia.

Gdy dziewczynka podrosła, Blima zaczęła ją wdrażać do zajęć gospodarskich, do których niezmiernie była zręczną; ale, zrobiwszy co jej kazano, Speranza wracała zwykle do boku dziadusia, idąc za nim wszędzie, do spichlerzy i skarbnika, a nawet i do kantoru. Widząc go nad księgami, mała Speranza wcześniej już zapragnęła poznać ich treść, a gdy dziaduś odprawiał ją, mówiąc, że to rzeczy nie dla niej, udawała się ze swoją prośbą do sędziwego stryja Gabryela.

Stryj Gabryel, jak wiemy, inaczej pojmował ducha zakonu, niż rygorystyczny reb Lejb. Surowy dla siebie, spełniający najuciążliwsze przepisy talmudystów, dla drugich z wielką był pobłażliwością i otwarcie się liczył do uczniów Hillela ¹⁾, który utrzymywał, że podstawą całej religii jest: „Kochaj bliźniego jak siebie samego“, a resztę uważał tylko za dopełnienia, wywołane warunkami czasu i okoliczności.

Reb Gabryel nie widział naturalnie nic zdroźnego w życzeniu dziewczynki i z przyjemnością tłumaczył jej historję ludu izraelskiego.

¹⁾ Hillel (starszy), jeden z najznakomitszych Talmudystów, żył około 100 lat przed narodzeniem Chrystusa.

Wielkiem było zdumienie reb Lejba, gdy się raz dziecięoletnia Speranza odezwała przy stole z sentencjami ze świętej księgi; ale koniec końców czuł się pochlebionym podziwem obecnych temu rabinów i magidów i zamiast nagany, z czułością pogłaskał rumieniącą się twarzyczkę dziewczęcia.

Speranza potrafiła również pokonać wstręt reb Fajwła i wkroczyć się do kantoru, i o cud! systematyczny buchhalter, na którym dawniej skóra cierpła na samo wyobrażenie niewiasty, a tem bardziej dziecka, w jego sanctuarjum, wtajemniczał teraz złotowłosego choblika w głębokie misterje temperowania piór gęsich, a nieznacznie i czterech działań arytmetycznych.

Speranza doszła wkrótce, że achillesową piętą reb Fajwła była owa nieszczęsna polska korespondencja, do której niegdyś przyjąć musiano Akiwę, i z którą, od jego wyjazdu, poczciwy buchhalter nie mógł sobie jeszcze należyście radzić. Ztąd konkluzja dla usłużnej dziewczki, że ona musi koniecznie brać lekcje polskiego języka u starego pisarza miejskiego, by dopomódz reb Fajwłowi.

W gruncie, środki kształcenia równie skąpo płynęły dla Speranzy, jak niegdy dla jej matki, ale zdolniejszy umysł potrafił trochę więcej z nich skorzystać. Nie było jednak niebezpieczeństwa, aby Speranza, przekraczając granicę gynecceum, słabo już tylko strzeżone przez ubóstwiający ją dziadostwo, nadużyła swej wolności. Jeżeli bowiem głowę miała dobrą, to lepsze jeszcze serce dostateczną dawało rękojmię o przyszłości młodej dziewczyny.

Reb Lejb miał swoje powody, dla których zezwalał na wyłamywanie się wnuczki z pod przyjętego powszechnie zwyczaju. Gdy nieboszczka Belunia miała rok trzy-nasty, myślano już o wydaniu jej za mąż, a podróże złoczewskiego Magida, szukającego kawalera dla dziedziczki, kosztowały dziesiątki dukatów. Obecnie, gwirostwo

goręcej może jeszcze pragnęło zięcia,— cóż, kiedy ostatnia wola zmarłej córki odkładała epokę ślubu sieroty do dwudziestego roku życia!

Rzecz to była tak dalece rzadka u ówczesnych, bogatszych szczególnie żydów, że tak dziad jak i babcia nie mało się tem martwili, a nawet i wstydzili, nie mając wcale pojęcia o tem, czemby te długie lata panieństwa wnuki zapełnić. Widząc, że Speranza sama sobie radzi, że się zajmuje biblią, a nareszcie nauką krajowego języka, dosyć z tego byli zadowoleni, starając się tylko tę ostatnią do praktycznych nakierować celów.

Speranza od dwunastego tedy roku pracowała już w kantorze i stylizowała potrzebne listy do obywateli o kupno zboża, zaliczki, dostawy i tym podobne interesa kupieckie, a czyniła to z taką ochotą i umiejętnością, że się stała nie tylko użyteczną, ale niezbedną staremu reb Fajwłowi.

Z twarzy i figury wnuczka reb Lejba nie przypominała wcale nieodżałowanej Beluni, a była raczej żywym obrazem Eljasza. Ten sam wzrost majestatyczny, ta sama kształtność form, której pewne miękkie zaokrąglenie każdemu ruchowi dodawało nieopisanego, czysto niewieściego wdzięku, ta sama gładkość płci, regularność rysów, podłużna oprawa ciemno-szafirowych oczu, i te same jasne i bujne kędziory o złotawym połysku.

Mimo tak niezwykłej urody, Gwir żałował czasem głośno, że to nie chłopiec.

— Cóż nam z jej rozumu i piękności? — odpowiadał na komplementa obcych gości. Baba do garnka tylko i kądzieli.

— Zobaczysz, dziadusiu, że ja coś więcej jeszcze potrafię—mawiało wtenczas dziewczę, potrząsając rezolutnie złocistą swą główką.

Nie idzie zatem, aby Speranza gardzić miała garnkiem i kądzielą. Jako prawdziwa izraelska niewiasta, wnuczka reb Lejba nie dzieliła nigdy pracy na wyższe i niższe, i chętnie miała się każdej, którąby w czemkolwiek przysporzyć mogła wygody, lub przyjemności ukochanemu dziadostwu. Z równą gorliwością uczyła się przygotowywania ulubionej reb Lejbowi potrawy, jak i stosowania w korespondencji z obywatelami rozlicznych tytułów, począwszy od „jaśnie oświeconego“ a kończąc na prostym „mości dobrodzieju“.

W dnie powszednie, Speranza, ubrana skromnie w dymkowy szlafroczek, pracowała w kantorze, albo w kuchni i czeladni; zdejmowała ciężar gospodarstwa z bark chorewitej teraz Blimy; w sobotę za to młode dziewczę od samego już rana chodziło strojne w jedwabną suknię, w której rozkwitające formy jej młodego ciała rysowały się precydujnie, a na którą spuszczała dwie długie po kolana i miękkie jak jedwab kosy, rywalizujące swym blaskiem z grubym łańcuchem złotym, okalającym łabędzią jej szyję.

Bywało latem, w Sobotę, gdy się wszyscy w domu oddawali poobiedniej drzemce, piękne dziewczę wychodziło do ogrodu, i tam, siedząc samotnie na murawie, czytało Pismo święte lub dumalo. O czem właściwie?.. Najprzód o nieznanym ojcu, o którym wiedziała, że żyje, choć nigdy nie wspominaano jego imienia. Nie mając siostry, ani równienniczki, którejby się zwierzyć mogła z tysiącznych myśli i uczuć, rodzących się w głowie podlotka, nie śmiejąc zwrócić się z niemi do starszych, wnuczka reb Lejba z czasem stworzyła sobie światek fantastyczny, odrębny, w którym zagadkowy ów rodzic główną grał rolę. Marzyła o spotkaniu się z nim wśród jakichś okoliczności dziwnych, wyjątkowych, stroiła jego osobę w tęczowe bar-

wy ideału, do których wzory dostarczali bohaterowie starożytności.

Zajmowały też Sierpanę świętą niewiasty i prorokinie biblijne i apokryfów, w których życiu i czynach tak samo się zatapiała, jak terazniejsze pensjonarki w modnych romansach francuzkich, wyciągniętych ukradkiem z biblioteki matczynej. Przy czytaniu historii Debory, Estery, lub Judyty, młoda wyobraźnia, uspiąca przez cały tydzień prozaiczną pracą w kuchni lub kantorze, odzyskiwała swoje prawa.

Gorąca fala krwi oblewała śnieżne czoło i uroczość twarzyczkę, ogień zapału błyszczał w dużych szafirowych oczach dziewczęcia. Czasami gruba księga zsuwała się na kolana Sierpany, a ona, oparta o drzewo, wsłuchiwała się w tajemniczy szept gałęzi, w brzęczenie owadów, lub plusk rzeki, wlepiła wzrok zamglony w białawe obłoczki, szubujące po niezmiernym przestworze...

Gdzież wtenczas błądziły myśli twoje, piękna Sierpano? Czyż już tęsknem przecuciem patrzałaś w różową zasłonę przyszłości? Powiewne widzenia młodzieńcze wysnuwały się z piętnastoletniej twej fantazji! Ale obok nich i postacie zamierzchłej przeszłości stanęły teraz przed tobą i językiem prastarej poezji przemówiły do dziecka swego ludu. Serce twoje żywiej bije, o córo Izraela! biała pierś wzdyma się wielkiem uczuciem poświęcenia i ofiary. Czujesz, że jak Debora zagrzewałaś hufce Baraka do walki z poganami i śpiewała płomienne hymny zwycięstwa, że jak Estera zeszyłaś ze złotych stopni perskiego tronu, by rzucić się do nóg tyrana i błagać za uciśnionych swych braci, że jak ona nadstawiałaś młode życie i odrzekła Mordechajowi: „Wolę zginąć, bobym i tak zginęła!”¹⁾

¹⁾ Megilath Ester.

IX.

Rok 1806, do którego teraz wracamy, wpłynął, jak się łatwo domysleć można, i na interesa zbożowe w Polsce.

Wprawdzie Gdańsk był w ręku Prusaków i nieprzypuszczano jeszcze wówczas, aby Francuzi kusili się o jego zdobycie, ale wszelki handel międzynarodowy zdawał się być zagrożonym, a kupcy, chwytając ciekawem uchem wieści o coraz nowych bitwach i zamierzanych wyprawach Napoleona, ociągali się z narażeniem swych kapitałów na niepewne losy wojny europejskiej.

Reb Lejb mniej także kupował zboża niż zwykle, a wkrótce się pokazało, że przezorny kupiec miał słuszość. Horyzont polityczny Europy coraz gęstszymi okrywał się chmurami, i dopiero w 1807 r. zaczęto myśleć o ładowaniu zboża na wiosnę, gdy nadeszła z zagranicy wiadomość, że Francuzi podsunęli się pod same mury Gdańska.

Jakoż, marszałek Lefevre w dniu 7 Marca osaczył twierdzę, której ani słaby garnizon pruskiego generała Kolkreutha, ani nędzne oszańcowania obronić nie zdołały.

Przez cały czas blokady Gdańska nie było naturalnie co mówić o spławie zboża, i z niespokojnością oczekiwano dalszego biegu wypadków.

Dnia 24 Maja Gdańsk przeszedł pod władzę Fran-

cuzów, a w miasteczku dowiedziano się o tem na końcu Czerwca.

Do tego czasu zapasy zbożowe pozostawały w spichlorzach, a i teraz nikt jeszcze nie myślał o spławianiu ich, gdy nieustalone między wojującymi państwami stosunki co dzień nowym zagrażały wybuchem.

Pokój tylżycki, zawarty dnia 9 Lipca 1807 r., ogłosił Gdańsk z przyległościami miastem wolnem, pod opieką Pruss, Saksonji i Francji, i dał znowu rękojmię bezpieczeństwa dla handlu. Negocjanci odetchnęli; rolnicy, u których zeszłoroczne zapasy leżały jeszcze po gumnach i stodołach, i którym złote już kłosa na łanach nowe obiecywały żniwo, z radością witali w swych progach faktorów, przynoszących propozycje kupna. Zawsze jednak długa stagnacja obniżyła ceny, i kto jak reb Lejb, mimo niesprzedanych zapasów, rozporządzał jeszcze kapitałem i kredytem nieograniczonym, mógł, dokupiwszy więcej pszenicy, kolosalny zrobić majątek. Towar stanie w Gdańsku późną dopiero jesienią, ale odbył i wtenczas był więcej niż pewny, gdyż w Anglji, z powodu chybienia wiosennych z północy dowozów, głód prawie panował.

W Sierpniu 1807 r. znowu się tedy ożywiło w miasteczku. Obywatele zgłaszali się listownie, a nawet osobiście do kantoru Gwira, ofiarując niesprzedane produkta za połowę cen zeszłorocznych, i obiecując jak najrychlejszą odstawę.

Gwir z początku nie śpieszył się z kupnem, ale rolnicy potrzebujący pieniędzy nalegali, a ceny były tak niskie, że niepodobieństwem było oprzeć się pokusie.

Zaledwo się dowiedziano, że reb Lejb jest czynnym, ze wszech stron zaczęli się zjawiać w kantorze ludzie z drobnymi kapitałami, i kto tylko jaki taki oszczędził fundusik, oddawał teraz swój worek meklerowi, by go zaniósł

do reb Fajwła, z uniżoną prośbą o przyjęcie go, bodaj na szósty procent rocznie, za kwitkiem, czy ustnem słowem Gwira.

Reb Lejb tedy kupował, a ziemianie na gwałt odstawiali pszenicę, którą niezwłocznie ładowano na tratwy i wyprawiano do Gdańska.

Nigdy jeszcze reb Fajwel nie miał tyle do roboty, co tej jesieni, nigdy bowiem nie wysyłano takiej ilości zboża, ani z tak gorączkowym pośpiechem. Massa ludzi zajęta była ładowaniem, gdyż przy spóźnionej porze, każda chwila odwłoki zagrażała przezimowaniem towarów na Wiśle. Spław rozpoczynał się pod najpomysłniejszą wróżbą. Upały były wielkie, ale częste deszcze zasilaly naszą rzekę, i nie było żadnej odtąd obawy, aby zabraknąć miało wody na uniesienie galarów, lub lekkich tratew z pszenicą.

W krótkim stosunkowo czasie cały transport reb Lejba dostał się szczęśliwie na Wisłę, a w miasteczku byli ludzie obliczający cyfrę zysku, który czekał Gwira, na dziesiątki tysięcy dukatów.

Matka atoli rzek naszych jest sobie kapryśną panią, i mało kto liczyć może na stałe jej względy. We Wrześniu woda na Wiśle była dosyć jeszcze głęboką, ale w początku Października nagle opadać zaczęła, i w połowie miesiąca cała ta flotylla galarów i tratew żółwim już tylko krokiem naprzód się posuwała.

Widoki dostania się na zimę do portu, stawały się codziennie coraz słabszemi. Dzielni flisacy i retmani, kierujący tą wyprawą, robili co mogli, ale usiłowania ich rozbiły się o płytkość wody i wczesne zimna. W pierwszych tygodniach Listopada zawieje śnieżne i przymrozki niezmiernie już utrudzały nawigację, a w ostatnich dniach tego miesiąca tak silne chwyciły mrozy, że tratwy i ga-

iary, lodowym opasane murem, stanęły o parę mil od Bydgoszczy. Cały transport zamarznął wśród Wisły.

Wiść o zamarznieniu ładunku doszła niebawem do miasteczka, gdzie reb Lejb przyjął ją ze zwykłym sobie spokojem. Doświadczony kupiec wiele już w swej długiej karierze przeżył podobnych wypadków, wiele już burz przeciągnęło ponad jego siwą teraz głową, a jednak dom jego wszystko przetrwał niezachwiany, i sława imienia Gwirów szeroko dotąd rozbrzmiewała po handlowym świecie.

Wyrębywanie zamarznionych tratów i wyciąganie ich na ląd, odwożenie zboża do śpichlerzy w Bydgoszczy, i utrzymywanie przez całą zimę nad nimi nadzoru, kosztowało, co prawda, znaczne summy; ale któż mógł przewidzieć, czy ceny produktów nie podniosą się jeszcze na wiosnę i kosztów tych w dwójnasób nie wynagrodzą?

Najgorszem było to, że reb Lejb wszystkie swe rozporządzone kapitały włożył w te zamarzniete zapasy, i nie mógł już myśleć o robieniu nowych transakcyj na obecną zimę.

Przywykły do ciągłej czynności, i otoczony ludźmi, którzy wszyscy żyli z jego interesu, reb Lejb uczuł dotkliwie to chwilowe zatamowanie jego biegu. Ale „co się odwlecze to nie uciecze”—niech tylko Wisła puści na wiosnę, niech się tylko transport dostanie do Gdańska, a będzie znowu gotówka do nowych zakupów.

Z gorączkową tedy niecierpliwością reb Lejb oczekiwał nadejścia cieplejszej pory, a tymczasem starał się zebrać w miasteczku i wysłać reb Fajwłowi pieniądze, potrzebne na opłacenie kosztownych leży zimowych w Bydgoszczy.

Rok 1807, tak obfity w wazelkiego rodzaju niespodzianki najgorszą z nich zostawił na sam ostatek. Jak grom

z jasnego nieba spadł na naszego reb Lejba dekret Napoleona z dnia 17 Grudnia, zaprowadzający tak zwany system kontynentalny, czyli blokadę lądową, w nowo zdobytym Gdańsku.

Dekretem tym, obostrzonym jeszcze drugim z dnia 11 Stycznia 1808 r., port Gdański nietylko zamknięty został dla statków angielskich, ale wszelkie jakiegokolwiek bądź narodowości okręty, udające się do Anglii, lub mające stosunki z poddanymi Wielkiej Brytanji, podlegać miały konfiskacie.

Dekret ten wydawał się tak dziwnym, tak niepodobnym do wykonania, że go długi czas w samym Gdańsku uważano za fałszywy postrach na Anglików. Gdy jednak korsarskie okręty, upoważnione przez rząd francuzki, krążyć zaczęły na Bałtyku, gdy jeden i drugi statek zrabowano lub zatopiono, biedni gdańszczanie, a z nimi i polscy kupcy, przekonali się, że Napoleon nie żartuje.

W owym właśnie czasie napłynęły do Gdańska niezliczone zapasy zboża, które przezimowały na brzegach Wisły, a między nimi i towary naszego reb Lejba. Składy na Spoicherinsel, na Steindamm, Langgarten i Mattebuden, przepelnione były coraz to nowo przybywającymi ładunkami, na które napróżno wyglądano kupca.

Po ulicach portowego miasta blade postacie polsko-żydowskich negocjantów, bezczynnych teraz meklerów i sznapanów miejscowych, stały gromadkami, lub snuły się jak cienie, koło niemniej zgnębionych naczelników poważnych firm handlowych, przysłuchując się ich rozprawom, jak długo jeszcze potrwać może ten stan wyjątkowy, zagrażający ruiną całemu handlowi Europy.

Zima 1809 r., tak samo jak i rok następny, zmiany żadnej nie przyniosła. W naszym miasteczku napróżno z dniem każdym oczekiwano pomysłnych nowin od reb

Fajwła,—w miejsce ich nadchodziły tylko listy z żądaniem coraz świeżych posyłek pieniężnych, by było czem zapłacić za śpichlerze.

Koszta konserwowania takiej masy towaru przez te dwa lata, zwiększały się w sposób zatrważający. Im bowiem dłużej pszenica leżała w śpichlerzach, tem częściej musiała być przerabiana i przewietrzana przez sznapanów, by ziarno nie zatechło i nieuległo zgniliznie.

Reb Lejb nowe w miasteczku zaciągał pożyczki i wysyłał reb Fajwłowi. Obracając dotąd zawsze własnymi tylko funduszami, teraz z przestachem liczył cyfrę tych pożyczek, która z każdym miesiącem stawała się coraz większą, gdy do niej dodawano wcielane do kapitału procenta. Smutne to były czasy, nietylko dla reb Lejba Gwira i jego rodziny, ale dla całej rolniczej i kupieckiej Polski. W miasteczku naszym ten zastój ogólny dotkliwiej może jeszcze niż gdzieindziej uczuć się dawał. Kantor reb Lejba stał opróżniony. Szyprowie, flisacy, faktorzy, tragarze i furmani wraz z żonami i dziećmi umierali z głodu, u obywateli uzbierało się zboża w stodołach i stertach, a ubywało grosza w szkatułach—ogólny dobrobyt spadał z dniem każdym.

Reb Lejb nie zmienił dotąd trybu życia i prowadzenia domu. Potrzebujący, a było ich teraz o wiele więcej niż dawniej w miasteczku, nie wiedzieli do kogo się udać, prócz dobroczynnego Gwira i jego żony, a ubodzy krewni, wdowy i sieroty, po dawnemu jeszcze u nich szukali opieki, której im nie odmawiano.

— „Nie odciągaj ręki od biednego brata!” —naucza zakon Mojżesza.— „Daj każdemu co rękę do ciebie wyciągnie!” —mówi Talmud, a zasady tej żydzi nigdzie może nie stosowali w takiej rozciągłości, jak w Polsce, gdzie na jednego zamożnego izraelitę tysiące przypadało nędzarzy.

Ta gotowość do dawania, która czasem nie bywała wcale w stosunku do możności dającego, jak z jednej strony świadczyła wymownie o duchu ofiarności, i nie pozwalała bogatszemu zaskorupieć w egoizmie, tak z drugiej strony wytwarzała z czasem liczny proletarjat, zasłaniający się tarczą nauki, czy szlachetniejszego rodu, od wszelkiej pracy cięższej, i zgłaszającej się po jałmużnę, jakby po należną sobie część cudzej pracy—rodzaj trybutu. Stosunki te, ustalone wiekami, trudno było odrazu zmienić. Reb Lejb nie mógł każdemu z żądających od niego zwykłej pomocy wyłuszczyć powodów, które teraz stawały na przeszkodzie jego wspieraniu. A i druga jeszcze była przyczyna, dla której dom pozostać musiał na dawnej stopie. Reb Lejb miał teraz długi w miasteczku, niewielkie wprawdzie w porównaniu z summą, jaką, mimo spadania cen, reprezentowały towary jego w Gdańsku, ale zawsze takie, których, bez sprzedania zapasów, nie był w stanie spłacić.

Obecnie więc wszystko stało na dobrej wierze i kredycie, i musiano się wystrzegać najłżejszego choćby pozoru, świadczącego o ubytku mienia, by nie wywołać popłochu wierzycieli.

Przyjmowano tedy gości i rozdawano jałmużnę, jak dawniej, spuszczać się potrochu na stare polskie przysłowie: „Pan Bóg radzi o swojej czeladzi“. Wszak blokada lądowa nie mogła trwać wiecznie, a potem handel, jak zwykle po tak długiej przerwie, zakwitnie znów w całej pełni; zboże i drzewo sprzedadzą się po najlepszych cenach, i rany zadane dekretem Napoleona, wkrótce się zagoją.

Reb Fajwel ciągle jeszcze bawił w Gdańsku, a prócz niego nikt nie był wtajemniczony w prawdziwy stan interesów reb Lejba.

W mniemaniu ogółu owe mistyczne beczki złota do-
tąd istniały jeszcze w podziemiach ratusza, i mogły wy-

starzyć nie tylko na trzy lata, ale na lat dziesiątki. Nikt też nie myślał upominać się o zwrot wypożyczonych kapitałów, tak bezpiecznych w ręku Gwira, i wolano regularnie doliczać do nich procenta, które w takich czasach bezrobocia, za prawdziwe uważano szczęście.

Taki stan rzeczy trwał przez lat trzy i pół, licząc od dnia przybycia do Gdańska towarów naszego Gwira.

Po nowym roku 1811, buchhalter doniósł, że udało mu się nareszcie wszystką pozostałą pszenicę reb Lejba sprzedać dla francuzkich magazynów wojskowych, i że otrzymał za nią bony, podpisane przez samego gubernatora, generała Rappa, i burmistrza miasta Gdańska.

Reb Fajwel sprzedaż tę uważał za wielkie szczęście, w jego bowiem oczach wartość bonów francuzkich równała się złotej monecie. Tegoż zdania był i reb Lejb, który mógł już teraz stanowczo obrachować poniesione straty.

Pokazało się, że choć wiele się przez te lata zepsuło towaru, bony reprezentowały jeszcze sumnę, którą zrealizowawszy, będzie można zaspokoić wierzycieli, a nawet pozostać przy okazałym jak na takie czasy majątku.

Tylko, że owe tak upragnione zrealizowanie jakoś szło nieraźnie. Reb Fajwel codzien prawie naprzykrzał się w magistracie gdańskim, godzinami całemi czekał w przedpokoju gubernatora, podawał niemieckie i francuzkie prośby, w których opisywał opłakany stan interesów swego pryncypała, — rezultatem tych wszystkich starań i zabiegów była tylko obietnica, że się niezadługo w kasie zbierze dosyć złota i srebra na spłacenie wszystkich wystawionych dotąd bonów miasta Gdańska.

Mimo tych uroczystych zapewnień, bony za zboże reb Lejba w końcu 1811 roku były jeszcze w ręku reb Fajwla.

X.

W miasteczku tymczasem, długi starego kupca rosły, gdyż nie mając gotówki na zapłacenie procentu, potrzeba było na te ostatnie osobne wystawiać rewersa. Meklerzy coraz podwyższali niską z początku stopę odsetek, a reb Lejb, nie mogąc im zwrócić kapitałów, choć duma jego cierpiała niewymownie, choć w duszy zżymał się i gniewał, musiał przystać na wygórowane ich żądania.

Wpływ tych operacji finansowych na opinię był jak najfatalniejszy.

Reb Lejb zawsze jeszcze chodził wyprostowany i na pozór pogodnie prozydował przy suto zastawionym stole, utrzymywał krewnych i ubogich bachurów, obdarowywał przejezdnych i uczonych, gdy na około zaczęto już przebąkiwać, że kuso było koło starego Gwira.

W miasteczku naszym żył człowiek, imieniem Benjamin Kadysz. Kadysz rodem był nie tutejszy, przybłąda, jak go nazywał dumny reb Lejb, a zajęcia jego lichwiarskie i sknerstwo czyniły go przedmiotem ogólnej pogardy. Dochrapawszy się różnemi sposobami niejakiego majątku, lichwiarz zapragnął z czasem wejść do grona lu-

dzi porządnych. Najsamprzód sprawił sobie w miejsce dotychczasowej dymkowej kapoty, żupan racimorowy; prostą czapkę zamienił na elkowy kołpak, i ustrojony w te insygnja, zasiadł jednej pięknej Soboty w głównej ławce (Misrach-wand) synagogi, na miejscu odkupionem od jakiejś podupadłej rodziny.

Reb Lejb, na widok intruza skrzywił się w sposób bardzo znaczący, a podczas pauzy (Ausnehmen), stary Magid Złoczewski przystąpił do Kadysza i głośno jął ubiór jego podziwiać.

— Winszuję, Kadyszu!—rzekł.—Fiu, fiu, wszystko nowiuteńkie, jakby z igły... No, będzie z tego i dla mnie użytek. Mój żupan już się drze, a wy, co tak lubicie pożyczyc, pozwolicie mi może na jakiś czas *ten jedwabny kaftan, coście go do dziś dnia nosili.*

Otaczający, którym wiadomo było, że jedwab dziś poraz pierwszy w życiu okrywał barki lichwiarza, wybuchnęli śmiechem, i zawstydzony Kadysz przez długi czas nie śmiał się już pokazać w nowym swym stroju.

Kadysz, jak wszyscy tego rodzaju ludzie, lubiał po pisywać się dewocją. W Sądny dzień (Jom kipur) przez całą dobę nie wychodził ze świątyni, płakał, bił się w piersi, i stojąco odprawiał wszystkie modlitwy, nie siadając ani na chwilę.

Reb Lejb z przykrością patrzył na manewra hipokryty, któremi zamydlał oczy prostakom, i wieczorem nie raczył nawet odpowiedzieć na jego pozdrowienie.

Za to Magid doszedł do Kadysza.

— Wyście cały czas stali, Benjaminie?—spytał niby z podziwieniem.

— Taki już mój zwyczaj—odpowiedział skromnie zapytany.

— Ależ to niebezpieczne!

— Z jakiego powodu?

— Z bardzo prostego. Wy, Kadyszu, stoicie cały dzień nad panem Bogiem, niby egzekucja nad niewypłacalnym dłużnikiem, a on gotów się jeszcze rozgniewać i zapłacić z procentem, co wam się istotnie należy...

Tego rodzaju przycinki rozdrażniały tylko Kadysza, nie poprawiając go. W kilka lat później zuchwalstwo lichwiarza doszło do tego stopnia, że umyślił starać się o dostojenstwo kahalnego, a że sypnął groszem na agitację między ciemne pospólstwo, dopiął nareszcie, że kandydatura jego postawioną została na zebraniu gminnem.

Reb Lejb, dowiedziawszy się o tem, natychmiast opuścić chciał kancelarję bóżniczą, a gdy rabin i znaczniejsi mieszkańcy zatrzymali go, ostro zgromił sprzedajność wyborców, przedstawił w dosadnych słowach szkodliwy wpływ, jaki podobne postępowanie wywierać musi, tak na moralność ogółu, jak i na opinię chrześcijan (Chylul-haszem).

— Chrześcijanin pogardza żydem—kończył reb Lejb swoją filipikę—bo niema sposobności poznania lepszych wśród nas; a ci, co się do niego pchają w chęci zysku, najgorsze mu często dają wyobrażenie. Jakżeż chcecie, aby wierzone, że są w naszej gminie ludzie lepsi od Kadysza, jeżeli sami takiego zdziercę i procentowicza obieracie swoim przedstawicielem?

Słowa te wywarły żądane wrażenie. Tłum zapomniał o miodzie i pieczonych gęsiach; adherenci Kadysza zawstydzili się i cofnęli swoje wota, a wracającego z posiedzenia lichwiarza cała gawiedź miasteczka odprowadzała kocią muzyką i głośnem przedrzeźnianiem.

Od tego dnia wiele już wody upłynęło, a publiczna obraza nie zatarka się w pamięci Kadysza, który czekał tylko sposobnej chwili, by móżdż się zemścić na dumnym Gwirze.

Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, reb Lejb, nie wiedząc o tem, stał się dłużnikiem tak srodze obrażonego przez siebie Kadysza.

Zwyczajem bywało u kupców, że pożyczek nie zaciągano inaczej, jak za pośrednictwem meklera, który przyjmował rewers na okaziciela, nie wymieniając nazwiska kredytora. Gdy ostatniemi czasy w miasteczku zabrakło gotówki, a potrzeba wysłania na kosztą reb Fajwłowi była naglącą, pośrednik, bez wiedzy Lejba, wziął dla niego pięćset dukatów od lichwiarza.

Dla Benjamina Kadysza sam już fakt, że się aż do niego uciekano z żądaniem pożyczki, był wyraźnym symptomatem złego stanu interesów reb Lejba; tem chętniej więc pospieszył z ofiarowaniem summy, mocą której najgorszy nieprzyjaciel dostał się niejako w jego ręce.

Kadysz z początku dłużnikiem był niezmiernie cierpliwym, i najlżejszem słówkiem nie upominał się o swą należność. Bał się, widać, aby reb Lejb, którego progno nigdy dotąd nie śmiał przestąpić, za pierwszym jego zjawieniem się nie rzucił mu pod nogi całej należnej summy, a tego sobie właśnie nie życzył. Lichwiarz czekał się i czekał, aż ofiara sama wpadnie w matnię, z której się już wydobyć nie zdoła.

Teraz Kadysz, obdarzony psim węchem na tego rodzaju sprawy, odgadł, że nadszedł czas przyjaźny dla jego zamysłów i zażądał od meklera zwrotu swego kapitału.

Reb Lejb, nie wiedząc jeszcze z kim ma do czynienia, prosił o cierpliwość, gdyż rychło, tylko patrzeć, jak nadejdą pieniądze z Gdańska. Mekler zaniósł tę odpowiedź Kadyszowi, który od tego dnia już sam się zaczął zjawiać w kantorze kupca.

Reb Lejb w swem życiu niejedną już klęskę pieniężną poniósł, którą późniejsze lata szczęśliwie poweto-

wały, a i teraz nadzieja poprawienia interesów go nie opuszczała. Stracił, co prawda, bardzo wiele pieniędzy na towarach zepsutych w Gdańsku, na koszcie ich przechowania, ale pieniądze te były jego własnością, a to, co się zostało we francuzkich bonach, było pewnem, i nie długo nadejdzie. Lada dzień reb Fajwel przywiezie pieniądze, a wtenczas długi się spłacą i pozostanie jeszcze dosyć na posag dla jedynej wnuczki, a nawet przy zmianie okoliczności handel tamujących, i na nowe zakupy. Położenie obecne było ciężkie nad wyraz, ale bynajmniej nie rozpaczliwe.

Tak się pocieszał reb Lejb, aż do zjawienia się Kadysza w jego kantorze. Ujrzawszy atoli rewers swój w ręku lichwiarza, biedny kupiec po raz pierwszy zbladł, przerażony. Wiedział, że nie posiada już w domu tyle gotówki, by mógł się uiszczyć z długu, zaciągniętego u największego wroga swego, i okropna myśl o zagrożonej czci kupieckiej stanęła przed oczyma dumnego Gwira — owej czci kupieckiej, którą przodkowie jego przez tyle wieków utrzymać zdołali bez skazy, i dla uchronienia której w famijli reb Lejba istniał testament z szesnastego stulecia, zabraniający najpóźniejszym potomkom koligacenia się z krwią człowieka niewypłacalnego. (*Boreach* — uciekający bankrut).

Kadysz był cichy, pokorny, i rzadko się tylko pokazywał. Reszta dłużników, ludzie biedni, wdowy, sieroty, lub młode stadła nie mające jeszcze własnych interesów, choć wiedzieli o stratach reb Lejba, nie śmieli dotąd upominać się o zwrot drobnych swych kapitałów, z których każdy pojedynczy tyle zaledwie wynosił, cóż wartość jednego ze srebrnych dzbanów i półmisków, podawanych co Sobotę na stół reb Lejba.

Powaga otaczająca Gwira i dom jego trzymała jeszcze wszystkich zdaleka; a jednak od chwili, gdy reb Lejb

ujrzał obłąk swój w ręku Kadysza, nieubłagane widmo upadku co noc stawało przy łożu nieszczęśliwego i ognistą ręką kreśliło wyrok zniszczenia na murach walącego się gmachu jego przyszłości. Czasem wydawało mu się niepodobieństwem, aby dom, który przez tyle stuleci stał pobożnością, nauką zakonu, nieposzlakowaną uczciwością i dobroczynnemi dziełami, odrazu runąć miał i zginąć bezpowrotnie. Za cóż Pan Bóg miałby tak srogą nań zesłać karę? Czemużby nie miał zlitować się nad biedną chorowitą kobietą, Blimą, którą raz już tak ciężko doświadczył, odbierając jej jedyne dziecko, nad tą sierotą Speranzą, która nigdy pewnie nie przekroczyła przykazania Bożego, a cześć dla dziadostwa posuwała do ostatnich granic zaparcia się i poświęcenia? Gdzież się podzieją te dziesiątki ludzi, wiszących przy domu Gwira, ci krewni, rezydenci, uczeni, biedni, słudzy, starzy i młodzi? Kto pożeni ich synów, wyda za mąż córki, lub przytuli we wdowieństwie i opuszczeniu?

Nie, to być nie może! Nadejdzie wreszcie którego dnia list od reb Fajwla, donoszący o zrealizowaniu bonów, i długi będą spłacone. A gdyby nie nadszedł?.. Gdyby Kadysz przed tem sobie pozwolił słów obelżywych; gdyby powodowany zemstą, przedsięwziął hańbiące środki dla wyegzekwowania swej należności?..

Reb Lejb był zdecydowany ostatnią z siebie koszulę oddać wierzycielom, wiedząc, że wartość sreber i klejnotów wystarczy na spłacenie wszystkich. On był mężczyzną i mógł się obejść bez tych fatalaszków. Ale żona, ta nieszczęsna, chorowita niewiasta, cóż ona na to powie?.. Tyle lat żyli z sobą w przykładowej miłości, tyle razy podtrzymywali się wzajemnie w przeciwnościach! Ona, zawsze była czułą, uległą, tulącą się don z ufnością, że wszystkiemu zaradzić potrafi, a on, choć surowy w słowach,

odgarniał kochającą ręką wszelkie ciernie z jej drogi. Jedyny tylko raz zranił jej duszę rozwodem córki. Zdawało mu się wtedy, że idzie za głosem powinności, a jednak do dziś dnia nie mógł bez żalu patrzeć na zmianę, jaka od-tąd zaszła z kwitnącą niegdys Blimą. Mógłżeż jej teraz poraz drugi zadać cios śmiertelny?

Zimny pot występował na poorane czoło kupca, gdy sobie wyobrażał Kadysza z piekielnym uśmiechem wążące-go w swym ręku stare przodków naczynia, lub szacujące-go bindę i kolce jego żony. Biedna, schorowana niewia-sta upadłaby pod brzemieniem takiego afrontu.

A to urocze dziewczę, Speranza, wyglądająca jak kró-lewna, cóż się z nią stanie, gdy się wieść rozejdzie o upadku bogatego niegdys dziadka? Czyż zjawią się w jego progach swaty, proponujący związek z parwenjusza-mi? Kto wie, znajdzie się może człowiek, nieokrzesany (Am-haarec), który pomyśli, że mu jeszcze łaskę zrobi, gdy ją bez grosza przyjmie do grona swej rodziny...

Precz z temi strasznemi obrazami! Grzechem jest rozpaczać, gdy pomoc już może blizka. Trzeba mieć ufność w Bogu. On ostrzega, ale nie karze. Nie dopuści On, by „sprawiedliwy był opuszczony, a dzieci jego szukały chleba“¹⁾.

Postać i obejście starego Gwira niczem wałk tych nie zdradzały. Dotąd wiek go nie zgarbił, ani zła-mały przeciwności. Włosy wprawdzie i broda zbiełały mu jak mleko, a na twarzy i czole ostatnie lata głębokie wryły bruzdy; ale oczy nie straciły surowego i dumnego wyrazu w obec drugich, a słowa brzmiały krótko i roz-kazująco, jak za najlepszych czasów. Blima za to była już tyl-

¹⁾ Słowa Psalmisty.

ko cieniem owej pulchnej, jasnookiej Gwirty, którąśmy niegdys poznali w szafasie. Rozwód i śmierć jedynaczki, obawy i dręczenia tych lat ostatnich zmieniły ją do niepoznania. Schudła, zwiędła, oczy jej niebieskie zbladły, a powieki zaczerwieniły się od nocy bezsennych i łez, któremi oblewała karty grubej księgi do modlitwy (Korban-minche). Blima nie potrafiła dotąd oswoić się z myślą o utracie majątku. Zrodzona i wychowana w dostatkach, przyzwyczajona sypać hojną dłonią wsparcie dla potrzebujących, nie mogła zorjentować się w labiryncie grożącego jej nieszczęścia. Oni, co tylu ludzi wspomagali, czyż nie mieli prawa oczekiwać pomocy w chwili krytycznej? Gdzież się podzieli ci wszyscy, którzy doznali ich dobrodziejstwa? Czyż żaden się nie zjawi, by im teraz podać rękę w niedoli? Blima wiedziała o zakopanej szkatule Borzęckich, wiedziała, że wszelkie poszukiwania reb Lejba były bezowocne, gdyż dotąd nie udało mu się odkryć najmniejszego śladu młodych dziedziców. A jednak, teraz, jak tonący ostatniej trzcinki nadbrzeżnej, chwyciła się oburącz nadziei powrotu synów panna Władysława. Oni jedni mogli ich jeszcze ratować od zguby, pożyczając część swoich skarbów temu, który całość odda nietkniętą w ich ręce.

Speranza dochodziła lat dziewiętnastu i możnaby już myśleć o zaręczynach, a w rok potem o weselu. O ironjo losu! Póki czasy były dobre, ostatnia wola Beluni wzbraniała wydać za mąż sierotę. Teraz większa część majątku stracona, i któż mógł przewidzieć, co się stanie, za nim dziewczyna dojdzie przepisanych lat dwudziestu? Czy znękana Blima tego czasu dożyje? czy naprężone stosunki finansowe wytrzymają, i czy się tyle jeszcze pozostanie z ruiny, by móżdż sierotę stosownie wyposażyć?

— W Tobie jedyna nasza nadzieja, Boże Izraela! Nie

karz nas zbyt surowo! Jedno nam tylko zostawiłeś, niech ono przynajmniej będzie szczęśliwe!—modliła się trzy razy dziennie pobożna staruszka, a w rocznicę śmierci Bełuni, jak i przez cały miesiąc *Elul*, godzinami całemi leżała na grobie jedynaczki, polecając opiece zmarłej pozostałą po niej sierotę.

Speranza dokładniej jeszcze od babki znała stan finansowy reb Lejba. Ona czytywała listy reb Fajwla i zastępowała często dziadka w pisaniu odpowiedzi, słuchała układów z meklerami, i była obecną, gdy owa pierwsza wizyta Kadysza tak śmiertelną bladocią okryła oblicze biednego kupca. Nieraz łzy palące wydobywały się z pod powiek dziewczęcia; dusza jej przepelniona goryczą, buntowała się, gotowa zwątpić o wieczystej dobroci Stwórcy. A jednak, równie jak reb Lejb twarz okazywała spokojną. Dziadostwo nie powinni domysleć się tego, co się działo w jej sercu; oni musieli wierzyć w niczem nie złąconą pogodę wnuczki, by widokiem jej uśmiechu krzepić się do tych walk, które codzien staczali z nieubłaganym losem, i ze stokroć nieubłagańszymi odeń ludźmi o kamiennem sercu i miedzianem czole...

XI.

Jesteśmy w końcu roku 1811 i żydowskiego miesiąca *Kislew*. Zima już na dobre rozpostarła swe panowanie. Na polu śnieg błyszczy milionami iskier; wartka rzeka spoczywa w lodowem swem spowiciu, pogodna i uśmiechnięta, jak swywolne dziecię, które matka nareszcie do snu ukołysała.

Ulice miasteczka, białym zasłane kobiercem, wyglądają tak schludnie jak nigdy, a po nich przesuwiają się grupy żydowskich dzieciaków, mimo tęgiego mrozu i niedostatecznego ubrania śmiejących się głośno i wesoło. Wszak od samego już rana po szkołkach i uczelniach żydowskich rozlega się wieść radosna *Chanuka! Chanuka! Chanuka!* czas błogi, w którym straszny nawet *belfer*, ów anioł-mściciel chederów, przemienia się w szafarza łask. Jakżeż ciekawie dziatwa przez cały tydzień śledziła w szkołce ruchy swego pod-nauczyciela, gdy tenże topił przy piecu ołowiane kulki, by z nich tworzyć misternej formy bąki do zabawy! (*trenderle, drehdel*). Z jakim uszanowaniem widziała pot lejący się z czoła mistrza! A teraz, o szczęśliwcy! każde z nich trzyma już w ręku jedno takie arcydzieło *belferskiego* kunsztu. Dzisiaj jest pierwszy dzień *ferji*, mających trwać aż dni osiem!

Osiem dni swobody—toć to wiek cały dla biednego chłopca żydowskiego!

Wieczorem dzieci śpieszą do domu, gdzie ojcowie ich zapalają woskowe świece, lub knoty oliwne, jak na dziś, dzięki Bogu, jeszcze jedyne. Niestety, co wieczór przybywać ich będzie po jednej, a gdy cały szereg tych płomieni oświetli izbę, dzieci, zamiast cieszyć się niezwykłym przepychem, smutnie zwieszają główki, wiedząc, że im większem światło Chanuki, tem bliższą oiemnia chederu, i że nazajutrz wrócić trzeba do belfera, który już nie *trenderle*, lecz razy ma dla nich bolesne.

W oknach domu Gwira także jasność widać niezwykłą. We framudze stoi duża lampa szczerosrebrna w kształcie starożytnej świątyni, której wejścia strzeże osm lwów z rozwartemi paszczami. Paszcze te napełnione wonnym olejem, i zaopatrzone knotem, zieją teraz ogień chanukowy. Przy stole siedzi reb Lejb z żoną i wnuczką, przed nim woreczki z różną drobną monetą, przeznaczoną na kolędę (*chanuka-geld*) dla biednych i służby gminnej. Co raz zjawiają się we drzwiach nowe postacie i milcząc wyciągają dłonie, do których reb Lejb, lub żona jego nieznacznie wsuwają pewną kwotę miedzią lub srebrzem, podług dostojności proszącego. Na krzesłach rozsiadła się kapela z żydowskich muzykantów i daje koncert chanukowy przeplatany konceptami *Batchena*, za które kilka sztuk monety z ręki Blimy wpada do cymbałów. Domownicy i służba siedzą lub stoją przy drzwiach, przysłuchując się koncertowi. Napozór wszystko wygląda jeszcze po dawnemu, dostatnio, a nawet świetnie. Grunt jednak pod nogami jest już podminowany. Wczoraj dopiero po północy kupiec, spać nie mogąc, rozmyślał o tem, czy też w najgorszym razie wartość jego kosztowności pokryje należitości kredytorów. Ale dzisiaj jest Chanuka i przyzwyczajenie lat tylu sprowadza

<http://rcin.org.pl>

potrzebujących w jego progi. Mógłżeż im odmówić marnych kilku złotych?

Na schodach rozlegają się kroki licznych osób. Z jakie dwadzieścia latarek zjawia się od razu przy wejściu do pokoju; ale ci, co je noszą, nie przyszli po kolędę. Każda z tych postaci patrzy ponuro na przepych panujący w salonie i trzyma w ręku skrawek papieru, który teraz przedstawia oczom biednego reb Lejba. To jego podpisy, to weksle wystawione różnemi czasy na drobne summy, a ci ludzie prości, zatrwożeni wieściami rozsiewanemi umyślnie przez Kadysza, stawili się teraz jak jeden mąż, by z hałasem domagać się natychmiastowego zwrotu swych kapitałów.

Niezdolny wymówić słowa reb Lejb patrzy z przerażeniem w twarze tych ludzi, których znał jako pokornych i pełnych uszanowania, a teraz widzi ich natrętnymi aż do zuchwalstwa. On, który jak ongi spartanie, gotówby był dać sobie rozszarpać ciało, byleby świat o tem nie wiedział, doczekał się teraz na stare lata takiego skandalu w obec żony i wnuczki, w obec rezydentów, służby i muzykantów, którzy przestawszy grać, wstali i z rozdziawionemi gębami patrzyli na to niespodziane widowisko.

Niebawem przytomność wróciła reb Lejbowi. Gwałtownym ruchem podskoczył z siedzenia. Jedną ręką podtrzymując mdlejącą Blimę, drugą oderwał drzwiczki od szafy ze srebrem i klejnotami.

— Gotówki w tej chwili nie mam, wiecie o tem dobrze—wykrzyknął, prostując się, a donośny głos starego Gwira zagłuszył wszystkie inne, jak podczas burzy grom pokrywa łoskot rozhukanych bałwanów.—Oto moje srebra i klejnoty! Przeprowadźcie natychmiast złotnika! Niech wyjmie kamienie z oprawy i oszacuje je na karaty. Niech stopi srebrne naczynia i waży je na luty. Póki ja żyję, nikomu krzywda się nie stanie!

Tak mówił reb Lejb, a Speranza z błyszczącym okiem potakiwała jego słowom i odmykała po kolei pudełka, w których różnokolorowe kamienie tęczowym igrały ogniem.

Ta mowa, to niewidziane dotąd bogactwo sreber i klejnotów onieśmieliły napastników, którzy milcząc zabierali się do odwrotu.

Przy samym stole stał Kadysz, którego powolność tych prostaków do wściekłości niemal doprowadzała.

— Ot, prawil reb Lejb o moralności, póki był bogaty—zawołał urągliwie.—Nie sztuka zaprawdę rozdarowywać nieswoje pieniądze. Ciekawym co gorsza: czy brać lichwę, czy jeść i pić za cudzy grosz?..

— Kłamco bezczelny!—zawołała w najwyższem uniesieniu Speranza. Jeżeliśmy dawali i żyli, to za swoje. Ostatnią suknię sprzedamy, byle wszystkich zaspokoić!

— Obiecanka cacanka! — zaśmiał się Kadysz. Mnie z twoich sukien, piękna panno, mało pożytku, a czekać nie myślę. Wolę to.—i złapał lampę chanukową, w której światło właśnie dogorywało.

Śludzy i rezydenci chcieli się rzucić na Kadysza, ale reb Lejb skinął na nich ręką.

— Dajcie mu odejść z łupem—rzekł spokojnie. Pieniądze mu się należą, a czy je w taki lub inny sposób odbierze, czyż to nie wszystko jedno?

Kadysz uciekł z lampą pod pachą, za nim oddalili się i wierzyciele, poszła kapela, rezydenci i służba ze smutnie zwieszonymi głowami. W pokoju, po odejściu obcych, długo panowała cisza. Blima powoli wracała do przytomności i konwulsyjnie ścisnęła ręce podtrzymujących ją męża i wnuczki.

— Ja tego wstydu nie przeżyję!—były pierwsze słowa nieszczęśliwej.

— Odwagi, babciu!—wołała Speranza—wszystko jeszcze będzie dobrze.

— Co już może być dobrego? Jesteśmy zgubieni na czci i mieniu, i nie ma dla nas ratunku!

— Nie, babciu, majątek tylko straciliśmy, ale część w naszym jest posiadaniu, nikt nam jej odebrać nie może,— odpowiedziało dziewczę gorąco.

— Nazwą nas bankrutami—jęknęła kobieta.

— Ale nimi nie będziemy. Dziadzio mówi, że oddawszy wszystkie srebra i klejnoty, spłacimy się do ostatniego.

Blima załamała schudłe ręce, że aż stawy zatrzeszczały.

— Nie ma innego sposobu—odezwał się teraz reb Lejb. Jutro zwołam wszystkich wierzycieli i zapytam, czy chcą odebrać należność swą w srebrze i kosztownościach.

Srebro i klejnoty, jako zapewnione jej aktem przedślubnym (Kesuba), mniemaniem Blimy, do niej wyłącznie należały. Dowiedziała się, że niedawno wprowadzona jurysdykcja francuzka prawo to daje żonie na niekorzyść wierzycieli, i w chwilach najgorszego niepokoju pocieszała się myślą, że rzeczy będące jej własnością, są niecykalne, że w ostatecznym razie pozostaną dziedzictwem Speranzy i ukochaną sierotę od nędzy przynajmniej uchronią. Pozbawienie się tego ostatniego środka ratunku wydało jej się niepodobieństwem.

— Tego nie zrobisz! Nieprawdaż, Lejbo, że tego nie zrobisz?—spytała Blima z akcentem nieopisanej trwogi.

— Muszę!...

— Może jest jeszcze inna droga?

— Nie ma innej. Od trzech lat nad tem myślę i nic innego wymyśleć nie mogłem.

— A szkatuła Borzęckich?...

Reb Lejb drgnął.

— Jest depozytem i tknąć jej nie mam prawa!

— Wszak tylko pożyczysz?

— Nie wolno!

— Gdyby Borzęccy wrócili, z pewnością by ci nie odmówili pożyczki.

— Może być, ale bez nich nie wezmę.

— I sprowadzisz wstyd i nędzę na dom nasz, na głowę tej sieroty!—wykrzyknęła kobieta.

— Utrata majątku nie ma nic wspólnego ze wstydem—odezwała się Speranza.

— Gadasz jak dziecko, Speranzo! — mówiła babka szlochając. Nie wiesz, jak dalece ludzie sądzą z pozorów. Zejść z takiego stanowiska jak nasze, to gorzej niż śmierć. Jabym tak dalej żyć nie mogła. A dziadzio może nas jeszcze ratować.—I Blima przypadła do nóg męża, wołając rozdzierającym głosem:

— Zmiłuj się, Lejbo, i nie gub nas biednych, na wieki!

Reb Lejb podniósł żonę, ramieniem otulił płaczącą, pogłaskał po zalanej łzami twarzy, jak rozżalone dziecko, ale odpowiedź jego brzmiała surowo.

— Zono!—rzekł—ciężką dziś próbę Pan Bóg na cię zesłał, i dla tego w nieograniczonym swym miłosierdziu przebaczy ci może tę chwilę grzesznej słabości. Ale rozważ coś rzekła, a rumieniec wstydu okryje twe czoło. Przez lat tyle sumienie nasze było czystem, mamyż je teraz splamić na progu wieczności? Byliśmy prawi i uczciwi w szczęściu, mamyż, podług słów tego nędznika Kadysza, być innymi w niedoli?—być gorszymi od złodziei nocnych, bo kraść bezkarnie cudzą własność i uszanowanie ogółu, któreby się nam w takim razie i w przeszłości nie należało?.. „Nie będziesz miał miary a miary, wagi

a wagi!”—powiedział zakon nasz. Tą samą szalą ważmy uczynki nasze teraz, co za dni naszej świętości, a resztę zdajmy na Opiekuna nieszczęśliwych, na Ojca sierot. Stań się wola jego święta!

Blima już tylko płakała cicho, a Speranza pocieszała ją. Role zdawały się być zamienione. Dziewczę radziło, wspierała, a stara niewiasta, jakby pokrzepiona jej słowami, dała się bez oporu zaprowadzić do łóżka, rozebrać, i wyczerpana gwałtownem wzruszeniem, usnęła nareszcie snem kamiennym, nad którym Speranza, nie kładąc się, czuwała noc całą.

Nazajutrz rano osłabiona Blima jeszcze w łóżku leżała, gdy Mordko na rozkaz reb Lejba zwołał wszystkich wierzycieli do salonu, gdzie czekali złotnik z wagami i gospodarz z książką, w której zapisanemi były imiona wierzycieli, wysokość summ im należnych, wraz z zaległemi procentami. Przy reb Lejbie stała jego wnuczka. Miała na sobie tylko perkalowy szlafroczek, i grube warkocze prosto jej spadały na plecy, ale uroczysty nastrój duszy czynił ją podobną do kapłanki, składającej ofiary na ołtarzu potężnego bóstwa.

Reb Lejb po kolei wyjmował srebrne misy, półmiski, roztruhany, świeczniki, kielichy, niektóre z nich przedziwnej roboty, a Speranza stała przy złotniku i spisywała wagę i wartość tych przedmiotów.

Po srebrze przyszła kolej na klejnoty. Bindy, kolczyki, sznury pereł, kolce i kanaki, wszystko to szacowano teraz jak na publicznym targu i oddawano pojedynczo wierzycielom.

Kapitały już były spłacone; pozostały tylko procenta.

Speranza kazała przynieść dużą skrzynię z sukniami ze złotogłowiu i drogiemi makatami, któremi co rok ozdabiano ściany szafasu, lub zaściełano siedzenia na Wielkanoc

(Seder). I to kazano szacować i rozdawano za procenta.

Po obliczeniu pokazało się, że zostawało jeszcze z jakie dziesięć dukatów do zapłacenia. Reb Lejb otworzył szafę z książkami.

— Tego wam nie ofiarowałem—rzekł z lekkim odcieniem ironji w głosie, bo nie wiedziałem, czy wam się książki na co przydadzą; ale za te ostatnie dziesięć dukatów procentu może sobie co ztąd wybrać zechcecie?

Ten, do którego się mowa odnosiła, zawstydził się.

— Wszakżecie na interesie, w którym były moje kapitały, stracili—rzekł. Wolę wam darować ten procent.

Reb Lejb odrzekł:

— Wiedźcie, że tacy jak ja, dawać przywykli, ale sami od nikogo podarunków nie przyjmują.—i wyciągając kilka grubych foljantów z szafy, zawołał:

— Hej, ludzie! warte-li te książki dziesięć dukatów, czy nie?

— Warte! odpowiedziano.

— A więc macie je i bywajcie zdrowi.

Reb Lejb zakręcił klucz w szafie od książek, próżną od sreber i klejnotów przymknął tylko z lekka, poleciał Mordce, by pozostał, aż każdy wyniesie odebrane rzeczy, i pewnym krokiem wyszedł, uprowadzając za sobą wnuczkę.

Tegoż wieczoru w pokoju reb Lejba cicho było, jakby makiem zasiał. Blima była w łóżku, kapela i ubodzy pozostali w domu, rezydenci i służba tulili się po kątach, rozmyślając nad znikomością dóbr tego świata, a może i nad tem, dokąd się udać, by resztę dni dowlec do końca.

Na miejsce srebrnej lampy, zabranej przez Kadysza, wzięto starą, mosiężną, zawieszoną dotąd w izbie czeladniej

na użytek Mordki, ale mimo to, głos starego reb Lejba nie zadrzał przy wymawianiu krótkiej modlitwy, twarz zaś stojącej przy tem wnuczki wyglądała jakby natężniona.

Speranza była w tym wieku, w którym każde wielkie nieszczęście ma jakiś urok heroiczny dla dusz dzielnych a gorących. Po tem co wczoraj przeżyła, dziewczica czuła się bardziej niż kiedy pokrewną bohaterom i męczennikom, których święto dziś obchodzono, owej Annie i siedmiu jej synom, dającym głowę w ofierze prawdy, męskiej Judycie i Jehudzie Machabejczykowi, walczącemu z garstką izraelitów przeciw mnogim zastępom Antjocha. Cokolwiek los dla niej zgotował, ona to znieść potrafi z godnością.

Gdy Blima w piątek po południu wstała z łózka i weszła do paradnego niegdy pokoju, widok próżnej szafy od sreber i klejnotów niemal do szaleństwa ją doprowadził. Ale wnuczka ani na chwilę jej nie opuszczała, a pieścizotami i perswazją tyle dokazała że Blima przynajmniej już nie płakała i nie mdlała.

Co chwila atoli nowe szczegóły do rozpaczcy doprowadzały eks-Gwirtę. Nie było już ósmioramiennych kandelabrow, w których, od samego zamążpójścia, sama co piątek i święto świece zapalała; nie było srebrnych tac i kubków do Kidusz ¹⁾. Blima nie pojmowała, jak można żyć bez tych rzeczy, które się niejako zrosły z jej istnieniem; siedziała więc z załamaniem rękami, nie ruszając się

¹⁾ Modlitwa odprawiana w świąteczne wieczory nad kielichem z winem.

z kanapy. Speranza natomiast krzątała się żywo po kątach, wyciągając coraz to coś nowego do ozdobienia stołu. Mosiężne lichtarze i tace, starannie wyczyszczone, błyszcząły jak złoto, kryształowe faszki i szklaneczki, ustawione symetrycznie, doskonale zastępowały srebro, a ze starej atlasowej jubki, Speranza, myśląca o wszystkim, nad ramię jeszcze uszyła serwetkę do nakrycia *chały* (strucli szabasowych).

Reb Lejb, jak zwykle co sobotę, po powrocie z nabożeństwa, ręce błogosławiąc położył na głowie wnuczki; ale tą razą Speranza obie jego dłonie poniosła do ust i gorąco je ucałowała. Reb Lejb przytulił jej główkę do piersi i złożył pocałunek na śnieżnym czole dziewczycy.

Przy stole rezydenci siedzieli cicho, z początku nie śmiejąc oczu podnieść na gospodarza. Po pierwszym atoli daniu reb Lejb tak pełnym i dźwięcznym głosem zaintonował pieśń sobotnią (Zemiroth), że niebawem i inni poszli za jego przykładem.

— Blimo moja!—rzekł potem łagodnie do siedzącej w ponurej zadumie żony.—Sobota jest królową, którą trzeba wesołem powitać obliczem!

Ale w złamanem ciele Blimy słaba mieszkała dusza, i słowa męża wywołały tylko potok łez, gwałtownie dotąd powstrzymywanych.

Reb Lejb wstał od stołu.—Chodź Blimo, nie róbray z siebie widowiska dla ludzi!—rzekł miękko. Niech nie mówią, że ten Kadysz zabrać potrafił i moc duszy takich jak my ludzi...

Na tem skończyła się wieczerza w Szabas-chanuka.

Nazajutrz nowe nastaly trudności.

Trzeba było udać się na modlitwę, a jakże się tu Blimie pokazać w głównej Synagodze bez brokatnej jubki, a gorzej jeszcze bez bindy i kolców?

Speranza własną ręką upięła prosty merynosowy czepeczek i świeże tiulowe kokardy dla babci, ubrała ją w najlepsze z pozostałych sukien jedwabnych, i wraz ze służką odprowadziła chwiejącą się aż pod same wrota świątyni, do której wnętrza, Speranza, jako niezamężna, wstępu nie miała.

Trudno opisać co się działo między żeńską publiką wielkiej Synagogi, zebraną już w całym komplecie, przy wejściu bladej staruszki w czepeczku z dni powszednich. Wszystkie oczy zwróciły się na nieszczęsną, powstał gwar nie do opisania, który zagłuszył nareszcie głos kantora.

Nawet podczas *Kedusza i Hallel* (nazwa modlitw) zwykle tak pobożne niewiasty miasteczka więcej się zajmowały ogołoconą z ozdób głową Blimy, aniżeli głoszoną przez króla Dawida i aniołów chwałą Pana Zastępów. Podczas pauzy (*Ausnehmen* — czytania rodaków), gwar wzmógł się tak dalece, że przeszkadzał czytaniu Tory w męskiej Synagodze. Gdy więc rabin wstąpił potem na kazalnicę, posługacze (*Szamosym*) przez półgodziny stukać musieli, nakazując ciszę, zanim wszyscy na górze umilkli.

Teraz dopiero rozległ się głos rabina. Kazanie zaczęło się od ciemnego tekstu *Miszny*, który mówca się starał wyjaśnić; dotknęło mimochodem różnych ustępów Talmudu, aż nareszcie doszło do historii Józefa w Egipcie, i ustępu z Proroka Zacharjasza, które dziś czytano z rodaków.

„*I siedem krów drugich wyszło za niemi, tak nędznych i lichego wejrzenia, jakich nigdy jeszcze nie widziałem, i połknęły krowy nędzne i liche te siedem krów pierwszych i tłustych, a choć dostały się do ich wnętrzości, nie znać tego było po nich.*”

„*Rabosaj!* (panowie). Słyszeliście wszyscy, jak dziś czytano te słowa, któremi Faraon sen swój opowiada jasno-

widzącemu Józefowi, a dają się one zastosować do wypadków, które w ciągu tygodnia zaszły w mieście naszym.

„Rabosaj! Po tylu latach ruchu handlowego, po latach ogólnego spokoju i dobrobytu, nastąpiły dla nas dni biedy i pokuty, i połknęły one wszelkie dostatki, nagromadzone za lepszych czasów, tak, że znaku nawet po nich nie zostało. Taka była wola Boga, który chciał nas doświadczyć, ażali potrafimy ostać się moralnie w nieszczęściu.

„Rabosaj! nie wytrzymaliście tej próby! Dni niedoli zatarły w was pamięć doznanych dawniej od Boga i ludzi dobrodziejstw. Znieważyliście publicznie człowieka, od którego przez lat tyle żyło nasze miasto, który był naszym, zaszczytem, chlubą i koroną całej naszej gminy. Złeście postąpili, dzioci moje! Ciężkoście zgrzeszyli. Oby wam Pan Bóg w Niebie tego nie pamiętał!

„*I zaczął szukać — od wielkiego zaczął, a na małym skończył i znalazł się klejnot (kubek) w worku Benjamina*“ — cytował dalej rabin tekst biblijny.

„O, Benjaminie! Benjaminie! Cóżes zrobił? Czemużes w taki sposób zabrał klejnot do swego worka? Czemużes wstyd i grzech sprowadził na głowę swych braci?“

Przy ostatniej apostrofie, głos rabina stał się grzmiącym, niby trąba archaniola, i podnoszona jego ręka wskazywała stronę, gdzie stał Benjamin-Kadysz, błędąc i czerwieniąc się na przemian pod naciskiem tej publicznej nagany. „*I da Bóg dziedzictwo Jehudzie na ziemi swej świętej*“ — ciągnął dalej rabin swe kazanie słowami proroka Zachariasza z *Hafstory*, i odwracając się do miejsca reb Lejba, dał głosem wzruszonym:

„Pociesz się, Jehudo! ¹⁾ — Dziedzictwa Bożego nikt

¹⁾ Lejb po hebrajsku nazywa się *Jehuda*.

ci zabrać nie zdoła! Obok jego tronu stoją dobre twe uczynki w postaci aniołów, które czekają twego przybycia, aby skroń ci otoczyć niespożytym wieńcem zasługi, a i na tym świecie późne jeszcze wnuki chlubić się będą pamięcią nieskażonej twej prawości i cnoty.

„I góra wielka stanie się (dla Zorobabela) równiną, i wyciągnie (on) z niej kamień na podwalinę swej potęgi, która najwyższą się stanie pięknością.

„Trwaj w niezaohwianej wierze w Boga-Opiekuna, o Jehudo! On wszystkie napotkane po drodze przeszkody z drogi ci usunie. Góra wielka stanie się równiną, a wkrótce wszyscy jeszcze ujrzemy, jak obecne niepowodzenie stanie się podwaliną nowej potęgi. Oczy nasze zachwycą się niezrównaną pięknością, którą Stwórca ci za przykładne zapłaci życie. Amen!“

Gdy rabin skończył, publiczność cała we łzach się rozplynęła. Usunięto się od Kadysza, jak od zapowietrzonego, i kołem otoczono reb Lejba.

W żeńskim oddziale, obstępiono żonę Kadysza, która na nieszczęście włożyła znany wszystkim pierścień Blimy odebrany w tym tygodniu od reb Lejba, jako dodatek do lampy; zelżono sromotnie przestraszoną kobietę, tak, że ledwo tylnemi drzwiczkami umknąć zdołała do domu.

Po skończeniu nabożeństwa, rabin ze wszystkimi mężczyznami, reb Lejba, a kobiety z rabinową, Blimę do samego odprowadzili mieszkania.

Tegoż jeszcze wieczora, ci wszyscy, którzy w tym tygodniu dostali kosztowności od Gwira, z wyjątkiem, ma się rozumieć, Kadysza, stawili się w jego domu. Każdy przyniósł napowrót dane mu klejnoty, zapewniając, że woli teraz czekać na zapłatę.

Reb Lejb gorzko się tylko uśmiechnął na tę niewczesną rehabilitację. Na cóż mu się teraz zdały srebra i dja-

menty? Potrafią one zatrzeć pamięć tej godziny, gdy śmiano powątpiewać o jego uczciwości i honorze?

— Ludzie łatwowierni!—rzekł pogardliwie. Jesteście jak te wiotkie gałęzie, co je każdy powiew wiatru na inną przechyla stronę. Idźcie w pokój! Rzeczy te są prawą waszą własnością, a mnie one niepotrzebne. Między mną a wami wszystko teraz skończone!..

XII.

Spóźnione współczucie nie wielką ulgę przyniosło eks-Gwircie. Katastrofa w Chanuka i zmiana trybu życia, jakiej wymagały terażniejsze okoliczności, ugodziły ją w samo serce. Cherlała staruszka przez parę jeszcze miesięcy, aż jednego poranku znaleziono ją w łóżku nieżywą. Jak to przewidział reb Lejb, biedna niewiasta nie mogła przenieść utraty mienia i stanowiska. Całe bez wyjątku miasteczko odprowadziło zwłoki swej dobrodziejki na miejsce wiecznego spoczynku, i odwiedzała później wdowca podczas siedmiodniowej żałoby.

Stary, siedząc na ziemi, w posępnem milczeniu przyjmował kondolencje. Ci ludzie stali się dlań obcymi. Nie znienawidził ich za wyrządzoną mu zniewagę, która stała się poniekąd przyczyną śmierci ukochanej żony. Czuł tylko, jak od chwili, gdy współobywatele patrzący na całe jego życie, uwierzyć mogli Kadyszowi, że on spokojnie trwoni cudzą własność, ogniwo łączące go z nimi nagle się urwało. Nie mógł już mówić z nimi w dawny sposób, interesować się ich losem, ni im dopomagać i radzić, jak dawniej, a tem mniej przyjmować pocieszenia w bezmiernym bólu od tych, którzy, jak się teraz przekonał, nigdy go nie rozumieli. Było ich dwoje już tylko na szerokim świecie—on

i to jasnowłose dziecko, które ukrywało lzy i całemi dniami krzątało się, byle tylko nie dać uczuć dziadusiowi braku wygod, do których przywykł. On zaś miał już lat sześćdziesiąt i kilka, a gdy i na niego przyjdzie kolej, dziewczę zostanie samo, wśród *obcych*...

Gwarny i wesoły dawniej *Purym*, tak jak i uroczysty *Pesach* (Wielkanoc) większym jeszcze smutkiem napętniały dom reb Lejba. Ze znajomych nam rezydentów, stary reb Gabrijel od dwóch lat już nie żył; reszta, razem z Magidem i reb Samsonem, na wyraźne żądanie reb Lejba, rozjechała się na wsze strony, szukając gdzieindziej przytułku. Służbę rozpuszczono, zostawiając tylko podżylego już także Mordkę z żoną; gości nie przyjmowano, a wysokie sklepienie sale, przeznaczone do gromadnych zebrań, odbijały tylko kroki samotnego starca i jego dziecięcia.

Reb Lejb modlił się, lub przesiadywał nad księgami; ale widocznie trawił się w tej przymusowej bezczynności i tęsknocie za zgasłą towarzyszką; przestawał jeść, a noce przepędzał bezsennie.

— Przyjdzie tak z założonemi rękami czekać na anioła śmierci—mawiał do siebie, a słowa te, podchwyczone przez Speranzę, zaniepokoiły ją w najwyższym stopniu.

— Dziadusiu, na Bogal ocknij się z tego odrętwienia!—błagała, okrywając gorącemi pocałunkami zmarszczoną dłoń starca.—Trzeba coś zrobić, coś przedsięwziąć!

— Z czem, dziecię?—spytał łagodnie. Reb Fajwel nie powrócił—trzeba być cierpliwym.

— Ależ ty, dziadusiu, nie jesteś wcale cierpliwy, tobie tu smutno i tęskno...

— Nic dziwnego, stary jestem.

— Wiesz co, dziadusiu, jedźmy ztąd!

— Dokąd?—zapytał smutnie.

— Do Gdańska! Podróż cię rozerwie, a tam przekonamy się na miejscu: możemy-li jeszcze rachować na te bony, lub nie? Wiedząc co mamy, będziemy żyć i działać wedle tego, i pogodzimy się z losem.

— Gdybym ciebie mógł za mąż wydać! — westchnął starzec—dawnobym już był pojechał.

— Ja pojedę z tobą.

— To być nie może.

— Dla czego, dziadusi! Patrz, jam już nie dziecko, jam młoda i zdrowa, ja sobie sama wszędzie poradzę i nie będę tobie pewnie ciężarem w drodze.

— Nie, dziecię, ja ciebie pierwej oddać muszę w opiekę mężowi.

— Nie mów tak, dziadusi!—wołało dziewczę namiętnie,—ja ciebie nigdy nie opuszczę.

— Ale ja ciebie opuścić muszę, Speranza moja, gdy mnie Pan Bóg do siebie powoła. Mam lat blisko siedemdziesiąt, a to, jak mówił Psalmista, kres ludzkiego żywota.

— Pan Bóg jest dobry! On mi ciebie zachowa przy życiu! Jedźmy dziadusi! Ja już nie mogę dłużej patrzeć na twoje cierpienia.

Reb Lejb się zadumał. Speranza miała może słuszną rację. Teraz pomyśleć o wydaniu jej za mąż było niepodobieństwem. Cały świat żydowski już pewnie wiedział o jego ruinie, a ten, coby się teraz oświadczył o bezposadźną pannę, z pewnością nie odpowiadałby wymaganiom dziadka. Będąc zaś sam w Gdańsku, mógłby w najgorszym razie komuś bony odprzedać, a odebraną za to sumę przeznaczywszy na posag, przy powrocie postarać się o uczonego młodzieńca z dobrej familji.

Speranza, widząc wahanie się dziadka, dopóty nań nalegała, dopóki niewy mogła, że kazał Mordee wyciągnąć ze strychu stare sepety.

Gdy już podróż była postanowioną, starzec zasiadł do pisania testamentu. W testamencie tym, złożonym później na ręce rabina, reb Lejb powierzył temuż wiadomość o wmurowanej w podziemiu szkatule Borzęckich; zaklinał straszmem imieniem Boga karzącego, aby wszelkimi siłami starał się odszukać młodych dziedziców, i aż do ich powrotu nikomu tajemnicy nie wyjawiał, chyba w godzinę własnej śmierci temu, kogo obierze dla dalszego jej przechowywania.

Załatwiwszy się w ten sposób ze swemi obowiązkami w miasteczku, reb Lejb polecił straż swego domu żonie Mordki, a sam, wraz z wnuczką i wiernym sługą, gotował się do drogi.

Przed wyjazdem, reb Lejb i Speranza poszli jeszcze z pożegnaniem na cmentarz. Obfite łzy puściły się z oczu nieugiętego dotąd starca, gdy drżącymi rękami obejmował zimne głazy, pod któremi spoczywało całe szczęście jego życia—zwłoki jedynaczki i zgasłej niedawno małżonki.

— Żegnajcie mi—wołał—żegnajcie, moje drogiel Muszę was opuścić. Módlcie się, czyste dusze, za swoją sierotę, aby jej Pan Bóg zesłał opiekuna, zanim i mnie powoła do siebie.—Blimo!—wołał, rzucając się raz jeszcze na świeżą mogiłę żony. Byłaś mi wierną towarzyszką, rokoszą mych lat młodzieńczych, pomocą dojrzałego wieku i podporą w starości. Wstawże się i teraz przed tronem Przedwiecznego, abym mógł spocząć na tejże co i ty ziemi oczyszej!..”

Sporanza także płakała nad grobami matki i babki, i w duszy ślubowała im nie opuszczać starca, choćby przyszło poświęcić całą młodość, a nawet i życie.

Rozłączenie natomiast z współobywatelami chłodne było ze strony odjeżdżających, choć wśród tych, co ich odprowadzali, niejedna twarz wilgotną była od łez, i nie-

jeden z głębi wzruszonego serca wymawiał słowa modlitwy: „Niech was Pan Bóg błogosławi i strzeże, niech was opromieni swoim obliczem i otuli opieką!“—gdy bryka, powożona przez Mordkę, a unosząca reb Lejba i jego wnuczkę, z oczu im zniknęła.

Podróż własnymi końmi i bryką trwała więcej jak miesiąc.

Reb Lejb tak się urządził, aby co rano i wieczór stanąć mógł w miejscu, gdzie się da zebrać z dziesięciu choćby współwyznawców (Minjan), dla odprawienia w ich gronie modlitwy za duszę zmarłej Blimy, a to dużo zabierało czasu.

Droga reb Lejba prowadziła przez Królewiec. Stając tam dnia jednego nad wieczorem, nasi podróżni zatrzymali się swoim zwyczajem. Zajechano do oberży, z kąd reb Lejb, zostawiwszy wnuczkę pod opieką Mordki, niezwłocznie udał się do najbliższej Synagogi.

Świątynia była mała, zebranie pobożnych nieliczne i wysoka postać obcego starca, odmawiającego tuż koło arki świętej modlitwę za umarłych (Kadysz), niebawem zwróciła uwagę obecnych.

Gdy reb Lejb już wychodził, jakiś mały, zgarbiony staruszek, nie spuszczaający dotąd oka z przybysza, drogę mu zastąpił. Reb Lejb, sądząc z powierzchowności staruszka, wziął go za żebraka, i sięgnął do kieszeni, chcąc mu coś ofiarować. Staruszek atoli zatrzymał dobroczynną rękę, i wlepiwszy przygałe źrenice w twarz obcego, zawołał głosem ochrzypłym:

— Nie poznaliście mnie, reb Lejb? Ale nie gniewam się za to. Wszakże teraz sam siebie nie poznaję! Czy żyje jeszcze moja Ryfka?

Głos ten, choć zmieniony, wydał się reb Lejbowi znajomym. Baczniej się teraz przypatrzył staruszkowi, którego twarz żółta i dziwnie pomarszczona, odległe w nim budziła wspomnienia.

— Akiwa!—krzyknął. Tak, to wy, Akiwa. Zkądżeście się tu na Boga wzięli? Gdzie Eljasz?

Akiwa zaśmiał się swoim dawnym śmiechem ironicznym.

— Gdzie Eljasz?—pytacie. Cóż-to, myślicie, żem go przez cały ten czas niósł ze sobą w kieszeni, i teraz wam go pokazę na zawołanie! Ba, ba, wasz Eljaszek nie taki głupi,—potrafił on i bezemnie sobie radzić.

— Byłeś przez całe życie zły i bezbożny, Akiwo! Ale teraz i tobie niedługo przyjdzie zdać rachunek przed Bogiem. Zmiłuj się i powiedz, gdzie się Eljasz znajduje. To nie próżna ciekawość z mojej strony. Eljasz ma córkę, która się urodziła po rozwodzie. Biedna moja Belunia potem umarła, a i żona moja już nie żyje. Ja stary, a broń Boże, na mnie co, sierota zostanie sama na świecie. Eljasz się pewnie ustatkował, ożenił po raz drugi. Mów, zaklinam cię, gdzież go mamy szukać?

— Szukajcie wiatru w polu!—odrzekł Akiwa szyderczo. Nie wiem, czy były wasz zięć żyje jeszcze i gdzie się obraca. Ale pocieszcie się po nim, reb Lejb! On ani się ustatkował, ani ożenił, a córka, o której nie wiedział, nieszczęśliwym byłaby prezentem dla takiego jak on wartogłowa.

Teraz Akiwa z kolei dopytywał się o swoją Rywkę, a dowiedziawszy się, że umarła w parę lat po jego odjeździe, westchnął głęboko.

— Spodziewałem się tego—rzekł zmienionym głosem.

Reb Lejb dostrzegł tę zmianę w tonie Akiwy i starał się z niej skorzystać. Pokonał tedy wstręt do osoby

niedowiarka, i usiadłszy wraz z nim na ławce podle Synagogi, starał się coś wyciągnąć o losach Eljasza.

Akiwa nie dał się długo prosić, tylko, że zamiast o młodzieńcu, opowiadanie zaczął. od własnej, znajomej nam już przeszłości. Widocznie czuł potrzebę wywnętrzenia się, i zapominał z początku kogo miał przed sobą.

— Życia mojego opisywać wam nie będę — rzekł. Wiedziecie, jak mnie od osmnastego roku życia prześladowano w miasteczku, wołając za mną wszędzie: „Poszel“ (grzesznik), „Meszumad!“ (renegat), choć jedyną moją zbrodnią było niczem nieugaszone pragnienie prawdy. Wiedziecie, że później za to znienawidził i chętniebym im w dwójnasób zapłacił za doznane krzywdy. Później wyszłam mnie przyjęli za pisarza... Obchodzenie się wasze ze mną było tego rodzaju, że do nienawiści ku ogółowi prześladowających mnie dotąd współwierców, przybyła i osobista ku wam, napuszonemu bogaczowi, który mną pomiatał na każdym kroku. Zdawało mi się, że stworzony na coś lepszego, niż na popychadło dla was i przedmiot urągowski dla głupich uliczników, i miałem może słuszną pod tym względem. Nie ulega wątpliwości, że natura do tego niepoczesnego naczynia—tu Akiwa wskazał na swoją głowę—kosztowne wlała wino. Cóż z tego, kiedy ono, nie mając gdzie wyszumieć, zamiast nabrania z latami ognia i siły, skwaśniało i stało się octem, który każdy skosztowawszy, wyplunął.

Wówczas to, paniętacie reb Lejb, spotkałem reb Mojżesza z Lissy przy waszym stole, i usłyszałem z ust jego dziwną opowieść o Desauczyku i jego uczniach. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru. Odtąd czułem jakby ogień w żyłach. Ziemia paliła się pod memi stopami. Pragnąłem dostać się do ludzi, którzy tak samo jak i ja żyli w opozycji przeciw istniejącemu dotąd wśród żydów porząd-

kowi. Byłem pewny, że mnie tam za męczeństwo lat tylu nagrodzą dostatkami i otoczą uszanowaniem... Byłem zawsze głupi, szukając tego, czego znaleźć nie można, więc i tą razą się omyliłem... Całe moje życie było jedną wielką omyłką. Na szczęście śmierć jest największą prawdą w przyrodzie, i ta mnie przynajmniej nie ominie. Ale dopytaj o tem. Mówmy lepiej o waszym zięciu, którego właśnie w owym czasie poznałem. Wyście z niego chcieli zrobić rabina. Teraz jeszcze śmiać mi się chce, gdy o tem pomyślę. Eljasz rabinem! Zaledwom kilka słów z nim pomówił, a już zmiarkowałem, że tu kosa trafiła na kamień. Naturalnie cieszyłem się, widząc, że się znalazł choć jeden człowiek, który śmiał wam opór stawiać, i robiłem wszystko co mogłem dla wzmacnienia tego oporu. Udało mi się nareszcie doprowadzić Eljasza do rozwodu, choć, jak się później przekonałem, ciężko mu było rozłączyć się z waszą córką. Wyjechaliliśmy do Warszawy, z kądem mieliśmy się niebawem puścić w dalszą drogę do ojczyzny Mendelsoina i miejsca pobytu jego uczni.

Dotąd wszystko szło dobrze, ale w Warszawie zaczęły się dla mnie dni niedoli, stokroć większej od tej, jaką porzuciłem w miasteczku. Śmiałem się z was, reb Lejb, żeście takiego jak Eljasz młodzieńca przeznaczili na rabina, a jednak sam w podobny błąd popadłem. Zdawało mi się, jakoby zięć wasz dla tego tylko sprzykrzył sobie otoczenie, że tak jak ja niegdyś, łaknął nauki święckiej i swobody sumienia. Wszyscyśmy zarówno skłonni sądzić drugich według siebie..

Zaledwo jednak Eljasz parę miesięcy zabawił w stolicy, gdy się zmienił do niepoznania. Ja, widząc na co się tam zanosilo, pragnąłem czempredzej uciec z kraju, ale o tem Eljasz mówić sobie nie dawał.—Otoczył się młodzieżą, z którą po całych dniach waleśał się po mieście,

i która wyśmiewała moją starą kapotę i moje staroświeckie, jak je zwali, idee. Ja, tak mało przywykły do pokory, stałem się teraz pokorny dla Eljasza, w nadziei, że mi się uda łagodnością odciągnąć go od szataputów, z którymi marnował drogi czas i grosz, przeznaczony na dalszą podróż. A jednak tamci przemogli... Widziałem, jak towarzystwo moje z dniem każdym bardziej ciążyło Eljaszowi; słyszałem jak mnie, mnie Akiwę, porównywał do reb Samsona, ponieważ, utrzymywał, prawdziwa treść życia ludzkiego była mi obcą, i zupełnie jak tamten bawiłem się w jałowe dociekania, gdy świat miał prawo domagania się zbawczego czynu. Dożyłem nareszcie tego, że Eljasz się mnie wstydził i ofiarował pewną kwotę pieniężną, byle się odczepić od swego *bakałarza*...

Była to chwila największej goryczy w mojem tak gorzkim życiu. Bo widzicie, reb Lejb, ja, com nigdy nikogo nie miłował, przywiązałem się do tego niewdzięcznika. Jam w nim widział spadkobiercę niespełnionych pragnień własnej swej młodości; chciałem zdobyć dlań to wszystko, co mnie zostało odmówionem. On miał się stać takim, jakim według własnego przekonania, byłbym ja wśród bardziej sprzyjających okoliczności. Wy pobożni wierzycie w piekło. Ja wam mówię, że fantazja nawet mistyków nie wymyśliła dotąd takiej męczarni, jakiej ja doznawałem w chwili, gdym się w podobny sposób rozłączył z Eljaszem—na zawsze!... On rzucił się w wir wypadków i pono zginął a ja, o zebranych chlebie, dostałem się do Berlina.

— A cóż się dalej stało z Eljaszem?—spytał teraz reb Lejb.

— Nie mogę wam tego powiedzieć. Byłem pewny, że nie żyje, ale w parę lat później spotkałem w Berlinie

człowieka, który mię zapewnił, że zięć wasz wraz z innymi wstąpił do legjonu włoskiego..

Staruszek umilkł wyczerpany, a reb Lejb smutnie spuścił głowę na to niespodziane zakończenie. Jeżeli cudowne spotkanie z Akiwą zbudziło w nim nadzieję odnalezienia ojca Speranzy, to takowa z ostatnimi słowami Akiwy zupełnie rozwiać się musiała.

Po chwili Akiwa podjął na nowo swe opowiadanie, nie dostrzegając, że reb Lejb, zajęty własnymi myślami, mało już teraz nań zważał.

— O głodzie i chłodzie dostałem się nareszcie do Berlina, gdzie zająłem się niebawem wyszukiwaniem uczni Mendelso. Zaprowadzono mnie do domu jednego z nich, który przyjął mnie grzecznie, i pytał, czego sobie życzę. Odpowiedziałem, że przybywam aż z Polski, jedynie dla poznania ucznia wielkiego Mendelso.

— To bardzo pięknie z waszej strony—odrzekł na to, ale cóż myślicie dalej z sobą począć? Czemu możecie tu na życie zarabiać? Taki człowiek jak wy, nie zechce pewnie żyć z jałmużny, i postara się być użytecznym.

Słowa te chłodne nie zdradzały zbyt wielkiego zajęcia się moją osobą. Czulem się dotknięty niemi do żywego, i nieprędko się zdobyłem na odpowiedź.

— Znacie pewnie dobrze język hebrajski—rzekł wyręczając mnie niemiec, — tak jak wszyscy przybysze z Polski. My teraz zakładamy szkółki elementarne dla dzieci naszego wyznania; mógłbym was polecić..

Stałem jak piorunem rażony. Ja miałbym zostać nauczycielem elementarnym! Ależ ten człowiek mnie nie znał, inaczej nie śmiałyby pewnie odezwać się do mnie w taki sposób! Zacząłem mu opowiadać swoją historję, i nie szczędziłem jaskrawych barw dla odmalowania wasze-

go prześladowania i niewymownych udręczeń, przez jakie przechodziłem.

On słuchał z uwagą, był widocznie wzruszony, a gdy skończył, rzekł:

— Smutne to dzieje, ale niestety nie nowe. Codziennie prawie zjawiają się tu z waszego kraju ludzie, których Bóg obdarzył największem z dóbr — wysoką inteligencją, a których ciasna sfera uprzedzeń, tak chrześcijańskich jak i żydowskich braci, skazuje na męki Tantala.

Niemiec długo jeszcze mówił w tym duchu. Litował się nad moim losem, obiecywał starać się o stosowne dla mnie zajęcie, ale w słowach jego nie było wcale tego, czego się w nich znaleźć spodziewałem. Nie było ani uznania dla mojej nauki, ani pochwały za przedsięwziętą podróż. Dał mi owszem wyraźnie do zrozumienia, że lepiejbym zrobił, gdybym pozostał w kraju rodzinnym, gdzie, mimo wszystko, biorąc się do tego należycie, mógłbym działać dodatnio na oświecenie ciemnych swych braci po wierze.

Takie było pierwsze moje spotkanie z ludźmi, dla których opuściłem miejsce urodzenia i żonę, i zniszczyłem szczęście waszego domu. Poznałem teraz, że zamiast spodziewanych honorów i dostatków, tu jak tam, czekała mię tylko praca nieodpowiednia do moich zdolności, lub jałmużna.

Odszedłem zły, upokorzony, i pokazałem się dopiero gdy mnie potrzeba przycisnęła. Ofiarowano mi ponownie miejsce nauczyciela, a gdy go nie przyjął — pracę literacką w nowo założonym czasopiśmie hebrejskiem (Measfim).

Pokazało się jednak później, że styl mój nie odpowiadał wymaganiom purystów, a wypowiedane poglądy krańcowością swoją nie licowały z zasadami redakcji. Kazano mi wszystko obwijać w bawełnę, a ja tego, jak wiecie, reb Lejb, nigdy ścierpieć nie mogłem. Ideał ich uspo-

łecznienia żydów wydawał mi się mrzonką niedorzeczną, a szumno-brzmiące frazesy, pod którymi widziałem często podszywającą się chęć zyskania majątku, lub znaczenia—fałszem wierutnym.

Nie byłem w stanie delektować się wygodami lepszego bytu, ni zapalić się do nowego zadania. Przytem ubiór mój i maniere raziły tych wygolonych niemczyków, a mnie się znowu ich gładkie formy wydawały wstrętną hypokryzją.

Cóż wam długo jeszcze prawić będę? Dosyć, że po kilku latach pobytu, Berlin, jego język i obyczaje, gorzej mi się jeszcze sprzykrzyły, niż moje niegdy miasteczko, zem zatęsknił do podartego żupana, do brudnego alkierzyka i do starej twarzy mojej Ryfki, z którą, poznałem to dopiero, żyć można było wcale przyjemnie.

Jednego tedy pięknego dnia drapnąłem ze *stolicy inteligencji*, jak ją ci głupcy zwali, i puściłem się piechotą do domu. Po drodze zachorowałem w tem mieście i dostałem się do szpitala. Gdy po długim czasie wyzdrowiał, dobrzy ludzie się mną zajęli i dali na utrzymanie, a ja, nie mając już ani dosyć sił ani funduszu do dalszej drogi, musiałem tu pozostać.

Ciągnęło mnie zawsze coś do swoich... Kiwacie głowę z niedowierzaniem, reb Lejb. A no, wiercie mi, czy nie wiercie, ale mówię wam, że naprawdę teraz czulen, jakoby nawet wy wszyscy, coście mnie prześladowali w miasteczku, byli moimi. Wszak z wami rozłączyłem się, jak z nieprzyjacielem, a gdy was dziś poznał przed synagogą, taką uczulen radość, jakbym rodzzonego spotkał ojca. Tyle jednak czasu przeszło od mego wyjazdu... Kto wie, czy żona moja jeszcze żyje?—myślałem. Wstydziłem się zresztą wrócić w takim stanie, stanąc jako obdarty i scho-

rzały nędzarz przed ludźmi, których niegdyś tak dumnie żegnałem.

Ot i zostałem tutaj, wlokąc tak dalej ciężar życia, i wyglądając z utęsknieniem chwili wyzwolenia...

Reb Lejb wstał z ławki.

— Komu w drogę temu czas, — muszę już jechać, a i wnuczka moja będzie o mnie niespokojna. Bywaj zdrów, Akiwo!

Akiwa spójrzył smutnie na byłego swego pryncypała.

— Już? — zapytał, jakby nagle ockniony, ale po chwili dodał tonem szyderyczym.

— Czy pamiętacie, reb Lejb, historję Józefa w Egipcie? Jeżeli to prawda co o nim napisano, szczęśliwy to był człek ten syn Jakóba i Racheli. Nie dosyć, że mu się żona Putyfara rzuciła na szyję, że został namiestnikiem Faraona, ale jeszcze w czterysta lat później kości jego zabrano do ziemi rodzinnej. Jam nigdy za życia nie był tak szczęśliwy jak Józef, a po śmierci nikt pewnie kości moich nie zabierze do naszego miasteczka. Szkoda! — dodał teraz głosem, w którym czuć było łzy tajone — bo by stare ciało spocząć pragnęło na tej ziemi, gdzie ono początek swój wzięło...

Wzruszenie Akiwy przyjaźniej dłoń usposobiło reb Lejba.

— Jeżeli mi Pan Bóg dozwoli wrócić z tej drogi, wstąpię po ciebie, Akiwo, i zabiorę cię z sobą do domu — rzekł łagodnie, i po raz pierwszy podał rękę byłemu swemu pisarzowi, którą tenże ze łzami do ust przycisnął.

XIII.

W Czerwcu 1812 r. reb Lejb stanął w Gdańsku.

Stary reb Fajwel na widok swego pryncypała i jego wnuczki tak się rozbeczał, że długo przyjść nie mógł do słów.

— Bodajbym był nogi złamał, zanim z domu wyjechałem—wolał nareszcie, szlochając, bodajbym był utonął w Wiśle, zanimem się tu dostał!.. Tyle pięknych towarów, taka złota pszenica, takie belki, jakiescie mnie powierzyli! A cóż teraz za to oddaję? Te kilka kwitów, ot i wszystko...

I stary dalej zawodzić i ręce łamać.

— Uspokójcie się, Fajwlu! Ja was w niczem nie winię; znam waszą wierność i przywiązanie. Kogo ręka Boska chce dotknąć, temu człowiek nie poradzi.

— Taki dom, takie bogactwo, taki ród stary i szlachetny! A ten Kadysz, ten podły przybłąda!.. Pisali mi o wszystkim z miasteczka. Toć, gdybym ja tam był, kamieniem bym mu niegodny łeb roztrzaskał.

— Nie mówmy już o tem, Fajwlu!

— Ja nic na to poradzić nie mogłem, nic zgoła. Cóż z tego, że nie jadałem i nie sypiałem, żem dniem

i nocą chodził do wszystkich możliwych biur i kancelarji, zem do nóg padał urzędnikom...

— Co się stało, odstać się nie może. Nie przypominajmy tego co było. Trud daremny, a pożytku ztąd żadnego. Radźmy lepiej, co dalej robić!

Łatwiej atoli było lamentować, anizeli radzić o przyszłości. Bony miały niezaprzeczoną wartość, ale gubernatora, który obiecał za nie zapłacić, nie było teraz w Gdańsku. Rapp wyjechał do armji czynnej, a z zastępcą jego d'Héricourt'em, człowiekiem złym i nieludzkim, sprawa była o wiele trudniejszą. Wszyscy powtarzali, że bony to jakby gotowe pieniądze w kieszeni, a nikt ich nie kupował. Nie pochodziło to wcale z nieufności ku ówczesnemu francuzkiemu rządowi, lecz po prostu z braku gotówki w zubożałym blokadą lądową i wyszanem nieustającami ciężarami i kontrybucjami mieście.

Znajomi kupcy jednogłośnie doradzali reb Lejbowi czekanie na powrót gubernatora. Wiedziano, że się gotuje wyprawa Napoleona do Rossji, że Rapp obejmuje dowództwo w armji, i że d'Héricourt odebrał rozkaz obrócenia wszelkich funduszków z kassy miejskiej na wzmocnienie fortyfikacji Gdańska, z którego miano utworzyć jedną z najsilniejszych warowni Północy. Ale wojny cesarskie nie zwykły trwać zbyt długo, a po ukończeniu obecnej, pierwszą czynnością Rappa będzie, jak to sam solennie przyrzekł przed wyjazdem, zapłata za bony.

Reb Lejb, z góry zdecydowany na dłuższy pobyt, odprawił do domu buchhaltera, który był mu niepotrzebny, sprzedał brykę i konie, i wraz z wnuczką zajął się szukaniem po uboższych dzielnicach skromnego kąta, gdzieby można było tanim kosztem czas jaki przeczekać.

Na Langgarten znaleźli nasi podróżni parterową izdebkę, która się pod zręczną ręką Speranzy, za pomocą kil-

ku kupionych gracików, zamieniła w porządne, choć szczupłe schronienie.

Tutaj reb Lejb umieścił się z przywiezionemi ze sobą księgami, a Speranza zabrała się, przy współudziale Mordki, do prowadzenia małego swego gospodarstwa.

Biedny starzec tęsknił do domu, a raczej do drogich grobów, które tam zostawił; ale przyszłość wnuczki musiała być zabezpieczoną, a powziąwszy zamiar oczekiwania powrotu generała Rapp'a, trzeba było koniecznie dotrwać do końca.

Nadzieja tego powrotu z dniem każdym bliższą się stawała ziszczenia, w Lipcu już bowiem rozeszła się wieść o przejściu Napoleona przez Niemen i zajęciu Wilna.

Francuzi tryumfowali i przepowiadali prędko koniec wojny, a Niemcy, przyzwyczajeni do zwyciężkich pochodów Napoleona, nie myśleli temu zaprzeczać.

Posuwanie się naprzód armji francuzkiej w samo serce Rosaji, potwierdzało zresztą ufność załogi, w mniemaniu której nieustająca praca koło wzmocnienia murów Gdańska miała cel obrony od statków angielskich, oraz punktu oparcia w przyszłych zaczepnych przeciw Wielkiej Brytanji działaniach.

Dnia 14 Września Napoleon wszedł do Moskwy, a wiadomość o tem wojsko obchodziło salwami z dział i nabożeństwami po kościołach. Po tem wszelkie wieści z widowni wojny nagle ucichły.

Załoga przypisywała to pochodowi na Petersburg i trudnościom komunikacyjnym. Październik i Listopad atoli przeszły, nie przyniósłszy nic nowego, a w twierdzy miejsce dawniejszego ożywienia ponura zajęła cisza.

Domyślano się klęski, choć nie znano jej doniosłości. Przyspieszone tylko roboty fortyfikacyjne, około których cały pracował garnizon, wskazywały, że się obawiano oblężenia. Obawy te wkrótce sprawdzić się miały.

Dnia jednego reb Lejb, idąc z rana na nabożeństwo, ujrzał plakaty rozlepione na rogach ulic, a około nich gromady ludzi. Zdjęty ciekawością, zbliżył się także i przeczytał rozkaz, polecający, aby każdy mieszkaniec Gdańska zaopatrzył się w prowiant na kilkanaście miesięcy.

Lud zebrany kolo plakatów, czytał je z uśmiechem powątpiewania. Wiara w gwiazdę Napoleona była tak silna, że nikt nie przypuszczał dotąd rozbicia się wielkiej armji. Mogła się Francuzom nie udać wyprawa do Rosji, ale niebawem nowe legjony nadciągną z krańców Europy, a zwycięzca z pod Austerlitz potrzebuje tylko dmuchnąć, by potęgą jego przeciwników runęła, jak domki z kart, dziecinną stawiane ręką. Byli wprawdzie starsi, znający z podań okropności oblężenia za czasów polskiego króla Stanisława, a wszyscy tu obecni pamiętali jeszcze ostatnie zamknięcie przez Lefébvra i Dąbrowskiego. Ale starszym, jak się to zwykle dzieje, nie wierzono, a porównywać załogę pruskiego generała Kalkreuth i nędzne jego szanse do terażniejszych sił francuzkich w mieście i budujących się od lat tylu fortyfikacji—było już prostą niedorzecznością.

Gdy reb Lejb potem w domu opowiedział treść plakatów, dodał:

— Trzeba będzie to wszystko zostawić i pojechać do domu.

— Dziadusiu — pytała Speranza, patrząc z miłością w oczy starca—gdybyś tu był sam jeden, czyżbyś teraz odjechał?

— Zostałbym niezawodnie. Wiem, że od Pana Boga nie ucieknie. Co komu przeznaczone, nie minie go.

— A więc zostanmy. Ja niemniej od ciebie ufam łasce Bożej.

— Speranzo, ty nie wiesz, co nas tu spotkać może!...

— Nie wiem, na co się narażamy zostając, ale wiem,

że gdybyś ty, dziadusiu, tak powrócił do domu, znowu byś wpadł w tę melancholję, z której cię gwałtem prawie wyciągnęłam.

— Wojna to rzecz straszna, Speranzo, a tyś jeszcze dziecko...

— Byle z tobą, dziadusiu, i z Bogiem, a niczego się nie ulęknę!

Reb Lejb był w duszy zadowolony z postanowienia wnuczki, bo choć miał sobie za obowiązek przygotować ją na wszelkie ewentualności, sam dotąd nie przypuszczał, aby do wojny przyjść miało w samym Gdańsku. Jakżeż-bo człowiekowi, który przed paru dopiero miesiącami opuścił Księstwo Warszawskie, było wierzyć w zupełne rozbitcie potęgi Napoleona!

Nastąpiła pochmurna i dżdżysta jesień, która dla naszych znajomych tysiączne przyniosła nieprzyjemności. Izdebka reb Lejba okazała się wilgotną i zimną. Z foss, otaczających Langgarten, a napełnionych teraz wodą z wylewu Wisły, niezdrowe wyziewy rozchodziły się po ulicach, a wszelka żywność, z powodu obawy wojny, tak podskoczyła w cenie, że reb Lejb musiał poprzestać na najskromniejszym zaspakajaniu swych potrzeb.

Stary cierpiał, ale milczał i modlił się, a Speranza, pomimo, że obchodziła się bez slugi, znajdowała jeszcze wolne chwile na delikatne ręczne robótki, które Mordko, bez wiedzy reb Lejba, sprzedawał potem po kramikach żydowskich.

Takim trybem szło życie obcych przybyszów aż do dnia powrotu generała Rapp'a z Rosji.

Z niekłamaną radością miasto przywitało swego gubernatora. Choć bowiem obywatele przez te lata gospo-

darowania u nich Francuzów wiele od nich ucierpieli, wszyscy przywiązani byli do osoby Rapp'a, którego uczciwość i uprzejmość łagodziły poniekąd skutki surowych rozporządzeń rządowych.

Naszemu tylko reb Lejbowi powrót generała nie przyniósł tyle korzyści, jakich się po nim spodziewał.

Rapp był niezmiernie zajęty. Po całych dniach, chodząc od spichlerza do spichlerza, liczył i notował zapasy, albo z inżynierami debatował o nowych redutach, szańcach i palisadach, do których zabrano się z większą jeszcze niż przedtem skwapliwością, a dla cywilnych stał się zupełnie prawie nieprzystępnym.

Na tem usposobieniu najgorzej wychodzili naturalnie ci, co jak reb Lejb, mieli do niego interesa pieniężne, a choć polski kupiec codziennie niemal chodził do bióra, ledwo że raz i to na chwilę widzieć się mógł z samym generałem.

Stan ten rzeczy trwał aż do Stycznia 1813 r., gdy się w okolicy Gdańska rozległy pierwsze wystrzały.

Była to, jak się później dowiedziano, część korpusu Mac-Donalda, którą wraz z pułkami ze Spandau i innymi resztkami wielkiej armji, w odwrocie swym, ścigana przez nieprzyjaciela, usiłowała rzucić się do twierdzy.

Po kilku dniach bezustannej walki i zręcznego manewrowania udało się generałom Grandjean, ¹⁾ Hendelet, Marchand, i Cavaignac, uniknąć szczęśliwie pogoni i dostać się do miasta.

Wojsko ich, składające się aż z dwudziestu dwóch różnych narodowości, między którem były trzy pułki samych Polaków, wchodziło teraz wszystkimi bramami i przedstawiało straszny obraz nieładu.

¹⁾ Grandjean dowodził Polakami i Bawarami.

Wycieńczone głodem i zimnem, bose i obdarte, te trzydzieści tysięcy niedobitków były dla Gdańszczan najlepszą ilustracją zaszytych wypadków i pokazały im, że kolej przyszła na dumnego zwycięzcę i na tych, którzy dobrowolnie, czy z przymusu, dzielić mieli jego losy.

Reb Lejb, choćby chciał, nie mógłby już teraz opuścić fortecy. Wojsko nieprzyjacielskie, pod dowództwem generała-lejtnanta von Lōwis, otoczyło miasto, a marudowie wałęsali się podobno w okolicy, napadając bezbronnym wędrowców i różnych dopuszczając się gwałtów.

Nie o wiele lepiej, choć w inny sposób, działo się niedługo w samym Gdańsku.

Przybycie tyle wojska, a z nimi koło dziesięciu tysięcy chorych, oddziało jak najfatalniej na sanitarny stan miasta. Nie było dostatecznego pomieszczenia dla zdrowych, ni dosyć lazaretów i lekarstw dla chorych, z których wielu umarło w pierwszych zaraz dniach po swem przybyciu.

Najwięcej ludzi umierało właśnie na Langgarten, gdzie mieszkali nasi znajomi.

W jesieni, jakeśmy już wspomnieli, wylew Wisły wypełnił tu wszystkie fossy naokoło. Przy pierwszym zimnie wody zamarły, przez co utworzył się łatwy z tej strony przystęp dla nieprzyjaciela.

Francuzi, obawiając się zaskoczenia, zebrali tu znaczną część swych sił, tak dla bronienia zagrożonego placu, jak i dla przełamywania lodów.

Biedni żołnierze, wyczerpani trudami niedawno odbytej kampanji, ciągle teraz niepokojeni przez zewnętrznego nieprzyjaciela, zeszywnieli od mrozu, snagani wiatrem północnym, wystawieni na załamanie się lodu pod swemi stopami, pracowali koło wyrębywania na trzy mile w okóło drogi nad wodami, którą noce styczniowe za każdą

razą formowały na nowo. Syzyfowa ta praca i ścieśnienie ogromnej masy wojsk na małej stosunkowo przestrzeni, szybko rozwijały zgniłą gorączkę, zarody której obrońcy Gdańska jeszcze z Rossji z sobą przywieźli.

Zarząd miasta robił co mógł, ale słabe jego środki nie były w stanie podolać szerzeniu się strasznej zarazy, która, z powodów już wymienionych, najliczniejsze ofiary zabierała na Langgarten.

W gmachu Liceum, zamienionym teraz na lazaret, żołnierze leżeli na gołej ziemi po sieniach i kurytarzach, czekając, aż który z chorych wewnątrz szpitala zakończy nędzne swe życie, by zająć jego miejsce.

Musiano na końcu rozsyłać chorych do domów prywatnych, a następstwem tego było to, że się zaraza i cywilnym udzieliła mieszkańcom.

W miesiącach Lutym i Marcu epidemja dosięgła swego szczytu. Z jakich dwieście ludzi umierało dziennie w samych lazaretach. W krótkim czasie dziesięć tysięcy cywilnych i piętnaście tysięcy wojskowych zachorowało. Nie zdołano już uprzętać umarłych, a trupy walające się niepogrzebane, zatrwały powietrze i powiększały jeszcze grozę żyjących.

Reb Lejb i Speranza stali się teraz prawdziwymi aniołami opiekuńczymi dla swych sąsiadów. Ich niczem niezachwiana wiara w Opatrzność, widząca palec Boży w najmniejszym wypadku, stałość i przytomność umysłu z natury rzeczy musiały dodatni wpływ wywierać na współmieszkańców, których paniczny strach przed zarazą czynił niezdolnymi do przedsięwzięcia jakichkolwiek środków ratunku.

Udało się reb Lejbowi uorganizować na swej ulicy „Bractwo pielęgnowania chorych“ (Bykur-Cholim), a Speranza, która, jak wszystkie ówczesne polsko-żydowskie nie-

wiasty, znała się na ziołach i lekach domowych, przykładem swym budząc nasładowanie między plecią słabą, dzielnie popierała jego usiłowania.

Reb Lejb czuwał, pocieszał, a Speranza doglądała i leczyła chorych, wlewała otuchę w serca bojaźliwych, przygotowywała posiłek dla rekonwalescentów, opiekowała się niedołącznymi starcami i dziećmi, których przestraszone otoczenie pouciekało za pierwszym zaraz wystrzałem.

Była jakaś niespożyta siła moralna w tym siedemdziesięcioletnim starcu i tej młodej dziewczęce, którzy wśród groźących kul i zabójczych wyziewów epidemji, siebie i drugich krzepili słowami Psalmisty: „Skrzydłem swem On cię osłoni, zbroją i tarczą Jego opieka. Nie obawiaj się grozy nocy, ni strzału w dzień wymierzonego, zarazy czyhającej w ciemności, ni rzezi niszczącej w południe!“

Gdy się choroby tak srożyły wewnątrz miasta, nieprzyjaciel zewnętrzny także nie dawał spokoju. Garnizon, znacznie już uszczuplony chorobami, musiał ciągle stać na straży, śpieszyć od jednego zagrożonego placu do drugiego, staczać krwawe boje ze świeżem wojskiem sprzymierzonych. Spoczynku ni bezpieczeństwa nie było na chwilę, a fatygi i niewyuczasy, wyczerpując żołnierza, dopomagały jeszcze zarazie.

Żywności dotąd nie brakło, ale za to niedostatek środków leczniczych nie mało się dawał we znaki obłożonym. W chwili schronienia się wojska do murów, było w Gdańsku wszystkiego dziesięciu doktorów, licząc już w to cywilnych, Niemców. Z tych dwaj ulegli zarazie. Tym sposobem, na całą tę masę pacjentów, w Marcu pozostało zaledwo ośmiu ludzi, na których spadała cała olbrzymia praca koło lazaretów.

Mimo to, młodzi szczególnie lekarze, powodowani ludzkością, wyrwali się czasem dla odwiedzenia domów

prywatnych, a doktor Abel Morin, rodem Alzatzczyk, który miał sobie poruczony nadzór nad głównym lazaretem w Langgarten, często zaglądał do kamienicy, gdzie mieszkał reb Lejb.

Doktor Morin dowiedział się przypadkiem o chwalebnej działalności obcego starca i jego wnuczki, a chcąc drugich zachęcić do podobnego działania, skoro tylko mógł, przychodził do chorych, będących pod ich opieką.

Za każdym razem doktor, zostawiając instrukcje swemu *pomocnikowi*, jak nazywał Speranę, ścisnął z uczuciem jej drobne, choć spracowane ręce.

— Ty pani i dziadek twój jesteście większymi bohaterami od tych, co walczą na szanцах i redutach—mawiał. Więcej takich starców i kobiet, a uratowalibyśmy tysiące, które teraz, w braku należytego nadzoru, stać się muszą pastwą śmierci.

Dodajmy tu, że doktor Abel Morin, jako Alzatzczyk, mówił także po niemiecku, i że reb Lejb i jego wnuczka, jak wszyscy polscy żydzi, choć językiem tym mówili niepoprawnie, doskonale go rozumieli.

Bywały wypadki, że lekarze, nie mogąc się w żaden sposób oderwać w dzień od obowiązków swoich w szpitalu, nocą wpadali do tych z prywatnych chorych, o których wiedzieli, że im się jeszcze na coś przydać mogą.

Razu jednego doktor Morin w podobny sposób odwiedził biedną wyrobnicę, matkę kilkorga drobnych dzieci, mieszkającą w sąsiedztwie reb Lejba.

Było już po północy.

W małej, słabo oświetlonej nocną lampką komo-
rze, Morin zastał Speranę, siedzącą sama jedna przy
łóżku chorej. Nogą poruszała ona kołyskę, w której nie-
mowlę półroczne usypiała, a rękami tuliła do siebie
dwuletniego chłopczyka, który splakany, zdrzemnął się

w tej pozycji. W drugim kącie komory leżały ciała zmarłych przed godziną dwojga dzieci starszych.

Gdy doktor wszedł, blade lice dziewczęcia się rozjaśniło, ale oczy, które teraz nań zwróciła, były pełne łez.

— Czegoś pani tak płakała?— spytał Morin z współczuciem.

— Modliłam się — rzekła dziewczę pocichu.

— Czy tak boisz się śmierci?

— Nie! — odpowiedziała Speranza z prostotą. Wiem, że każdy z nas prędzej czy później umrzeć musi.

— O cóż więc tak gorąco się modliłaś?

— Nie za siebie... Cóżem ja warta, bym się Panu Bogu naprzykrzać miała?

— Za kogoż więc?

— Za tę oto chorą wdowę, której śmierć dziś dwoje już dzieci zabrała.

— I wierzysz, że Bóg cię wysłucha?

— Wierzę! Napisanem jest w zakonie naszym, że gdy człowiek znajdzie ptasie gniazdo i zabierze zeń młode, matkę puścić ma na wolność. Miałożby Niebo być mniej litościwem od człowieka i zabrać matkę wraz z pisklętami?

Teraz wzruszenie dziewczęcia udzieliło się lekarzowi. Schylił się i ze czcią pocałował rękę Speranzę, która na ten hołd niespodziany zarumieniła się po same uszy.

Morin przystąpił potem do chorej i zbadawszy jej stan, wyrzekł:

— Stanie się wedle słów twoich, pobożna pani! Matka piskląt ma się znacznie lepiej. Modlitwa takiego jak ty anioła, cudu dokazuje.

Szczególne to były słowa w ustach lekarza-napoleonisty, wyszłego z łona rewolucji i karmionego jej pierśmi; ale są chwile w życiu, w których wszelkie sofizmy

wychowania, wszelkie wpływy zewnętrzne, choćby najbardziej już zaskorupiałe długoletniem przyzwyczajeniem, pękają nagle, niby łupina dojrzałego owocu, ukazując na dnie serc szlachetnych jądro wiary i miłości, spoczywające tam dotąd ukryte, nietylko przed okiem obcych, ale i własnego ducha. Że taka właśnie chwila przyszła na doktora Abła Morin w komorze biednej wyrobnicy, wskazywały, prócz słów tu przytoczonych, i piękne ciemne jego oczy, spoczywające z rozrzewnieniem na licu żydowskiej dziewczeczki.

XIV.

Z nastaniem cieplejszej pory, stan miasta zaczął się poprawiać. Umarłych pogrzebano, chorzy wracali do zdrowia, szeregi garnizonu wypełniały się rekonwalescentami i nowa nadzieja wstępowała do serc znękanym mieszkańcom Gdańska.

Opowiadano sobie wszędzie o niedawnym wezwaniu Platoowa do poddania twierdzy, i o lakonicznej odpowiedzi generała Rapp'a: „Nie bierze się z tą samą łatwością Gdańska, jak bagaży cofającej się armji“.

Rozporządzenia generała odpowiadały zupełnie śmiało tonowi, jaki przybierał w obec nieprzyjaciela. Dnia ósmnastego Kwietnia, t. j. w pierwszy dzień Wielkiejnocy i setny od rozpoczęcia blokady, Rapp urządził rodzaj manewru, czyli parady wojskowej, w której siedem tysięcy żołnierzy wystąpiło przy odgłosie trąb i muzyki wszystkich bataljonów, rozwijając się aż do oliwerskiego lasu, tuż na granicy obozu sprzymierzonych, a na ten widok mieszkańcy już tu i ówdzie odzywali się drwinkami z oblegających, którzy się beczynnym przypatrywali tej nieszkodliwej, choć pompatycznej demonstracji. Ważniejszą od

parady, była nastąpiona w dziesięć dni później wycieczka Francuzów i Polaków na Nehring ⁽¹⁾.

Dwudziestego siódmego Kwietnia oddział złożony z tysiąca pięciuset piechoty, dwustu polskiej kawalerji i dwunastu dział, wyszedł pod dowództwem generała Bachelu, i po zwycięskiej potyczce, wrócił, pędząc przed sobą niezliczoną moc bydła, nierogacizny, i poprzedzony kilkudziesięcią chłopskich wozów z wszelkiego rodzaju zapasami.

Miasto z tryumfem przyjęło wracających i w świetnym rezultacie wycieczki widziało nowy dowód słabości sił oblegających, które nie wystarczały do ściślejszej blokady, a tem mniej do zdobycia tak silnie obwarowanego grodu.

Pełni najlepszej otuchy, żydzi Gdańscy obchodzili swoją Paschę.

Speranza robiła co mogła dla ozdobienia biednej swej izdebki. Sama starannie wyszorowała podłogi i ławki, stół nakryła czysto; świeżą zielenią, macę, jarzynę i jajka ułożyła w całość kunsztowną, mile nęcącą oko, a ze starego tapczanu, okrytego jedwabną kołdrą, urządziła dywan wschodni (Sederbett) dla swego dziadusia.

Reb Lejb z westchnieniem patrzył na zachody Speranzy. Cała jego pobożność nie mogła go uchronić od porównywania tej Wielkiejnocy wśród obcych, z dawniejszemi w miasteczku, wilgotnych ścian i niskiego pułapu izdebki, z piękną salą „Ratusza“, a widok biednego nakrycia nie mógł nie wywołać wspomnienia drogiej Blimy, podnoszącej z nim niegdyś pospołu srebrną tacę z symboliczną zastawą ²⁾.

¹⁾ Wąski pas ziemi między morzem Bałtykiem a Wisłą, bardzo urodzajny.

²⁾ Gospodarz i gospodyni domu zwykle podnoszą razem tacę, pokazując ją wszystkim przy stole, ze słowami „Oto chleb niedoli!“ i t. d.

Stary wyrzucał sobie ten żal w radosny wieczór Paschy, ale przewyciężyć go nie był w możności.

W ubiorze kapłańskim, w czapeczce ze złotogłowiu, lecz smutny i przygnębiony reb Lejb siedział przy stole. Mając po prawej ręce Speranzę, po lewej wiernego Mordkę, opowiadał z leżącej przed nim książeczki, historję wyjścia izraelitów z niewoli Egipskiej.

„Oto chleb niedoli, jaki pożywali nasi przodkowie w krainie Micraim! Kto chce jeść, niech się pożywi, kto potrzebny, niech się zgłosi! Dzisiaj w tem miejscu, na drugi rok na ziemi obiecanej—rodzinnej!—dodał reb Lejb w duchu. Dzisiaj w niewoli—oblężenia — na drugi rok wolny i swobodny! czytał starzec, a myśl jego odbiegała od wypadków dalekich stuleci i krajów, i przenosiła się do małego żydowskiego omentarzyka, gdzie w głuchym zakątku Polski spoczęły popioły drogiej żony i córki...

Wnuczka reb Lejba odczuwała po części smutek dziadusia, lecz tylko po części. W młodem bowiem sercu żal za przeszłością, z którą nie miało jeszcze czasu zrosnąć się całkowicie, traci swą gorycz i staje się smętnością na wpół bolesną, ale nawpół może i rokoszną.

Speranza wcześniej uderzyła głową o ostre kanty świata. Ona nie mogła już roić w podobny sposób jak wychuchane bohaterki salonów, lub niedoświadczone wiejskie dziewczęta. Chcąc żyć, nie tylko dla siebie, ale i dla drugich, musiała mieć stały grunt pod sobą, musiała ściśle *kredyt* i *debet* życia notować. A jednak, czasami, w takich nprzykład jak obecne, chwilach odpoczynku, czy zapomnienia, dwudziestoletnia dusza wionęła na suchą rzeczywistość orzeźwiającym podmuchem młodości, chłodziła uznajone czoło perlistą rosą dziewiczej zadumy...

Nawet chwile niedawno przebytej epidemji, te dnie udręki i śmiertelnego niepokoju, jasną świeciły smugą

w pamięci Speranzy. Pracowała, co prawda, usilnie, cierpiała wiele, ale iluż ludzi uratowała od śmierci, iluż ojców i matek za jej staraniem wróconych zostało familjom, ileż dzieci zrozpaczonym rodzicom!... A jaki ten doktor Morin zacny był i szlachetny, z jaką dobrotliwą powagą radził i pomagał!... Dziwna tylko, że człowiek uczony, sam poświęcający swe życie na usługę chorych, mógł tak wysoko stawiać drobne jej zasługi, mógł się unosić nad rzeczą tak prostą i naturalną...

Ona nie zasłużyła pewnie na te przesadzone pochwały, a jednak takowe przyjemnie brzmiały w jej uchu... Wyraz twarzy doktora był tak pocziwy, a głos jego miał takie dźwięki, które każdego chwyciły za serce.

Tak dumiała sobie wnuczka reb Lejba, podczas, gdy machinalnie wyliczała za dziadkiem dziesięć plag egipskich, powtarzała cuda przejścia przez morze czerwone, lub po świątecznej kolacji, śpiewała ludową piosenkę, sięgającą może jeszcze czasów przeddawidowych „Kupił ojciec koziółka, za dwa zuzy kupił koziółeczka.“

W połowie Czerwca 1813 r. a więc blisko w rok po przybyciu reb Lejba do Gdańska, kapitan Planat przywiózł tamże wiadomość o zawieszeniu broni, zawartem w Pläswitz, w którym powszechnie widziano podstawę blizkiego w Europie pokoju.

Trudno opisać radość, z jaką ciężko doświadczone miasto przyjęło tę nowinę. W przeciągu paru godzin cały Gdańsk zrzucił żałobną swą powłokę i zamienił się w miejsce publicznego, szalonego niemal wesela. Wszystko co żyło, wylało się na ulice. Obywatele we frakach i wojskowi w galowych mundurach, spotykając się, całowali się, ściskali sobie ręce. Oficerowie siedzieli przed winiarniami

i z kielichami w rękę witali przechodzących. Bogaci kupcy kazali wytoczyć z piwnic beczki starego miodu i częstowali nim żołnierzy. Patrycejuszki powyciągały święteczne stroje ze skrzyń i kufrów i paradowały w nich naokoło pałacu gubernatora, który, stojąc na balkonie, kłaniał się im z ową dwornością, cechującą młodego jeszcze i przystojnego generała Rappa w obec płci pięknej.

Wszystkie cierpienia sześciomiesięcznej blokady, choroby, walk morderczych i niedostatku wszelkiego rodzaju, zdawały się być zapomniane. Każda pierś oddychała nadzieją, na każdym obliczu promieniało szczęście z odzyskanego bezpieczeństwa dla siebie i swoich.

Same słońce zdawało się radować z Gdańszczanami, takim blaskiem obejmowało kopuły kościołów i wież starożytnych, spiczaste dachy i głęboko wklęsłe okna siedzib mieszczańskich, złociste hełmy i rękojeście szabli, haftowane mundury i ordery oficerów, którzy, tu trzymając się za ręce, rozmawiali wesoło, tam, idąc przy boku strojnych pań, prawili im owe słodkie słówka, któremi francuzcy wojacy czarowali umysły i podbijali serduszka.

Wśród tej rozochoczonej massy przechadzała się wnuczka reb Lejba, którą stara gospodyni ich domu wyciągnęła ze sobą na ulicę. Świeża twarz dziewczęcia w ostatnich miesiącach straciła różową swą karnację, lecz matowa bladłość lepiej jeszcze odpowiadała klasycznej regularności jej rysów i kształtom przepysznej kibici. Zwyczajem niezamężnych polskich żydówek, głowę nosiła zupełnie odkrytą, i niejedne słowo podziwu wrywało się na jej widok z grona młodzieży, niejeden wzrok śmiały spozczał na cudnej twarzy i majestatycznej figurze Speranzy.

Przeniesione odrazu, niby kaprysem wieszczki z! tyśiąca jednej nocy, z posępnego sąsiedztwa cierpienia, choroby i śmierci, w tę krainę pulsującego życia i uciech świa-

towych, surowe dziewczę żydowskie stanęło na chwilę olśnione i przestraszone zarazem.

To falujące morze barw i światel niepokoiło ją. Słyszała śpiew syreni wydobywający się z jego głębi, i nie w stanie będąc zatykać sobie uszy, uczuła się pociągniętą wraz z innymi w jakąś bezden rokoszną i tajemniczą.

Gospodyni miała w tych stronach kilka przyjaciółek, do których wstępowała po drodze, a tak spacer Speranzy przedłużył się aż do wieczora.

Już zajaśniała illuminacja we wszystkich oknach, przed domami zapalono beczki ze smołą, a przy tem nocnem oświetleniu gwar miejski stawał się bardziej gorączkowym, życie na ulicach namiętniejszem, spójżenia i zaczepki będącej już pod dobrą datą wojskowej młodzieży—zuchwałszemi.

Skromna Speranza wolałaby opuścić plac i wrócić do domu, towarzyszka jej natomiast co chwilę spotykała znajomości, z którymi się zagadywała, a w końcu nowy napływ przechodni rozłączył obie kobiety.

Młoda dziewczyna nagle ujrzała się samą i rozglądała się niespokojnie na około, jakby wśród tego różnobarwnego tłumu szukała jednej twarzy znajomej, wśród tych młodzieńców o zuchwałem oku—jednego uczciwego przewodnika po labiryncie nowych wrażeń, które groziły zmąceniem gładkiej dotąd powierzchni jej myśli i uczuć dziewczyczych.

Ale otóż i on! Radość zabłysła na licu Speranzy. Doktor Morin, ujrzawszy ją zdaleka, zbliżył się skwapliwie. Był w mundurze galowym i wyglądał rozpromieniony.

— Pani tutaj, sama jedna?—spytał.

— Szłam z moją gospodynią—ścisk nas rozdzielił.

— Dokąd się pani teraz udajesz?

— Chciałam wrócić do domu.

— Pozwól, abym cię odprowadził!

Nie czekając odpowiedzi, doktor wziął rękę Speranzy i wsunął ją pod swoje ramię.

Doktor był bezwątpienia człowiekiem poważnym i zasługującym na zaufanie; ale Speranza nigdy się jeszcze nie prowadziła z żadnym mężczyzną.

— Co pan robisz?—zawołała przełękniona.

— Czy pani nie życzy sobie mego towarzystwa?

— spytał Morin, topiąc błagalne spojrzenie w oczy Speranzy.

Dziewczę się zmięszało.

— Czyż mnie nie uważasz za dobrego przyjaciela?

— Owszem—wyjąkała nareszcie Speranza—ale ludzie?..

— Ludzie? Czyżbys i pani zważać miała na ludzką gadaninę?

— Dla czego ja mniej od drugich?

— Boś od nich lepszą i rozumniejszą, i śmiało zaufać możesz własnemu sądowi.

— Tak chyba nie jest—odrzekła Speranza w zamyśleniu. Tyle jest rzeczy, o których dotąd wcale nie miałam wyobrażenia.

— I dzięki niech będą za to Niebu, bo inaczej nie byłabyś sobą.

Speranza nie rozumiała znaczenia ostatnich słów. Podniosła wzrok, jakby z zapytaniem, i spotkała utkwione w siebie oczy pełne zachwytu. Serce jej zabiło gwałtownie.

— Idźmy do domu!—rzekła po cichu.

— Czegoż się spieszyć? Czemuż nie oddychać jeszcze tą atmosferą ogólnej radości? Pani, wierzaj starszemu—takie chwile rzadkie są w życiu i nigdy już potem nie wracają. Chodź, pani, przejdziemy się jeszcze trochę!

Speranza nie opierała się więcej.

Chodzili tak razem. Jak długo?—sami chyba nie wiedzieli. A niebo odbijało niemal czarno od jaskrawych smolnych płomieni, gwiazdy błyszczały jak brylanty w hebanowych splotach nocy i mrugały tajemniczo, jakby powiedzieć chciały: „wiemy już, wiemy!”

Morin niezmiernie był ożywiony. Opowiadał o swoim kraju, o mieście Strasburgu, z kąd był rodem, i o malowniczych jego okolicach, a słuchającej go Speranzie wydawało się, jakby razem z nim stała na wieży starożytnego Münsteru, wdrapywała się na ciemne szczyty gór, błąkała się po komnatach nawpół zwałonych i mchem obrosłych zamczysk i krużganków, patrzyła na tulące się do stóp jej białe wsie i miasteczka, które ze swemi ceglastemi dachami, zielenią swych ogrodów i winnic, zalotnie się przegłądały w szmaragdowych nurtach Renu; kołysała się wraz z nim w małej gondoli przy świetle księżycy, i pieśnią studencką, pełną, żywą i swobodną jak śpiew słowika, wtórowała taktowi wiosel zanurzających się regularnie w toń przezroczystą jak kryształ, a niezbadaną jak serce dziewicy...

— Panno Speranzo, dzięki Bogu żem cię nareszcie znalazła. Szukam cię od trzech przeszło godzin—przemówił tuż obok głos starej gospodyni. Patrz, jak poty na mnie biją!

Speranza zerwała się nagle, jakby ze snu ockniona; twarz jej oblała się rumieńcem, gwałtownie wysunęła rękę z pod ramienia Morina.

Teraz do doktora przystąpiły dwie młode i strojne panie. Jedna z nich, pogroziwszy mu figlarnie na nosku, szczebiotała:

— Doktorze, niegrzeczny jesteś! My na ciebie czeka-

my, a ty nas zostawiasz i uchodzisz. Ażeśmy się same wybrać musiały po swoją zgubę..

Morin ściągnął brwi z nieukontentowaniem i próbował się wymawiać.

Panie obsypały go jednak taką ilością skarg i próśb natrętnych, że chcąc niechcąc, musiał pożegnać Speranzę i udać się za niemi.

Młoda dziewczyna wróciła do domu sama z gospodynią, a serce jej się ścisnęło na myśl o dwóch kobietach, które w swym eleganckim stroju, w tych kwiatach, piórach i kokardach, zdobiących piętrowe ich fryzury, w tych modnych, powiewnych tunikach z różowej i niebieskiej materji, wydały jej się uroczo, nadludzko prawie pięknymi.

Stary reb Lejb, podnosząc oczy na wchodzącą Speranzę, dojrzał lekki cień, przysłaniający białe jej czoło.

— Speranzo-życie, co tobie?—spytał niespokojny.

Dziewczę wybuchnęło skargą.

— Smutno mi, dziadusiul — rzekła, tuląc się do starca.

— Więc i tobie, dziecię, tęskno do naszego miasteczka? A ja myślałem, że tacy tylko jak ja patrzą ciągle wstecz, nie mogąc starych korzeni z macierzystej wyrwać ziemi..

Speranza ucałowała ręce dziadka, a on pewny, że odgadł jej myśli, dodał smutnie:

— Pan Bóg jeden widzi, jak mi ciężko w obcym kraju. Tyleśmy jednak ofiar ponieśli, tyle strasznego czasu przeżyli w tem oblężonem mieście, że trudno je rzucić, gdy blizki pokój wraca nadzieję odbioru naszej należności. Niech mnie w kasie zapłacą za kwity, a niezwłocznie wyjadę do miasteczka i postaram się oddać cię pod opiekę jakiego pobożnego młodzieńca.

Reb Lejb wiele jeszcze tego wieczora mówił o swoich planach wydania za mąż Speranzy. Jeżeli jednak, prócz

rozpędzenia własnej tęsknoty, szło mu i o rozweselenie dziewczęcia, to pod tym ostatnim względem, skutek jego słów pozostał wątpliwym.

Speranza miała obecnie lat dwadzieścia. Zamknięta od dzieciństwa wśród zajęć gospodarskich i kupieckich, od piętnastego roku walcząca bezustannie przeciw grożącej im katastrofie majątkowej, charakterem dojrzała przedwcześnie i nabrała męskiego prawie hartu; ale niemniej pod tym puklerzem pobożności i obowiązku, biło gorące serce niewieście. — Nie spotykając koło siebie młodzieży, Speranza skarby miłości wylewała na głowę dziadusia, a gdy naczynie okazało się zbyt ciasnym, by je zmieścić w całości, zwracała je ku Bogu w niebiesiech i bliźnim swoim na ziemi. Poznanie się z doktorem Morin, jego poświęcenie dla chorych, piękna postać męzka, słowa pełne uszanowania, szczere uwielbienie, malujące się w jego oczach, musiały silne wyrzec wrażenie na Speranzie; ale wśród tych wyjątkowych okoliczności, jęki konających zagłuszały cichy szepot rodzącego się przywiązania...

Dzisiaj jeden promień ludzkiego wesela, jedna chwila gorzkiej zazdrości przyniosły jej objawienie o uczuciu, pożerającym jak płomień, nieubłaganem jak śmierć ¹⁾, choć równie w jej oczach grzesznem, jak pozbawionem wszelkiej na przyszłość nadziei.

Abel Morin był dla niej dobrym, bardzo nawet dobrym, ale on, widziała to dopiero, nie należał do tego samego, co i ona świata; on był częścią tego nieznanego tłumu, tak wesołego i szczęśliwego. Jego wszystkie te piękne panie, które dziś widziała strojne i uśmiechnięte, kochały, one miały prawo szukać go, odrywać go od jej boku...

¹⁾ Wyratena z „Pieśni nad pieśniami.”

A dziadek mówił o powrocie do miasteczka. Tam było jej miejsce, miejsce ubogiej żydowskiej sieroty. Tam się narodziła, tam też żyć i umierać musi... Abel Morin wróci do swego kraju, do tego blasku, do tych czarów sztuki i natury, które dziś ukazał upojonym jej oczom, a ona pojedzie do lichej wieściny, gdzie czekały ją długie dni i dłuższe jeszcze noce bezsenne, samotne błąkanie się wśród grobów, z sercem wyrywającym się do życia i bezbrzeżną w łonie boleścią...

XV.

Zawieszenie broni straż koło okopów czyniło zbytęzną, i załogę cofnięto do górnego miasta. Za załogą przeniesiono główny lazaret, a jednocześnie doktor Morin objął po zmarłym koledze posadę sztabs-lekarza.

Abel Morin właściwie nie miał już co robić na Langgarten, a jednak często, zbyt może często jak na tak zajętego doktora, chodził do ubogiej dzielnicy, gdzie mieszkali reb Lejb i jego wnuczka.

Szlachetna piękność polskiego dziewczęcia, odbijająca od pospolitego otoczenia, oryginalna w niej mieszanka prostoty i wzniosłości, i barwny sposób wyrażania się stylem biblijnym, na samym początku uderzyły Morina. Zbyt sumienny, by się do tej kobiety zbliżyć z powszednią obozowo-francuzką galanterją, poważny doktor przez jakiś czas trzymał się zdaleka; ale od wieczornego spaceru, któryśmy opisali, wśród najbardziej absorbujących trudów powołania nachodziło go nieprzeparte pragnienie zajrzenia w harmonijną twarz i jasne oczy Speranzy, usłyszenia jej słów zarazem naiwnych i rozumnych, z których każde dołąd żyło w jego pamięci.

Spostrzeżenie, że Speranza go teraz unika, drażniło doktora. Miał już dosyć czasu do przekonania się o zupełnym w niej braku zalotności, a w tem obejściu ze sobą wymuszonym, lękliwem i tak niezgodnem z jej naturą szczerą i otwartą, widział zagadkę, której ostatnie słowo musiało być wstręt do jego osoby, albo — miłość, i której rozwiązanie, wiemy to już, nie było mu wcale obojętnem.

Owóz, dla tego rozwiązania, Morin starał się bliższą zabrać znajomość z samym reb Lejbem. Spotykanego na ulicy witał uprzejmie, wypytywał się, o zdrowie jego i wnuczki, o to, jak długo jeszcze pozostać myślą, i tak dalej.

Zubożały arystokrata, zmuszony okolicznościami do mieszkania wśród nieokrzesanych robotników, do ciągłego obcowania z wstrętnem sobie prostactwem, dawno już łaknął lepszego towarzystwa, a uprzedzająca grzeczność mile go głaskała po sercu. Że człowiek obcy, posiadający wysokie w świecie stanowisko, nie znając przeszłości reb Lejba, potrafił mimo to wyróżnić go wśród tłumu, ocenić jego wartość, niezmiernie schlebiali dumie starca i wywołało w nim dla Morina uczucie wdzięczności, graniczące z przyjaźnią.

Doktor znał grę w szachy, a reb Lejb w niej celował. Zaproszony wkrótce do izdebki na Langgarten, Morin przynosił z sobą pudełko z szachami i rozstawiał je na prostym stoliku. Opodał siadywała Speranza z robótką, i na chwilę trzej ci ludzie czuli się zadowoleni i szczęśliwi. Reb Lejb zapominał o kłopotach pieniężnych, Speranza—o różnicy położenia towarzyskiego, a doktor—o wszystkim na świecie, co nie było jego ubóstwianą, złotowłosą i modrooką Speranzą.

Szczęście takie nie długo trwało. Podczas bowiem, gdy się w taki sposób węzły sercowego dramatu zadzierż-

gały między francuzkim sztabs-lekarzem, a biedną żydowską dziewczyną, za murami Gdańska nie ustawały wcale przygotowania do ostatniego aktu jednej z najkrwawszych tragedj dziejowych.

Przez połowę Czerwca i cały miesiąc Lipiec, w Gdańsku ludzono się pewnością pokoju. Generał Rapp tak dalece był o tem przekonany, że myślał tylko o wynagrodzeniu sobie i wojsku smutnych dni blokady; urządzał zabawy, przedstawienia sceniczne, świetne parady wojskowe, przy których strzelano z dział i spalano fajerwerki.

W Sierpniu atoli garnizon stawał się cichszym, mniej pewnym swego, i gorliwiej pracował koło fortyfikacji. Wznoszono teraz nowe reduty i palisady, do których, wyczerpawszy zapasne belki, zaczęto z prywatnych podwórzy zabierać ogrodzenia, płoty i słupy, robiono rewizje po piwnicach i spichlerzach, i zabierano przemocą wina, piwa, ryż i t. d., na potrzeby załogi.

Rapp wprowadzie i teraz jeszcze ściśle pilnował porządku, ale mimo surowej jego dyscypliny, trafiały się już tu i ówdzie ekscessa, zbiegowiska, kłótnie, a czasem i bójki, szczególnie między niesfornymi Hiszpanami i Neapolitańczykami, a spokojnem, ale butnem mieszczanstwem niemieckiem.

Zaopatrzenie w żywność twierdzy, mimo zaręczenia sprzymierzonych, szło oporem. Bliższe okolice były zubożałe i wyniszczone, a do dalszych wsi i miast dostać się było trudno. Drożyzna najpotrzebniejszych do życia pokarmów, jak mięsa, chleba, mąki i mleka, od dnia rozpoczęcia ciągle wzrastała, a w Sierpniu dochodziła już zastraszających rozmiarów.

Generał, zdecydowany w razie rozpoczęcia na nowo kroków nieprzyjacielskich, bronić się do ostatniego żołnierza, ufny w potęgę murów i waleczność swych zastępów,

a obawiający się jedynie wygłodzenia obecnie z jakie pół-trzecia tysięcy mieszkańców, nie mogących wykazać środków wyżywienia się, po większej części niedołącznych starców, kobiety, kaleki i dzieci, wytransportować kazał za mury.

Oblegający, widząc w tem zamiar utworzenia z ludnego Gdańska kolonji czysto militarnej, nie przepuszczali tych nieszczęśliwych, którzy, błakając się za okopami, wszyscy prawie głodową zginęli śmiercią.

Stary reb Lejb, z początku wraz z innymi uwierzył pokojowym wieściom, i mniemał się już blizkim powrotu do domu. Ale to, co się obecnie działo, otworzyło mu oczy na prawdziwe położenie, tak miasta, jak i jego własne.

Nie tylko że nie płacono za dawne bony, ale Rapp, w zamian za przymusowe rekwizycje, codzień wydawał nowe kwity, którym głos publiczny najmniejszej już nie przyznawał wartości.

Polski kupiec przekonywał się coraz więcej, że ostatek jego mienia stracony, że na nic się nie przydał jego przyjazd i ten długi, a tak uciążliwy pobyt w obcym mieście, który podkopał jego zdrowie i wyczerpał ostatecznie niemal fundusze. A tu opuścić Gdańsk było już niepodobienstwem. Los tych obywateli, którzy podczas rozejmu uciekli, lub wydaleny zostali z twierdzy, był przestrogą i zatrzymywał najbojaźliwszych. Cokolwiek się stanie, bezpieczniej było zostać na miejscu, aniżeli puścić się, i to z młodą kobietą, przez rozpasane obozy i tysiączne zasadzki, grożące podróżnym w zawojowanym kraju.

Teraz dopiero przyjaźń Morina ukazała się w całym blasku. Doktor stał się wkrótce niezbędnym doradcą, opiekunem obcego starca i jego dziecięcia, i codzień prawie przychodził na Langgarten.

Nie mogąc osiągnąć zapłaty całej należności, wyrobił Mo-

rin reb Lejbowi, że mu przynajmniej za bony wydawano chleb i mąkę z magazynów intendenty, a starzec, widząc w tej niespodzianej pomocy nowy dowód boskiej nad sobą opieki, resztę znosił z poddaniem się i wiarą w niezbadane wyroki, które nie darmo go pewnie sprowadziły i zatrzymały w Gdańsku, choć krótko widzący rozum ludzki nie mógł jeszcze dojrzeć owego punktu, do którego zmierzały drogi Opatrzności.

W połowie Sierpnia wiedziano już na pewno, że dalsza wojna jest postanowioną, i z trwogą patrzano na upływający termin rozejmu.

Napróżno straż stała na murach, wyglądając upragnionej odsieczy, śledząc każdy tuman kurzu, wznoszący się po drodze; napróżno w nocy przytykała ucho do chłodnej i wilgotnej ziemi, by usłyszeć tentent zbliżających się wojsk Napoleona, lub odgłos jego dział, zwiastujących blizkie oswobodzenie. Zamiast tego widziała tylko świeże posiłki pruskie, przybywające do obozu sprzymierzonych, przygotowania do ściślejszego jeszcze opasania murów, paszcze dział zwrócone ku twierdzy i grożące jej całkowitem zniszczeniem, rosyjskie i angielskie okręta, mające ze strony morza popierać działania oblegających, i dowiedziała się o objęciu głównego dowództwa nad wojskiem nieprzyjacielskim przez wielkiego księcia Aleksandra Württembergskiego, męża energicznego i przedsiębiorczego, który się pono głośno odzywał, że w Gdańsku kamienia na kamieniu nie zostawi.

W południe dnia dwudziestego czwartego Sierpnia 1813 roku, wystrzały z dział oznajmiły koniec rozejmu i początek nowej akcji zaczepnej.

Liczba oblegających wynosiła wówczas więcej jak

czterdzieści tysięcy żołnierzy, nie licząc w to załogi flot, które się tejże chwili z rozwiniętymi żaglami zbliżyły do brzegu, przywitane wystrzałami z cytadelli.

I znowu zawrzała wojna, nierównie straszniejsza i bardziej niszcząca od poprzedniej.

Blokada zamieniła się w formalne oblężenie, utarczki na przedmieściach — w krwawe bitwy i zaczęło się ciągle ostrzeliwanie, które bogaty i kwitnący niedawno Gdańsk zamienić miało w przynę.

Przedmieście Cygankenberg pierwsze się stało pastwą płomieni. Za niem poszły niedługo Langfuhr, Stolzenberg, Schidlitz, Schellmühl i Heubuden.

Nocą ponury dźwięk dzwonów budził mieszkańców twierdzy. Zrywali się ze snu i śpieszyli na wały. Przy łunie pożarów mogli w ten czas widzieć wystraszone, nawpół nagie postacie wieśniaków, którzy uciekali z dymiących się chat. Ze wszech stron buchały płomienie z budynków i stodół, rozlegały się rozpaczliwe krzyki mężów, wlokących za sobą żony, matek szukających swych dziecioi, ryk bydła i rżenie koni, nie dających się wyprowadzić ze stajen i obór.

Nieszczęśliwi pogorzelcy uciekali z jednego przedmieścia na drugie, ale wszędzie znajdowali już nieprzyjaciela z zapalonemi żagłami, który ich tu wyprzedził.

Złamani, zziębli, nawpół umarli ze strachu i znużenia, tysiące ludzi legło nazajutrz na polu bez dachu i sposobu do życia, nie mogąc ani wejść do twierdzy, ani przedostać się na zewnątrz.

Za przedmieściami poszło niedługo i same miasto. Rakiety kongrewskie, wpadając nocą do domów, szczyły postrach i zniszczenie, a floty, stojące przy Fahrwasser i Weichselmünde, wyrzucały kule i bomby, stokroć szkodliwsze dla budynków, niż dla załogi.

Do strat, wyrządzonych przez pociski oblegających, przyłączył się wkrótce niezwykle o tej porze roku wylew Wisły, która, wystąpiwszy z łożyska, połączyła się z wodami Motławy i Raduny, zalała spalone przedmieścia, w mieście zniszczyła zapasy żywności, umieszczone w piwnicach i niższych piętrach domostw, zmuszając w niektórych miejscach na Niderstadt ludzi do schronienia się na dachy, z kąd ich zaledwo czółnami uratować zdołano.

Izdebka reb Lejba również została zalaną. Woda uniosła szczupły ich dobytek i tę trochę zapasów żywności zgromadzonych z takim mozołem.

Biedny starzec i jego wnuczka ujrzeni się odrazu bez grosza, bez odzieży, prócz tej, którą mieli na sobie, bez najmniejszego widoku na dalszą egzystencję.

Z chwilą niebezpieczeństwa zjawił się znowu doktor Morin, który zajęty koło rannych, w ostatnim czasie rzadziej przychodził na Langgarten.

Abel Morin wyszukał dla reb Lejba schronienie w górnem mieście, zaopatrzył go w rzeczy najpotrzebniejsze, i dzieląc się z nim wszystkim co miał, byt ich uczynił o tyle znośnym, o ile to było w jego możności.

— Panie doktorze!—mawiał reb Lejb ze łzami,—gdyby nie to dziecko, wolałbym umrzeć z głodu, aniżeli przedłużyć stare życie jałmużną...

— To tylko pożyczka, udzielona ręką szczerzej przyjaźni—pocieszał go Morin—zapłacić mi kiedyś.

— Bóg ci chyba zapłaci, szlachetny człowieku! Jam teraz żebrakiem, starym i niedołężnym włóczęgą. Cóż ja ci dać mogę?

Morin spójrział na stojącą obok Speranzę, spotkał promień jej wilgotnych oczu, i z rozkosznem drżeniem w duszy pomyślał: On nie wie, że w tem dziecku posiada istotę cenniejszą od skarbów królewskich i cesarskich,

Ale Morin myśli te zatrzymał dla siebie. Teraz nie czas było do oświadczyć, gdy naokoło latały kule i rakie-ty, a setki rannych czekały jego pomocy.

— Speranza mnie kocha—rzekł sobie, odchodząc tego dnia do lazaretu. Jeżeli zostaną przy życiu, ona będzie moją. Na cóż zakłócać spokój jej serca, póki mnie śmierć grozi na każdym kroku?

XVI.

Po powodzi fizjonomja Gdańska zupełnie się zmieniła. Dziewięćset domów stało opróżnionych, składy i sklepy pozamykane, tak z braku kupujących, jak i z obawy rabunku. Handlu, prócz z artykułami żywności, nie mogło być w mieście, nawiedzanem codziennie przez straszne pożary. Rzemieślnicy, pozbawieni roboty, świętowali i wałęsali się beczynnie po ulicy, wyprawiali burdy, wybijali szyby, oblegali domy bogatszych mieszkańców, a nareszcie i pałac samego gubernatora, który raz schronić się musiał do ogrodu, podczas gdy wojsko kolbami rozpędzało zbuntowane tłumy, krzyczące „chleba!“ Ludzie, dawniej zamożni, nie mogąc zapłacić wygórowanych cen żywności, masami umierali z głodu. Ogień i kule nieprzyjacielskie, brak zarobku i straszliwy mór szpitalny zdziesiątkowały ludność i garnizon. W tym ostatnim tyle już ubyło żołnierzy, że pozostali oficerowie postanowili pełnić obowiązki prostych szeregowców i uformowali z siebie mały oddział partyzancki, przewany „Compagnie franche, Terribles, Frères du diable,“ który pod dowództwem pewnego Chombura, dokazywał cudów waleczności, już to zasłania-

jąc słabsze miejsce fortyfikacji, już przedzierając się pod osłoną nocy, przez scieżnione i więcej niż dziesięćkroć przeważające liczbą kolumny nieprzyjacielskie, lub rzucając się na śmierć roznoszące działa, by je zabrać, lub zagwoździć.

Oprócz tej kompanji, którą śmiało czyny stawiały obok najślawniejszych bojowników starożytności, i którą też powszechnie porównywano do świętej falangi Tebanów, najwięcej się wówczas przy obronie Gdańska odznaczali Polacy, między którymi górował znów waleczny książę Michał Radziwiłł, niedawno mianowany generałem brygady. Ale ani odwaga i poświęcenie się tych bohaterów, ani zwycięskie wycieczki Francuzów, nie mogły zmienić losu oblężonego miasta, zostawionego własnym tylko siłom, wśród kraju nieprzyjacielskiego.

Rapp dotąd nie zrozpaczał o swoim położeniu. Wzniesiony łaską cesarza, ślepo zaufał jego gienjuszowi, który stał się dlań artykułem wiary, niewzruszonej przez błędy polityczne Napoleona, niezachwianej przez wszelkie klęski i niepowodzenia, których sam był świadkiem w Rosji.

Zdaniem Rappa, Francuzi nie mogli na żaden sposób zostawić Gdańska bez podania mu pomocnej ręki. Dziś, jutro, odsiecz koniecznie stanąć musi pod murami bronionej przezeń twierdzy, a wtenczas, wzięwszy nieprzyjaciela we dwa ognie, zmiażdży go, tak jak nieraz dawniej zmiażdżył liczne zastępy, które śmiały posłańca Bożego zatrzymywać w zwyciężkim jego pochodzie ku zdobyczy należnego mu świata...

Abel Morin, choć niemniej gorący wielbiciel Napoleona, nie był takim optymistą jak generał Rapp. Doktor, jak wielu innych, przewidywał smutny koniec oblężenia i drżał o los ukochanego dziewczęcia.

Speranie natomiast dosyć było obecności Abla, aby się uspokoić, i w owych dniach nieszczęścia, miłość spotęgowana wdzięcznością dla dobroczyńcy, tak dalece zawładnęła całym jestestwem dziewczęcia, że prawie nie ukrywała tego, co się działo w jej sercu.

Gdy po kilku dniach próżnego oczekiwania, kiedy każda kula zdawała jej się przeznaczoną dla piersi Abla, Speranza usłyszała nareszcie znajome kroki, gdy potem oglądała zdrowym tego, który wszystkie jej myśli zajmował, długo tamowane uczucie obalało sztuczne zapory pobożności i przeciskało się wszelkimi szparami duszy, ujawniało się spójrzaniem pełnem niewymownej tkliwości, namiętym akcentem każdego przemówionego doń wyrazu—słowem tem wszystkiem, coby w innym czasie uczyniło z Morina najszczęśliwszego z ludzi, a co go w obecnem położeniu napępniało jedynie niepokojem i trwogą.

Położenie w istocie było okropnem. Od początku Września pożogi w mieście były na porządku dziennym. Często ogień wybuchał w kilku naraz miejscach, tak, że nie wiadano ani gdzie wpierw ratować, ani dokąd uciekać od pożaru.

W wigilję dnia Sądneho (Jom-kipur), kanonada od samego rana grzmiała bez ustanku. Kilkanaście domów stało w płomieniach. Nikt nie śmiał pozostać w swem mieszkaniu. Wszyscy siedzieli przed bramami na skrzyżniach i węzłkach, wyniesionych naprędce z zagrożonych izb, i zobojętniałemi, ogłupiałemi już oczyma patrzyli na czarne słupy dymu, wznoszące się nad miastem. Nikt nie myślał o ratunku, nikt się nie ruszał z miejsca, by choć konewkę wody przynieść do gaszenia pożaru. Tępa, bezmyślna obojętność rozpaczy malowała się na wszystkich twarzach. Jeden już tylko ślepy, zwierzęcy niemal instykt samozachowawczy wyganiał tych ludzi z walących się do-

mostw, z których, gdyby nie energiczny ratunek wojska, znaku by pewnie nie zostało.

Wśród takiego to zamętu, żydowscy mieszkańcy Gdańska wybierali się do swych świątyń, dla odprawienia wieczornego nabożeństwa „Kol-Nidre.”

W ubogiej izdebce, siwobrody starzec, ubrany w białą komżę (kitel) stał, tuląc do siebie głowę dziewczęcia, jakby je ciałem swoim zasłonić chciał od grożącej zewsząd zagłady. Łzy rześiste spływały po zapadłych jego policzkach, a podniesione w górę oczy świadczyły o żarliwej modlitwie.

— Boże moich ojców!—błagał starzec.—Niech nie zginię pamięć nasza na ziemi! Jeżeli wola Twoja, bym ja swego kraju już nie oglądał, to ze względu na zasługi pobożnych przodków, dziecko choć ocal—ześlij jej pomoc i opiekę!

W otwartych drzwiach, od chwili już, młody mężczyzna stał niespostrzeżony, a przy ostatnich słowach starca czarne jego oczy również napęłniły się łzami.

— Paniel—rzekł, przystępując. Jeżeli ja zostanę żywy, dziecko twoje będzie we mnie miało wiernego przyjaciela i opiekuna.

Speranza doktorowi Morin—on to bowiem był—odpowiedziała spójrzaniem nieopisanej wdzięczności, a reb Lejb dłoń jego uściśnął serdecznie.

— Dziękuję!—rzekł. Pan jesteś najlepszy z ludzi. Ale sam—nie masz rodziny ..

— Jeżeli oboje żyć będziemy, wasza wnuczka będzie moją żoną,—była poważna odpowiedź doktora.

Reb Lejb spójrzył na niego z przerażeniem.

— Pańską żoną?—spytał, jakby nie dowierzając własnym uszom.—Ależ pan—pan jesteś... chrześcijaninem!

— Moi rodzice należeli do żydowskiej gminy w Strasburgu.

Okrzyk zdumienia wyrwał się z ust reb Lejba i Speranzy.

— Rodzice pańscy byli żydami? Ale wy... i starzec zatrzymał się, jakby z obawy obrażenia doktora.

— Jam od lat dwudziestu, bo od śmierci rodziców, dzisiaj po raz pierwszy o tem pomyślał — odrzekł doktor wzruszony.

— Przyjąłeś nową wiarę w młodym wieku?

— Nowej wiary nie przyjąłem, tylko w szkołach i obozie pamięć starej zupełnie się zatarła.

— A więc w żadnego chyba Boga nie wierzysz?— spytał reb Lejb ze zgrozą.

— Nigdy nie przestałem uwielbiać Istoty najwyższej, jako źródła i pierwowzoru wszelkiego dobra, ale w praktyce życiowej, dla nas, dzieci Francji, Napoleonistów, ojczyzna i honor zastępują miejsce religji.

Reb Lejb słuchał milczący; na twarzy jego nie było wcale radości z niespodzianego odkrycia.

— Myśmy teraz biedni, bardzo biedni—odezwał się nareszcie głosem złamanym; nawet ten kawałek chleba, cośmy go dziś jedli, tobie panie, zawdzięczamy. Ale— i tu ton reb Lejba podniósł się do dawnej energii—podobne względy ustąpić muszą w obec przykazań boskich. Doktorze, tyś naszym przyjacielem, dobroczyńcą naszym, a jednak choćbym jutro miał umrzeć, choćby Speranza pozostała sama jedna na świecie, ona nie może zostać twoją żoną...

Doktor zbladł.

— Możnaż przynajmniej wiedzieć dla czego?—spytał.

— Moja wnuczka jest pobożną żydówką—a wy?...

— Dziadusi! on jest najzacniejszym, najszlachetniejszym z ludzi, a Bóg na serce tylko patrzy — wybuchnęła Speranza.

Reb Lejb gwałtownie odepchnął od siebie wnuczkę.

— Tyś jeszcze pierwej o nim myślała—zawołał z przestraszeniem.

— Ja jego kocham nad życie—szepnęła dziewczę.

— Teraz, w straszny dzień sądu Bożego, gdy lada chwila jedna z morderczych kul zabrać cię może z tego świata, ty, Speranzo, możesz myśleć o obcym mężczyźnie?—wołał reb Lejb z oburzeniem.

— Mogę!—odrzekła dziewczę z prostotą, i promienne jej oko spoczęło na twarzy ukochanego. A choćbym natchmiała umrzeć miała, błogosławić będę imię Przedwiecznego, że mi użyczył jednej godziny takiego szczęścia...

Morin zachwycony, rzucił się ku Speranzie, chcąc ją uścisnąć w swych objęciach; lecz ona się odsunęła.

— Nie tak, Ablu!—rzekła ze słodyczą. Uczucie poczęte u łoża boleści, wyznane w Jom-kipur, świętem jest; nie kalajmy go grzeszną pieśczęcią!

Uwiesiła się potem na szyję reb Lejba.

— Dziadusiul przebacz, i Panu Bogu zostaw rozstrzygnięcie tej sprawy! Jeżeli mnie i Abła zostawi przy życiu; będzie to oznaką, że nas dla siebie przeznaczył...

— Boże, mój Boże! Ciężko doświadczasz swego sługi—jęczał starzec, i ręce z rozpaczą zanurzył w siwe swe loki.

Tak się odbyły zaręczyny Speranzы z Ablem Morin. Doktor nie śmiał już pocałunku złożyć na czole ukochanej, a dwaj mężczyźni, odprowadziwszy Speranzę do sąsiadów, udali się każdy na swoje stanowisko — Morin do lazaretu, a reb Lejb do Synagogi.

XVII.

W synagodze z jakie tysiąc żydów zebrało się na nabożeństwo *Kol-Nidre*.

Ubrani biało, owinięci w *talesy*, ludzie ci stali przez cały wieczór, bijąc się ze skrucą w piersi i głośno wymawiając słowa spowiedzi.

Huk dział nie ustawał, a po każdym uderzeniu, błagalna modlitwa: „Boże, przebacz! Odpuść nam grzechy! Daj odkupienie!“ żałośnym echem rozlegała się pod sklepienia świątyni.

Wszyscy tu obecni przygotowani byli na śmierć, a żaden z nich mniej pewnie nie żałował życia, jak nasz stary reb Lejb.

Przebiegając myślą długie pasmo dni swoich, musiał sobie powiedzieć, że cel jego ziemskiej wędrówki był chybiony. Majątek i imię, córkę i żonę, wszystko mu Pan Bóg zabrał, a przed godziną dopiero, ostatnie jego dziecię, ostatnia nadzieja skolatanego tyłu przeciwnościami żywota, odstąpiła go, rzucając się w objęcia obcego człowieka!...

Mało obeznany ze sprawami sercowemi, reb Lejb nigdy dotąd nie przypuszczał, aby Abel Morin, ten poważny

trzydziestoletni mężczyzna, o ogorzalej twarzy, kiedykolwiek wystąpił w roli kochanka Speranzy, i aby ona się w nim rozmiłować mogła; sposób zaś, w jaki wnuczka przyjęła oświadczenie doktora, śmiertelny cios zadał sercu dziadka.

Na jego nieszczęście, Morin okazał się żydem. Tak jest, na jego nieszczęście! Gdyby dobra i pobożna Speranza, dla dostąpienia przedmiotu swej miłości zrywać musiała wszystkie węzły, łączące ją z przeszłością, wyrzec się tego wszystkiego, co od samego urodzenia stanowiło treść jej życia, gdyby musiała kolana zginać w kościele, którego progu nigdy dotąd nie przestąpiła, wyprzeć się publicznie wiary przodków, wstydem okryć białe włosy dziadusia, kto wie, czyby się, mimo całej potęgi uczucia, nie zawałała w chwili ostatecznej...

Niestety, nad tą niezglębioną przepaścią rozciągnął się teraz most wspólnego żydowskiego pochodzenia, który Speranzie oszczędzał rozpaczliwego skoku na drugi brzeg, choć bardziej jeszcze niż dotąd oddalał odeń reb Lejba.

Dla żelaznego bowiem konserwatysty, żyd z rodu, nie obserwujący najkardynalniejszych przepisów swej religji, był o wiele mniej blizkim od chrześcijanina, a na samo przypuszczenie, aby pierwszy się stał mężem jego jedyne dziecko, ojcem jego prawnucząt, włosy się jeżyły na głowie prawowiernego reb Lejba.

Starzec poznał Morina z jak najlepszej strony, łączyły go z nim węzły nie samej tylko wdzięczności, ale osobistego szacunku i szczerzej, serdecznej przyjaźni. W żarliwych nawet modlitwach reb Lejb wspominał imię swego dobroczyńcy, błagając Boga o ocalenie jego życia. A jednak — gdyby pierwiej był odgadł zamiary doktora, wołałby umrzeć z głodu, aniżeli dotknąć się chleba, którym mu płacono za zbawienie jego Speranzy.

Czyż reb Lejb, jeżeli zostanie przy życiu, nie potrafi jeszcze dobrocią i perswazją, a w najgorszym razie, rozkazem i groźbą przekleństwa, odwieźć Speranzę od związku z tym Francuzem?..

Wnuczka jego była tak anielsko dobrą, tak przywiązaną do swego dziadusia — onaby może usłuchała jego prośby, ulitowałyby się nad jego łzami...

Przed oczyma reb Lejba stanął obraz córki jego, słodkiej, cichej Beluni. Ona go usłuchała, ale ona, choć bez żalu, bez skargi — umarła, z tęsknoty po rozłączeniu się z ukochanym...

Reb Lejb przypominał sobie szczegóły powolnego jej konania, i czuł, jak stare rany otwierały się na nowo, jak sącząca się z nich krew załwiała biedne jego serce.

Speranza była sierotą i nawet wedle zakonu służyło jej prawo wyrzeczenia, gdy szło o wybór dla niej małżonka ¹⁾. Mógłżeż dziadek stanąć w poprzek skłonnościom wnuczki, aby i ona, jak tamta, przedwcześnie zwiędła w jego oczach? Wprawdzie, śmierć ją mogła spotkać od ognia lub kuli, ale przynajmniej nie z *jego* winy, nie z przyczyny tego, który, od zgonu Blimy, kochał ją jako ojciec i jako matka zarazem...

— Nie chcę żyć i patrzeć na grzeszne jej szczęście; ale ona niech żyje i będzie szczęśliwą! — wołał starzec. Boże mój, zabierz do siebie swego sługę!

Ale kule przelatowały, nie dotykając głowy reb Lejba, i znowu ból sępiemi szponami szarpał jego serce. Los jego był tak wyjątkowy. Ludzie mieli po dwanaścioro

¹⁾ Ojcu tylko i matce służy prawo rozporządzania ręką swego dziecięcia, dziad zaś ma jedynie prawo opiekuna, i obowiązany jest za sięgnąć w tej mierze zdania pupilki.

dzieci, i wszystkie wydawali według swego życzenia. On miał jedno tylko—i to jedno...

— A za cóż to wszystko?—jęknął nieszczęśliwy starzec. Wszak przepisy religji wykonywałem jak najskrupulatniej, bliźniego swego nie skrzywdziłem nigdy, zobowiązania względem drugich dotrzymywałem sumiennie...

Zobowiązania?—tak, ale czy wszystkie?... A słowo dane umierającemu Borzęckiemu?... Cóż ztąd, że wśród najcięższej potrzeby nie tknął funduszu dziedziców? Wszakże to połowa tylko obietnicy. Czyż nie przyrzekł także uczynić co tylko w jego mocy będzie, dla odszukania młodych Borzęckich? A cóż on dotychczas zrobił? Nic, albo tak dobrze jak nic. Póki był w domu, pisywał listy zagranicę, dopytywał się w Warszawie, ale oto już dłużej jak od roku przebywał w Gdańsku, i zajęty własną niedolą, zapomniał o depozycie pana Władysława. Tymczasem, w twierdzy od trzech kwartałów znajdowało się kilka tysięcy Polaków-legjonistów. Między nimi byli może towarzysze broni dziedziców, a może i oni sami. A reb Lejb żadnego kroku nie zrobił, by się do nich zbliżyć...

Nagła jasność oświeciła sumienie starca.—„Boże litosciwy! Przebacz zaslepienemu grzesznikowi, i nie zabierz mnie jeszcze z tego świata!—modlił się reb Lejb ze łzami. Niech nie stanę u stóp Twego tronu, obciążony winą krzywoprzysięstwa!...”

— Gore! Pożar!—wołano obok niego.

Pobożni rzucili się do drzwi, do okien, w mniemaniu, że to nad nimi dach się już pali.

Przekonano się wkrótce, że rakiety zapaliły znajdujący się w pobliżu kościół Dominikanów, obrócony na lazaret, gdzie się obocznie mieściło kilkuset rannych jeńców rosyjskich.

Okropne widowisko przedstawiło się oczom zebranego tłumu.

Ogień nie obejmował jeszcze całego gmachu, ale mur frontowy zawałił się i odkrył wewnątrz lazaretu, kędy chorzy wili się na swych barłogach, czekając niechybnej śmierci w płomieniach.

Z tysiąca piersi wyrwał się jeden okrzyk zgrozy. Lud w tych nieszczęśliwych nie widział już wrogów i stał zawodząc i nie mogąc oderwać oczu od straszego obrazu.

— Precz z drogi!—krzyczano.

Jacyś wojskowi, w długich płaszczach, z pistoletami za pasem, przedarli się przez wąskie ulice, i rozpychając ścieśnione tłumy, rzucili się w sam środek pożaru.

Przez czas jakiś dym i kurz zakryły wszystko.

Niebawem ukazały się wśród ognia zakopcone postacie, niosące na swych barkach ludzkie jakieś szkielety, napół obnażone i brodate, które się ostatkiem sił trzymały grzbietu swych wybawicieli ¹⁾.

Głośnie „hurra!“ zmieszało się z trzaskiem płomieni i grzmotem dział.

W obec takiego heroizmu, zdziczałe długimi cierpieniami serca na chwilę znowu czysto ludzkim zabiły uczuciem. Sciskano wybawców i zajmowano się wybawionymi.

Lud, a wśród niego żydzi, w białych swych kitlach i talesach, zabrał się do urządzenia noszy dla ocalałych.

Reb Lejb także trzymał jeden róg takich noszy. Stał obrócony twarzą do palącego się wciąż kościoła, gdy nagle zadrzał całym ciałem, i wszystka krew rzuciła mu się do głowy.

¹⁾ Historyczne.

Byłże to skutek myśli, które podczas modlitwy trapiły starca w Synagodze? Byłż to fantazmagorja, wywołana rozgorączkowaną wyobraźnią—ingliste widmo, utworzone wyrzutami jego sumienia?..

Tam, twarz ostatniego żołnierza, który z jeńcem na plecach torował sobie drogę wśród tłumu, dobrze była znaną reb Lejbowi.

— Tak, to on, młodszy syn pana Władysława!—szepnął starzec, i obłąkanem okiem śledził każdy ruch, każdy rys twarzy żołnierza.

Widmo nie zniknęło, kroczyło ono wprost do miejsca, gdzie stał reb Lejb, i przeszło tuż, tuż obok niego.

— Janusz Borzęcki!— wykrzyknął po chwili dopiero starzec.

Chciał iść za żołnierzem, pobiedz w jego ślady, ale ci co razem z nim trzymali nosze, popchnęli go naprzód.

— Trzymaj się dobrze, starcze!—wołali, a reb Lejb, sam nie wiedząc co czyni, musiał iść aż na trzecią ulicę, gdzie postawiono nosze i zdjęto z nich chorego.

Zaledwo reb Lejb uczył się wolnym, gdy pobiegł szukać Borzęckiego; ale ten tymczasem gdzieś znikł i nie podobna już było znaleźć go wśród ścisku.

Przez całą noc Jomkipurową reb Lejb błąkał się po ulicach i każdego spotykanego po drodze wypytywał o Janusza Borzęckiego. Ale nikt go nie znalazł, nikt nie mógł powiedzieć, gdzie się podział.

Reb Lejb atoli wiedział już, że jeden z młodszych dziedziców żyje, że się znajduje w tychże co i on murach, i ufał Panu Bogu, że dla tego tylko jego, obcego polskiego kupca sprowadził do Gdańska, by mógł potomkowi swych dobroczyńców odkryć tajemnicę zakopanej w podziemiach szkatuły, i wywiązać się z uroczystego słowa, danego umierającemu Władysławowi Borzęckiemu.

XVIII.

Tejże samej nocy, za murami bój się toczył zacięty.

Nieprzyjaciel przypuścił szturm do redukt na Schotenhäuser, i mimo bohaterskiej obrony generałów Leclerc'a i Hasson'a, zdobył je po krwawej walce nad ranem.

Zdobycie tych wyżyn panujących nad miastem, zapowiadało niechybną zagładę oblężonym.

Odtąd bomby i rakiety spadały w takiej ilości, że nie było wkrótce domu, któryby od nich nie ucierpiał.

W końcu następnego miesiąca liczone kilkadziesiąt gmachów i spichlerzy zburzonych ze szczytem, a parę tysięcy mniej lub więcej uszkodzonych. Łunę pożarów widziano na piętnaście mil do koła, a huk dział słychać było aż w Marienworder. Z pięć tysięcy samych osób cywilnych zginęło, między temi wielu z głodu i wycieńczenia.

Pozostali jeszcze obywatele błagali litości u generała Rapp'a, ale ten, choć łaskawie przyjął deputację, oświadczył stanowczo, że twierdzy bez wyraźnego rozkazu swego cesarza nie odda ¹⁾.

¹⁾ Prośba, którą deputacja doręczyła Rapp'owi, kończyła się temi słowy: „Au surplus, ce n'est point à vos ennemis, que Vous rendrez cette place, ce n'est pas même comme forcè par les epidemies,

W otoczonym na około, i od roku blisko odciętem od reszty świata Gdańsku, nikt w jesieni 1813 r. nie znał prawdziwego stanu armji francuzkiej, i Rapp ciągle jeszcze oczekiwał odsieczy Napoleona.

Oblegający, dla oszczędzenia krwi rozlewu, umyśliли tedy zawiadomić garnizon o bezużyteczności dalszego oporu, i znaleźli w tem pomoc u zgębionych mieszkańców, którzy od jakiegoś czasu żyli jedynie spleśniałemi sucharami, sieczką, mięsem psiem, a jak mówiono—i ludzkim ¹⁾).

W końcu Października, w koszarach zajmowanych przez Sasów, Bawarów, i Westfalczyków, znaleziono proklamacje, głoszące o przegranej Francuzów pod Lipskiem, o zerwaniu Reinbundu i obróceniu się Niemiec przeciw swemu nieprzyjacielowi.

— „Cała Germanja wzięta się do broni! — odzywali się tu królowie do swoich poddanych.—Wy, wierni jej synowie, śpieszcie wystąpić z szeregów nieprzyjacielskich! Przeszły już te czasy, kiedy waleczne wasze ramię zmuszone było wspierać siłę uzurpatora. Ojczyzna was woła i otwiera wam swe ramiona!”

W skutek tych odezw, a może i zmniejszonych racji żywności, Niemcy tłumnie dezertowali z twierdzy, co do

les inondations, la famine, que Vous aurez abandonné ces remparts, non, ce n'est, qu'à notre malheur, à nos larmes, à nos prières, que Vous n'aurez pu résister. Inflexible devant la force, Vous céderiez à la faiblesse, et cet acte d'un coeur compatissant, loin d'obscurcir Votre gloire, l'élévera au dessus de trophées du vainqueur.”

¹⁾ Après un combat, on se hâta d'ensevelir les cadavres, pour les soustraire à la voracité des assiégés, qui eussent ambitionné cette execrable pâture“ — mówi współczesny Monitor, opisując te chwile oblężenia Gdańska.

reszty zdemoralizowało wynędzniałą głodem i nadmiernymi fatygami załogę.

Prócz Francuzów, jedni tylko Polacy murem jeszcze stali przy generale Rapp, i na nich się głównie teraz opierała rozpaczliwa obrona miasta.

Ale i między nimi podobno szerzyć usiłowano nieposłuszeństwo dla dowódców. Jako tajnego ajenta, używanego do ich podburzenia, wymieniano wysokiego, siwobrodego żyda, którego Francuzi widywali, jak się uwijał koło kwater polskich, przysiadując się do prostych żołnierzy.

Wszyscy Polacy wierzyli tej pogłosce, w której częste zjawienie się starego żyda było faktem, a domysł szpiegostwa z jego strony—naturalnym w obecnem położeniu wynikiem.

Noc z pierwszego na drugi Listopada była najstraszniejszą z całego oblężenia. Wycieczka na Ohra skończyła się zupełną klęską. Nieprzyjaciel wyparł też Francuzów ze stanowisk ich na Schidlitz i Stolzenberg, i otworzył na przeciw Bischofsbergu pierwszą paralllelę.

Najdotkliwszym jednak ciosem dla załogi był pożar, jaki jednocześnie wybuchł w magazynach na Speicherinsel ¹⁾, gdzie się mieściły ostatnie już zapasy chleba i mąki.

Na widok ognia na wyspie nieopisane przerażenie ogarnęło wojsko. Tyle bohaterskich wysilen, tyle nadludzkich prawie trudów, tyle walki i znoju, wszystko było daremne, a w księdze przeznaczeń aż nazbyt czytelnymi zgłoski zapisanym był dla obrońców Gdańska wyrok śmierci głodowej lub—niewoli.

Wypadek z magazynami przypisywano także szpie-

¹⁾ Wyspa utworzona przez Motławę, na której znajdowały się najznaczniejsze śpichlerze.

gom i dezterterom, którzy jakoby zawiadomić mieli księcia Württembergskiego o miejscu, gdzie przechowywano żywność, a gdy płomień objął spichlerze, niszcząc wszystko bez ratunku, wściekłość rozjuszonego żołnierstwa nie znała już granic.

Reb Lejb i Speranza żyli dotąd. Jak? — trudno zaiste powiedzieć. Jeżeli kiedy, to w tym wypadku duch krzepił ciało. Od miesiąca już nasi znajomi nie mieli w ustach swych mięsa, a od tygodni—łyżki ciepłej strawy. Codzień Abel Morin i Speranza smutniej sobie patrzyli w zapadłe oczy; ale wnuczka reb Lejba kochała i wierzyła, a narzeczony jej był nietylko żołnierzem, ale i bojownikiem nauki.

A jeżeli Speranza w widoku ukochanego czerpała moc do znoszenia wszystkich przeciwności, starego reb Lejba podtrzymywała myśl o konieczności pełnienia świętego zadania, i im okropniejszem się stawało położenie w oblężonem mieście, im bliżej śmierć zaglądała w oczy mężnemu starcowi, tem goręcej błagał on Boga o sposobność dotrzymania swego słowa, tem skwapliwiej szukał śladów Janusza Borzęckiego, którego owej nocy Jomkipurowej ujrzał był przy pożarze kościoła.

Zabiegi w tym celu Morina nie na wiele się dotąd przydały. W polskich pułkach nie wiadano o żadnym Borzęckim, tak, że doktor próbował już wyperswadować starcowi nocne jego spotkanie.

— Przewidziało wam się chyba—mawiał doktor.

— Ja pana Janusza znam od dzieciństwa, a widziałem go tak, jak was teraz widzę. Przeszedł tak blisko mnie, że czułem jego dotknięcie, ale oniemiałem z zadziwienia i radości, i nie mogłem zrazu wydobyć głosu z piersi, dla zwrócenia na siebie jego uwagi.

Tak odpowiadał starzec na wszelką perswazję, i da-

lej uporczywie odbywał swe wędrówki, które się teraz stały jedynym celem jego życia, i potrafiły nawet odwrócić jego myśli od miłości Speranzy i Morina.

Dnia drugiego Listopada, reb Lejb swoim zwyczajem powlókł się po południu do koszar polskich.

Już od niejakiego czasu Speranza, jakby tknięta przezcuciem, nie chciała go puścić samego, i teraz wraz z Mordką szła za nim zdaleka, nie spuszczając go z oczu, z obawy jakiego wypadku, o który teraz nie trudno było w Gdańsku.

Gdy reb Lejb wszedł do jednego z większych domów na starem mieście, Speranza i Mordka przed bramą czekali jego powrotu.

Reb Lejb tymczasem przeszedł podwórze i zbliżał się już ku drzwiom, prowadzącym do tylnych zabudowań, gdy kilku żołnierzy rzuciło się nań z okrzykami:

— Mamy cię, stary szpiegu, zdrajco, Judaszu przeklęty! Sprzedajesz djabłu chrześcijańskie dusze—idź-że teraz do piekła po zapłatę!

W jednej chwili powalono starca na ziemię, i rozszarpanoby go pewnie w kawałki, gdyby nie groźny głos dowódcy, zwabionego tym hałasem.

— Do kroćset! Precz mi od żyda! Sprawiedliwość nie do was należy!

Żołnierze poznali głos swego generała, księcia Michała Radziwiłła, i puścili swą ofiarę.

Reb Lejb podniósł się z ziemi, blady, z brodą rozczochraną, w odzieży podartej przez napastników.

— Jaśnie panie! — rzekł — nie wiem czego odemnie chcą,—jam człowiek uczciwy i spokojny.

— Będziesz zaraz jeszcze spokojniejszy! — mruczał za nim jeden z żołnierzy.

— Kłamiesz, żydzie, tyś zdrajca i szpieg!—ofuknął go generał.

— Nie wierz temu, jasnie panie, usta moje brzydzą się kłamstwem, a ręce czyste są od bezprawia.

— Pocóż u licha łazisz do koszar?

— Szukam mego dziedzica, pana Janusza Borzęckiego. Szukam go po wszystkich polskich kwaterach, bo mam do niego zlecenie od umierającego ojca.

— Ot, plecie żydzisko, jak Piekarski na mękach!—mówili żołnierze po cichu.

— Chcesz się wykręcić od szubienicy, ale ci się nie uda sztuka—odezwał się generał surowo.

— Będziesz dyndał, żydzie!—mruknęli znowu żołnierze.

— Jasnie panie, człowiek raz tylko umiera, a ja mam lat siedemdziesiąt, i nie wiele mi się już należy na tym świecie. Ale jak Bóg na Niebie jedyny, tak na własne oczy widziałem pana Janusza Borzęckiego.

— Gdzieżeś go widział?

— Podczas pożaru u Dominikanów, gdy ratował jeńców rossyjskich.

— Majorze Krasiński!—odwrócił się generał do swego towarzysza—czy byli nasi przy tym pożarze?

— Jeńców ratowała kompanja Chambura, a między nimi, jak wiesz generale, jest i kilku naszych.

— A nie ma tam czasem jakiego Borzęckiego?

Major milczał przez chwilę, jakby sobie coś przypominając.

— Zdaje się, że był, ale nie mogę twierdzić na pewno.

Reb Lejb usłyszał te słowa.

— Jasnie panie!—rzekł z godnością—życie moje w waszem ręku, ale żądam sprawiedliwości. Każ mnie za-

prorowadzić do kompanji, gdzie, podług słów tego pana, może się znajdować młody Borzęcki. Niech mnie konfrontują z moim dziedzicem, a przekonają się, czym prawdę mówił.

— Związać go i zaprowadzić do kwatery Chambura! — rozkazał generał, a mnie podać konia, pojedę tam.

— Jakto, generale, sam pojedziesz?

— Tam do djabła! sprawa to ważniejsza, aniżeli myślisz, majorze. Idzie tu więcej niż o życie, bo o honor polskiego imienia. Chambur gorączka, gotów kazać powiesić żyda bez śledztwa, a on pewnie ma współników w mieście.

Gdy reb Lejba z rękami skrępowanemi na grzbiecie wyprowadzono z koszar, czekająca przed bramą Speranza chciała się doń zbliżyć, ale żołnierze odepchnęli ją po grubjańsku, aż się na bruk potoczyła.

Dziewczyna prędko odzyskała całą przytomność umysłu.

— Mordko! — rzekła do wiernego sługi, który nadbiegł — ty nie pokazuj się, bo i ciebie uwiężą. Uważaj tylko dobrze, gdzie go prowadzą, a potem leć co nogi wyskoczą do lazaretu, po doktora Morina, — on jeden może nas jeszcze ratować.

— A ty, Speranzo?

— Ja muszę iść za dziadkiem.

Krótki i mglisty dzień listopadowy już się chylił ku końcowi. Gęsta mgła, niby kir żałobny, okrywała ulice, przez które prowadzono więźnia.

Co kilka kroków sterczały czarne kominy, piętrzyły się kupy gruzów, wałyły się obdarte i zeszpecone trupy. Gdzieniegdzie, wśród zgliszczów, ostatnie dogorywały iskry, rozświecając na chwilę straszny obraz zniszczenia. Ruchu miejskiego ani śladu, wiatr tylko jesienny huczał

ponuro, przerywany echem wystrzałów z reduct i szanców, gdzie się krwawe toczyły walki. Zrzadka, wśród szarej i mglistej masy, przesuwał się jakiś cień bojazliwy, który, na odgłos miarowego stąpania żołnierzy, wnet zniknął, jakby się rozplątał w powietrzu.

Speranza ciągle postępowala za konwojem.

Młoda dziewczyna nie domyślała się jeszcze, jakie podejrzenie ciążyło na ukochanym starcu, ale że mu groziła śmierć, o tem żadnej nie mogła mieć wątpliwości. W Gdańsku, obecnie, za najmniejszym podejrzeniem wieszano i rozstrzeliwano cywilnych; lecz Speranza była zdecydowaną nie oddać życia dziadusia bez rozpaczliwej walki. Nie tajem jej było, że tym sposobem własną naraża głowę, ale czuła w sobie święty zapal Debory, nieustraszone męztwo Judyty i odważną litość Estery. Myśl o narzeczonym, zamiast odejnować, dodawała jej jeszcze odwagi. On był żołnierzem, i choć ją kochał tak samo, jak ona jego, nigdy nie oszczędzał życia, gdy szło o spełnienie powinności. Miałaby wybrana Abła cofnąć się przed niebezpieczeństwem?..

Ze stu ludzi, którzy na początku oblężenia składali kompanję Chambura, dnia drugiego Listopada połowa się już tylko została, a ta, po spaleniu się ich kwatery, przeniosła się do jednego ze starych kościołów.

Wejscia do nawpół zrujnowanego gmachu nikt teraz nie strzegł. Zwinna Speranza mogła tedy wsunąć się za więzieniem i ukryć się za jednym z filarów.

Tuż po niej zjawił się generał, książę Michał Radziwiłł, we własnej osobie.

W wysokim, zawałonymi kamieniami kościele, oświetlonym tylko w jednym miejscu parą łojówkami, zatkniętymi między gruzy, z jakie dziesięć czarnych postaci o twarzach wynędzniałych, leżało pokodem, częścią na słomie, częścią na gołej posadzce.

Byli to ci z kompanji „Terribles“, którzy, wróciwszy niedawno z wyprawy, wyczerpani, czy ranieni, musieli czas jakiś odpocząć.

Na widok generała wszyscy się podnieśli, a dowódzca przystąpił z uszanowaniem do wchodzącego.

Kapitan Chambur był to mąż wysoki, chudy niezmiernie, o obliczu dzikiem i oczach błyszczących, jak zarzewie; jeden rękaw munduru wisiał mu luźnie u boku, a zakrwawiona chusta koło głowy świadczyła o świeżo odniesionej ranie.

— Kapitanie! — objaśniał książę generał, — złapaliśmy tego żyda, mocno podejrzanego o szpiegostwo.

— To go powiesić. Teraz do sądów i protokółów czasu nie ma.

— Tłumaczy się, jakoby szukał jakiegoś Borzęckiego.

— Znana sztuka. Każdy taki ptaszek czems się tłumaczy.

— A więc między twojemi, kapitanie, nie ma żadnego Borzęckiego?

Chambur machnął ręką obojętnie.

— Kto ich tam wie!

— Kapitanie, jeden z naszych kolegów nazywa się Borzęcki—odezwał się ktoś z boku. Na imię mu Janusz.

— A przydomek?

— Boreas.

Dla objaśnienia tych słów, dodajemy, że Polacy, którzy wstąpili do kompanji Terribles, przyjęli wszyscy przydomki (nom de guerre), pod którymi jedynie znani byli dowódcy.

— O, Boreas to tęgi chłopak! — zawołał Chambur.

— Można się z nim zobaczyć? — spytał generał.

— Odkomendowałem go dziś rano do fortu Friaul.

Generał odwrócił się do więźnia, którego twarz pozostawała

stawała w cieniu prawie zupełnem, tak, że nikt z obecnych nie widział jej dokładnie.

— Jest tu pono jakiś Borzęcki—rzekł generał, a jak wydasz swych współników, wyrok będzie złagodzony.

— Jasnie panie, jeżeli jest Borzęcki, toć widzisz, żem prawdę mówił. Teraz moja niewinność jasna, jak słońce.

— Znalazł się wprawdzie Borzęcki, aleś ty użył tylko jego imienia, jako pretekstu, by się zbliżyć do naszego wojska; tyś żołnierzy namawiał do dezercji—z ciebie szpieg, zapłacony przez nieprzyjaciela.

— Byłem kiedyś kupcem bogatym, szanowanym powszechnie; szlachta naszej okolicy wierzyła memu słowu, gdy szło o dziesiątki tysięcy. Do Gdańska przyjechałem po odbiór pieniędzy u rządu za zboże, które mi zabrano. Więcej jak od roku już tu jestem, znają mię na Langgarten, gdzieś długi czas mieszkał, znają mię w kancelarji gubernatora, zna mnie bardzo dobrze sztaba-lekarz Morin.

— Zkąd twoja znajomość z Morinem?

Reb Lejb na chwilę się zawahał.

— On jest narzeczonym mojej wnuczki—odrzekł narreszcie po cichu, głosem niepewnym.

— Kłamiesz, i to niezręcznie; język wyraźnie ci się płącze, gadasz nie wiedzieć co.

— Cóż, przyznaje się?—spytał Chambur.

— Dotąd nie jeszcze.

— Kiedy taka uparta bestja, to na słup z nim i koniec...

Z za filaru kościoła wysunęła się postać Speranzy i stanęła przed generałem.

Wyseka, blada dziewczica, mimo schudłych policzków i wypłowiałej sukienki, zaledwo okrywającej królewskie jej kształty, w tej chwili piękniejszą była, niż kiedykolwiek. Duże oczy wydawały się jeszcze większemi, a sine

naokoło nich obwódki potęgowały wrażenie gorączkowego żaru, płonącego w ciemno-szafirowych jej źrenicach.

— Któż ty jesteś, kobieto, i jakżeś się tu dostała?— spytał generał po polsku.

Speranza widywała księcia, gdy go sobie na ulicach Gdańska pokazywano, jako najwaleczniejszego z Polaków, i teraz poznała go odrazu.

— Jasnie oświccony panie!—odrzekła. Jestem wnuczką tego starca. Widziałam jak go prowadzono i weszłam z nim razem.

Książę odpowiedź Speranzy wytłomaczył kapitanowi po francuzku, przyczem szepnął mu na ucho:

— Tem ci lepiej,—baba wnet wszystko wypiewa. Tylko ją trzeba dobrze nastraszyć.

— Słuchaj, dziewczko!—odwrócił się teraz generał groźnie do Speranzy. Mamy w rękę dowody, że dziad twój jest szpiegiem; wydaj jego współników, a uwolnisz go od kary.

Speranza obie ręce podniosła do góry.

— Klnę się Bogiem, że dziad niewinny, że szukał syna naszego dziedzica,—rzekła uroczyście.

Generał tupnął nogą z niecierpliwością.

— Zaczynasz z tej samej beczki, boś go podsłuchiła. Ale radzę ci, dziewczko—dodał groźniej jeszcze—nie kłam, gdyż i ciebie powiesić każę. Z nami nie przelewki.

Dziewczę śmiało spojrzało w oczy generałowi.

— Śmierć dla mnie niestraszna—odpowiedziała pewnym głosem—bo ponad grób i zniszczenie sięga prawica Boża, która karze złych, a dobrych przygarnia do swojej chwały.

Generał patrzył na nią zdumiony.

— Mielismy już dosyć czasu do oswojenia się ze śmiercią—mówiła dalej Speranza. Od półtora roku jesteśmy w Gdańsku, pielęgnowaliśmy chorych podczas naj-

większej zarazy, groziły nam bomby i rakiety, palił nas ogień, zalewała woda, a od tygodni głód powoli trawi nasze wnętrza. Niczem jest umierać. Ale—dodała z boleścią—skończyć na szubienicy za to, żeśmy święty spełniali obowiązek, zginąć z rąk polskich, z rąk towarzyszy Janusza Borzęckiego, gdy ten żyje i za chwilę może nad zbeszczeszczonemi trupami świadczyć będzie o naszej niewinności—to okropne!

Mowa ta, niespodziana w ustach żydowskiego dziewczęcia, uderzyła generała.

— Wartoby w istocie czekać na powrót Boreasa — przemówił z cicha do kapitana.

— Bał z fortu Friaul nie wszyscy wracają, co tam idą—zauważył Chambur niechętnie. A tu czas drogi i tak już za długo bawimy z tem tałałajstwem. Najlepiej skończyć z niemi odrazu.

Speranza przez czas pobytu w Gdańsku trochę się już była nauczyła po francuzku. Zrozumiała teraz okrutne słowa Chambura; spójrzała w oczy tego człowieka, niedostępnego wszelkiej litości, w jego rysy znamionujące dziką żądzę krwi i mordy, i—duszę poleciła Bogu.

W ostatniej rozpaczyci rzuciła się do nóg księcia, z którego twarzy, choć marsowej i groźnej, instynktownie przeczuwała łaskawsze usposobienie.

— Miłościwy panie!—wołała.—Tys książę możny i dostojny, a my biedni, nieszczęśliwi żydzi. Ale i nam kraj twój dał życie, i nas on żywił swoim chlebem; prochy naszych przodków spoczywają na tejże co i twoich ziemi. W imię tej ziemi wspólnie nam świętej, w imię tych drogich sercu, których zostawiłeś w domu, i którzy pewnie ze łzami wyglądają twego powrotu w rodzinne progi—sprawiedliwości! sprawiedliwości!.. Nie dozwól mordować niewinnego!

Warkocze Speranzy rozplotły się i okryły leżącą złocistym swym płaszczem; duże szafirowe oczy, wlepione błagalnie w twarz księcia, świeciły tak cudnym blaskiem, a głos tak potężne i miękkie zarazem miał vibracje, że wójak, który codzień patrzył na śmierć tysięcy, uczuł się wzruszonym.

— Zrobię to dla ciebie, dziewczyno—wyrzekł generał łagodniej—i wstrzymam jeszcze egzekucję.

— Błogosławionym bądź, panie, żeś usłuchał głosu prawdy! — zawołała Speranza, całując w uniesieniu stopy księcia.

— Bądź pochwalony, Boże Izraela, który z mądrości swojej udzieliłeś człowiekowi z krwi i ciała ¹⁾— szepnął reb Lejb, który aż do tej chwili nie przestawał zmawiać po cichu modlitw przedśmiertnych.

— Niech mnie djabli porwą, jeżeli rozumiem te ce-regiele dla plugawego żyda,—mruknął Chambur. Ta wiedźma-żydówica wszystkich opętała.

Książe nadstawił ucha.

— Już to chyba niedługo potrwa, rzekł—bo oto i twoi, kapitanie, nadciągają z wyprawy.

W istocie, przed kościołem rozlegały się stąpania i szczęk broni.

— Nasi wracają! — wołano z radością.

Weszło z jakie czterdziestu zbrojnych, zabłoconych, pokrwawionych, i ledwo się trzymających na nogach ze znużenia.

W miarę jak wchodzili, związany ciągle reb Lejb z natężeniem patrzył na każdego z nich. Z trwogą i biją-

¹⁾ Modlitwa ta dziękczynna zmawiana bywa w obec objawów niezwykłej intelektualnej, lub moralnej potęgi.

cem sercem Speranza, która teraz podniosła się, śledziła na obliczu starca oznakę poznania Borzęckiego. Ale wojacy jeden za drugim przedefilowali koło łójówek, a nadzieja coraz bardziej słabła w duszy biednej dziewczyny; cień śmierci coraz szerzej się rozsiadał na zbladłym jej czole.

Dwaj już tylko ludzie zostali przy wejściu, ale na widok pierwszego z nich oczy reb Lejba się ożywiły i usta jego wyrzekły z radością:

— Pan Janusz! o Boże, dzięki Ci!—Już teraz idącego drogą sprawiedliwości nie spotka szkoda!

Chambur i jego koledzy, a za nimi książę Michał, przywitali nowoprzybyłych, ściskali im dłonie, dopytywali się o szczegóły wyprawy, i, zdawało się, zapomnieli zupełnie o żydowskim delinkwencie i jego dziecięciu.

Po niejakim dopiero czasie, Chambur, wzięwszy reb Lejba za barki, popchnął go ku miejscu, gdzie się Borzęcki tylko co wyciągnął na słomie.

Boreas! znasz tego żyda?—spytał.

Ale Borzęcki był znużony, osłabiony wpływem krwi, która mu się lała z rany. Spójrzawszy obojętnie na żyda, odpowiedział:

— Co on za jeden? Ja go nie znam!

Szmer groźby rozległ się wśród zgromadzonych.

— Okłamaliście nas, ty, dziewczko, i ten twój dziad—zawołał generał w najwyższym gniewie. Ale teraz już nie ujdziecie stryczka...

Speranza uczepiła się nóg generała.

— Łaski! miłościwy panie! Dozwól dziadkowi pomówić kilka słów z Borzęckim, przypomnieć mu się po tylu latach niewidzenia!

— Już teraz ci gładki jęczyzek nie pomoże, dziewczko. Wziąć żyda!

Speranza ciągle się tarzała u nóg księcia.

— Litości! — błagała. Przyjrzyjcie się wszyscy tej twarzy, na której siedemdziesiąt lat zanego życia piętno swe wyryły, i osądźcie, sąż-li to rysy zdrajcy i szpiega?

Po zaprzeczeniu Borzęckiego, wszyscy już byli przekonani o winie starca, a jednak akcent prawdy był tak silny w słowach Speranzy, że jeden z polaków wyjął zatkniętą wśród gruzów łójówkę i oświecił nią twarz skazanego.

Zaledwo światło padło na szlachetne oblicze reb Lejba, którego groźba śmierci zmienić nie zdołała, gdy ten, co trzymał łójówkę, wypuścił ją z ręki i cofnął się przerażony, jakby po ujrzeniu straszliwego widma.

— Co to jest? Co ci się stało?—spytano.

Żołnierz był trupio blady.

— Pyrrhusie, co ci jest?

— Ja znam tego żyda! — odrzekł żołnierz głosem, drżącym od głębokiego wzruszenia.

— Jako szpiega?

— O, nie! Ręczę za niego słowem honoru.

Poręczenie byłego oficera, obecnie członka kompanji, sprawiło, że książę kazał puścić reb Lejba i dozwolił mu zbliżyć się do Borzęckiego.

— Panie Januszu! Pan nie poznajesz starego Lejby z miasteczka, co zawsze przyjeżdżał do dworu po zboże, co ciebie i pana Foncia na rękę kiedyś nosił, co jasnym paniczom gdańskie fuzje i strzelby przywoził?

Szczegóły te dopomogły nareszcie pamięci Borzęckiego.

— To wy, Lejbo? Przebaczcie, alem was nie poznał odrazu—rzekł głosem wzruszonym. Cóż was sprowadziło do tego nieszczęsnego miasta?

— Wola Boga, jasnie panie! Było mi widać sądzonem, abym cię jeszcze ujrzał przed śmiercią i wykonał ostatnie rozporządzenie nieboszczyka pana Władysława.

— Ojciec mój nie żyje?

— Już pięć lat temu, jak umarł na moim ręku.

— A stryj Michał?

— Także nie żyje.

— Co się stało z jego majątkiem?

— Zakopałem go w moim domu, aż do powrotu twojego i pana Alfonsa.

— Alfons poległ w Hiszpanji.

Rozmowa reb Lejba z Borzęckim wywołała reakcję w umyśle podejrzliwych wojaków. Ten depozyt, zakopany od lat pięciu, wierność żyda, który z narażeniem życia szukał jego właściciela, obudziły ogromne współczucie między zebranymi.

W jednej chwili rozcięto sznury krępujące więźnia, a widząc, że się ślania z wycieńczenia, posadzono go na słomie, ofiarując, ten ostatnią może kroplę wódki, ów—drogi teraz kęs chleba.

Jeden tylko żołnierz, ten sam Pyrrhus, który swoim poręczeniem ocalił życie reb Lejba, usunął się ku ciemnemu kątowi kościoła.

Wdzięczna Speranza odkryła go tu.

— Paniel—rzekła, przystępując do wojaka—tyś chyba nie człowiek śmiertelny, ale anioł z nieba zesłany na nasz ratunek.

Żołnierz, zamiast odpowiedzi, chciwie wlepił oczy w twarz dziewczęcia.

— Tyś wnuczką tego starca?—spytał po cichu.

— Tak, panie!

— Matka twoja tutaj, w Gdańsku?

— Ja nie mam matki.

— Umarła?

— Tak jest.

— Dawno już?

— Będzie temu lat ze dwadzieścia.

Żołnierz zadrzał.

— Ileż ty masz lat?

— Dwudziesty i pierwszy rok.

— Gdzież twój ojciec?

— Ojca swego nie znałam.

— Umarł także?

— Nie wiem.

— Opuścił żonę i dziecko?

— Z żoną się rozwiódł, a o dziecku podobno wcale nie wiedział.

Żołnierz oprzeć się musiał o mur kościoła.

— Twoja matka—była—dwa razy—zameżną?—spytał głosem, który z trudnością się tylko wydobywał ze ścisniętego gardła.

Speranza spójrzała zdziwiona na wojaka.

— Nie, panie, raz jeden tylko.

Zaledwo Speranza wymówiła te słowa, gdy silne ramiona żołnierza objęły ją i konwulsyjnie przycisnęły do serca.

Dziewczyna nie wiedziała co się z nią stało; ale nie czuła się wcale obrażoną i z niewytłumaczonym zaufaniem położyła zmęczoną tyłu wzruszeniami głowę na szeroką pierś żołnierza.

Gdy się to stało, do kościoła wpadł doktor Morin.

— Dzięki Bogu, żyje jeszcze!—zawołał na widok starca, siedzącego teraz spokojnie wśród grupy wojaków.

— To ty, doktorze! — przywitał go generał. Przydasz się tu na prawdę—mają niejedną dziurę do załatania.

— Generale! podobno tego poczciwego starca wzięto za szpiega?

— Teraz nie ma już niebezpieczeństwa, ale źle było koło niego.

Doktór doszedł do reb Lejba i wynurzył mu swoją radość.

— Gdzie się podziała Speranza?—zapytał po chwili. Mordko powiedział, że poszła za wami.

— Wnuczka moja dopiero co tu stała.

Morin zaczął się rozglądać po kościele, gdy w tem—oczy jego zaświeciły i żyły mu nabrzmiały na czole, jakby pęknąć miały—ujrzał swą narzeczoną w objęciach Chamburzysty.

Jednym skokiem Morin stanął przy Pyrrhusie i Speranzie.

— Natychmiast puść tę pannę!—zawołał głośno, tak, że zwrócił na siebie uwagę wszystkich.

Żołnierz patrzył na niego niezmięszany.

— Jakie wy macie do niej prawo?—spytał z łagodnością, która powiększała jeszcze uniesienie Morina.

— Ona moja narzeczoną!

— Moje prawo starsze.

Z oczu Morina tryskały błyskawice.

— Cóż to, kpisz, czy o drogę pytasz? Mówię ci, że to moja narzeczona.

— A moja córka!—wyrzekł Pyrrhus powoli i dobitnie—i gruba łza spłynęła z jego oka na pochyloną głowę Speranzy.

— Ojcze!

— Dziecię moje!

— Eljaszul...

XIX.

Po katastrofie na Speicherinsel, Gdańsk trzymał się jeszcze całe cztery tygodnie, a przez ten czas Chambur i jego kompanja nie schodzili prawie z placu bitwy.

Kapitulacja nastąpiła dnia 29 Listopada. W chwili jej ogłoszenia, do apellu stanęło tylko dwunastu zdrowych Chamburzystów, licząc już w to wyleczonego z lekkiej rany Janusza Borzęckiego. Do świeżo ranionych natomiast przy obronie szanću Kabrun, należał Pyrrhus-Eljasz, ojciec Speranzy.

W lazarecie, będącym pod specjalnym nadzorem Abla Morin, leżeli obok siebie dwaj ludzie, rozdzieleni niegdyś dumą i wzajemnymi uprzedzeniami, a złączeni obecnie miłością wspólnego swego dziecięcia—stary reb Lejb i zięć jego Eljasz.

Starca, owego wieczoru drugiego Listopada przypro-
wadzono tu z kwatery Chambura. Późny wiek, niedosta-
teczne od jakiegoś czasu pożywienie, a nareszcie gwalto-
wne sceny w kościele, z nóg go zwały, a dostawszy się do
łóżka, nie mógł się już więcej zeń dźwignąć. Nie była to
choroba, lecz powolne wygasanie sił żywotnych. Reb

Lejb pod tym względem nie łudził się wcale, — przytomnie a spokojnie mówił o niedalekim swym skonie.

Między łózkami siedziała Speranza. Ręka jej spoczywała na rozpalonem czole ojca, a oko śledziło ruchy śpiącego dziadusia.

— Ablu, niewola twych towarzyszy nie będzie wieczną. Wrócą oni wkrótce do domu, a kraj z radością przywita swych synów.

— Gdyby nie ty, Speranzo moja, poszedłbym teraz z nimi.

— A gdyby nie ojciec i dziadus, zamiast cię wstrzymać, poszłabym z tobą.

— Masz słusność, Speranzo, mamy obowiązki względem twoich. Skoro ojciec wyzdrowieje, musi jechać z nami do Strasburga.

— A co będzie z dziadusiem, Ablu?

Wszedł Abel Morin, błydy i chwiejąc się jak pijany.

— Ablu, co się stało? jakie nowe nieszczęście? — spytała Speranza, śpiesząc na jego spotkanie.

— Zmienili nam warunki kapitulacji ¹⁾ Francja, nasza wielka Francja, zwyciężona, zdeptana, dzieci jej pójść muszą w niewolę.

— Dokądkolwiek pójdziesz, choćby w najcięższą niewolę, ja z tobą pójdę! — rzekła.

— Polaków i nas, lekarzy, uwolnili. Twoi rodacy wrócą do domu, a mnie wolno iść, gdzie mi się spodoba. Ale oni, towarzysze moi, bohaterski generał Rapp.. I Abel Morin płakał jak dziecko.

¹⁾ W głównej kwaterze nie przyjęto warunków kapitulacji, umówionych między Rapp'em a księciem Württembergskim. Dopiero w Styczeniu Francuzi się dowiedzieli, że mają iść w niewolę do Rosji.

Doktór milczał.

Ale stary ocknął się ze snu i usłyszał pytanie wnuczki.

— Ja nie umrę na obczyźnie—rzekł—muszę pojechać do domu—tam moja Blima i Belunia długo już na mnie czekają...

— Nie zniesiecie podróży!

— Nie bój się, doktorze, wytrzymam. Ale czas jechać, spieszno mi...

— Ojciec ma jeszcze gorączkę.

— A tak, Eljasz musi wyzdrowieć, Belunia, nie przebaczyłaby mi jego śmierci—czekajmy!

Eljasz z każdym dniem czuł się zdrowszym, a gdyby nie losy drogiej jego sercu armji, dni te rekonwalescencji liczyłyby się do najpiękniejszych jego życia. Speranza rozwijała całą swą czułość i energję w pielęgnowaniu odzyskanego ojca, a on, patrząc w sliczną twarz swego dziecięcia, zapominał o przeżytych cierpieniach

— Ojczel—powiedział raz do reb Lejba—zabraliście mi Belunię, ale oddajecie mi za nią Speranzę.

— Biedna moja Belunia cię kochała, ona umarła z tęsknoty po tobie.

— I jam ją kochał, ojczel Nie wtenczas, gdy była moją żoną, nie. Ale te smętne, niezgłębione oczy, które utkwiała we mnie, gdy rozwód podał do jej ręki, oczarowały mnie na zawsze. Czegom ja w tych oczach nie wyczytał?—i ból, i miłość, i prośbę namiętną, całą tajemnicę tego anielskiego serca, do którego moje odtąd przyłgnęło... O, jam ją pokochał gorąco, szalenie; jabym życie był oddał za drugie takie spójrzanie Beluni, a ugiąć karku przed wami nie mogłem... Gdziem ja potem nie był, jakich nie widziałem kobiet?—ale u żadnej nie napotkałem już takich oczu, u żadnej!

— Blima miała słusność—tom ja was rozłączył.

— Nie wy sami tylko. Rozłączyło nas całe wasze otoczenie, ten świat małości, form czezych i bezduszych, na budowę którego złożyły się wieki całe przymusowego odosobnienia od reszty ziomek, usunięcia od wielkich spraw współobywateli i kraju,—to ograniczone koło potrzeb i interesów konfesyjnych i kastowych, w których burzliwa moja natura zmieścić się nie mogła. U mnie krew gorąco grała w piersi, młode skrzydła wyrwały się do lotu; jam potrzebował powietrza i przestrzeni, wielkiego celu i śmiałych czynów, jam musiał żyć pełnią życia; ślimacze pełzanie zabiłoby moje ciało i duszę, tak jak zabiło ciało i duszę Akiwy...

— Z Akiwą spotkałem się w Królewcu,—wtrącił reb Lejb—od niego się dowiedziałem, żeś wstąpił do legjonu.

— Spotkaliście go?—zapytał Eljasz ciekawie—w jakim stanie?

— W najgorszym. Wziąłem go z początku za żebraka i ofiarowałem mu drobną jałmużnę.

Eljasz westchnął.

— Moja po części w tem wina—rzekł smutnie. Jam Akiwie nie małą wyrządził krzywdę, rozłączając się z nim w gniewie i uniesieniu młodzieńcem. On był do mnie przywiązany szczerze, on mnie wielu rzeczy nauczył; ale ja kochałem Belunię i zniemawidziłem tego, który mnie od niej odciągnął. Akiwa naprzykrzał mi się o wyjazd za granicę, wtenczas właśnie, gdy kraj potrzebował wszystkich swoich synów... Nie pytajcie się, jakim sposobem ja, uczeń reb Samsona, tak prędko to pojąłem?. Leżało to w atmosferze, a natura ciągnie wilka do lasu. Niebezpieczeństwo widocznie moim było żywiołem... Jam się weni zanurzał z rozkoszą, Akiwa zaś, jak ta kwoka w bajce, co wysiedziała kaczęta, stanął drżący u brzegu i nudnem gda-kaniem napominał do powrotu.

— Akiwa był złym człowiekiem.

— On był tylko bardzo, bardzo nieszczęśliwym. Teraz, gdy burzliwe fale namiętności się we mnie uciszyły, osądzić go mogę należycie. Akiwa był człowiekiem niezwykłych zdolności, onby się mógł stać ozdobą swego narodu, chlubą plemienia, które go wydało, ale—naród go nie znał, a własne plemię odpychało...

— Byliśmy w swoim prawie. Judaizm, jako zdrowe ciało, po wsze wieki wyrzucał z siebie bezbożników, jako ferment, grożący mu rozkładem i anarchją.

— Szkoda tylko, że taka publiczność miasteczkowa rzadko kiedy zaczyn zgubnego rozkładu odróżnić potrafi od oznak prawidłowego rozwoju. Często ferment wyburzyłby się i wyklarował całość, gdy bez niego massa waszych uczonych raz bardziej tężeje w separatyzmie i nieodłącznej od niego ciasnocie umysłowej; a gdy ją żaden już świeży powiew nie poruszy, zamieni się w martwe bagnisko, nad którym błędne ogniki przesądów wyprawia swe harce, i tumaniąc lud prosty, tego nieświadomego przechodnia, zwabią go do grzędzkiej otchłani, która potem na długo, bodaj czy nie na wieki całe, nie puści swej ofiary...

— Przyszłość do Boga należy—nie nam robakom ziemskim o niej sądzić. Tyle tylko wiem, że ludzie jak Akiwa, sami na siebie wydają wyrok potępienia. Akiwa przez całe swoje życie nikomu, nawet własnej rodzinie, nic dobrego nie zrobił.

— A któż kiedy jemu zrobił co dobrego? Któż jemu choćby dobre słowo dał w miasteczku?.. Jam nie filozof jak Akiwa, lecz żołnierz, który przez lat dwadzieścia do żadnej nie zaglądał księgi, prócz do gwiazdzonego nieba, podczas cichych nocy biwuaku. Ale jeżeli w młodym talmudycie odzywała się już żyłka żołnierska, to za to w żołnierzu talmudysta nie został bez wpływu i nauczył

go sądzić rzeczy z wyższego stanowiska. Jam wzdłuż i wszerz przeszedł Europę, jam poznał wielu francuzkich i niderlandzkich żydów, kolegów moich w wojsku, ludzi honoru i poświęcających się dla swojej ojczyzny. Jam był w Rzymie, jam nad brzegami Tybru patrzył na znikczemniałą hołotę, którą tam przez wiele, wiele stuleci trzymano w kale cuchnącego ghetta, i na noc zamykano łańcuchami, jak dzikie zwierzęta. Ojczy, w jednostkach, jak w plemionach całych, nienawiść i pogarda rodzą zgubny egoizm i zabijają je moralnie. W braku miłości i szacunku współludzi, najżyźniejsza gleba sercowa w końcu jałowić musi. One jedne, zapładniając dobroczynnie duszę, powołują do życia drzemiące w niej szlachetniejsze zarodki. Wślad dopiero za poczuciem i uznaniem godności osobistej, idą te cnoty humanitarne i obywatelskie, które są najwyższą koroną człowieczeństwa. Kto nigdy nie był szanowanym, ni kochanym, ten też nikogo szanować, ni ukochać nie potrafi!..

Gdy Eljasz w taki sposób się rozgadywał, Abel Morin nieraz aż się uciekać musiał do lekarskiej swej powagi, a Speranza, obejmując to ojca, to dziadka, zamykała im usta czułą pieczęcią i pocałunkami.

Na szczęście, nasz legjonista silną miał naturę i tego rodzaju dyworsje nie wiele mu szkodziły.

Wyzdrowienie jego szło raźnie naprzód, a w końcu Lutego 1814 roku stan jego dozwalał już myśleć o wyjeździe z Gdańska.

Reb Lejb uparł się wracać do miasteczka. Eljasz, po tylu latach tułactwa, wygnania, niemniej gorąco pragnął ujrzeć kraj ojczysty. Abel Morin więc, czyniąc zadość prośbie Speranzы, wyrobił sobie pozwolenie odprowadzenia ich do Polski.

— Jak umrę, zabierz ją sobie—mówił starzec do dok-

tora. Ale nie będą patrzył na grzeszne życie mego dziecka—
dodawał po cichu.

W wielkiej gdańskiej bryce umieszczono chorego starca i rekonwalescenta Eljasza. Na przeciw nich siedzieli Speranza i Abel Morin; wierny zaś Mordko ze swego kozła poganiał chude szkapy.

Eljasz spoglądał na piękny świat boży, na uroczą córkę i dzielnego zięcia, i czuł się odrodzony, szczęśliwy. Zmiana natomiast w obliczu reb Lejba bliżki już zgon zapowiadała. Starzec mimo to nie chciał słyszeć o odpoczynku, a na wszystkie prośby odpowiadał:

— Nie będę leżał na obcej ziemi—jedźmy!

Jechali tedy, jechali ciągle.

Pzybyli już do Królewca i tu reb Lejb przypomniał sobie słowo, dane niegdyś Akiwie.

— Obiecałem wstąpić po niego—mówił starzec, i kazał Mordce wywiedzieć się o biednego pisarza.

Mordko poszedł do miasta, wypytywał się o Akiwę i wrócił z odpowiedzią, że już nie żyje od miesiąca.

Akiwa skończył w szpitalu, samotny i opuszczony, jak żył, umarł jak się narodził—*zawczasnie*.

— Niech będzie pochwalony Sędzia sprawiedliwy! ¹⁾—mówił reb Lejb—zobaczymy się wkrótce!

I dalej toczyła się bryka po gościńcu.

Stanęli nareszcie w miasteczku. Mieszkańcy i rabin przywitali ich ze smutkiem, zdjęli reb Lejba z bryki, wnieśli do domu i położyli na jego łóżku.

— Rabil—pytał starzec—czy wrócił już pan Janusz Borzęcki?

— Wrócił wczoraj.

¹⁾ Baruch Dajon Emeth.

— Oddaliście mu szkatułę?

— Dotąd nie jeszcze.

— Dajcież mu natychmiast znać.

Zanim pan Janusz przyjechał, zawołani murarze, pod nadzorem rabina i Eljasza, odwalili kamienie z dołu piwnicy i wyciągnęli zardzewiałą żelazną szkatułę.

Okolo północy dopiero przybył młody dziedzic.

Reb Lejb pokazał wchodzącemu stojącą obok siebie szkatułę.

— Panie Januszu, majątek mi powierzony oddaję nietknięty!—rzekł.

Pan Janusz ze łzą w oku przybliżył się do starca.

— Lejbo, wyście za tę szkatułę narazili życie—mówił wzruszony. Niechżeż połowa tego, co ona zawiera, zostanie własnością waszego zięcia i wnuczki!—I młodzieniec, klękając przy łożu reb Lejba, dodał:

— Mój ojciec umarł na waszym ręku. Nie odmawiajcież teraz błogosławieństwa jego synowi!

Reb Lejb obie dłonie położył na głowie dziedzica.

— Synu naszych dobroczyńców, błogosławię cię! Oby ród twój kwitł na tej ziemi! Nie polecam ci moich dzieci, bo oto jedyne mi pozostałe mąż zabierze do obcego kraju; ale ile razy spotkasz uciśnionego, spotwarzonego żyda—wspomnij starego Lejbę!

Wnuczka i zięciowie otoczyli łożo patryarchy, a on kolejno kładł ręce na głowy Morina, Eljasza i Speranzy.

— Eljaszu! Ablu!—Odepchnąłem was, jako złych żydów, aleście dobrzy ludzie, i błogosławię was, jako moje dzieci. Speranzo! „mądrość niewiasty buduje dom,¹⁾—ty

¹⁾ Przysłow. Salomonowe.

masz żydowskie serce, tobie polecam przyszłość mego rodu, ty go ogrzej ciepłem wiary i miłości!

A widząc, że Speranza zalewa się łzami, dodał:

— Na co te łzy, dziecię moje? Na co ten żal po życiu, które się nikomu już nie przyda na ziemi? Wasz świat już nie moim światem, a wasze drogi nie mogłyby się stać mojami drogami. Mądre i sprawiedliwe są wyroki Opatrzności. Co czas swój przeżyło—umrzeć musi...

Teraz wszyscy odstąpili na bok. Zaczęła się spowiedź i modlitwa za konających.

— „Słuchaj Izraelu, Bóg nasz jest Bogiem Jedynym“ — wołał jeszcze starzec i głowa jego opadła na poduszki.

Już brzask dzienny zaglądał przez okno, gdy ostatnie technienie wyszło z ust reb Lejba.

Długie milczenie zaległo pokój.

— Zaczny to był człowiek—odezwał się nareszcie pan Janusz z westchnieniem.

— Tak jest — odrzekł Eljasz — bo z drogi, którą raz uznał za prostą, nie zboczył już ani na prawo, ani na lewo. Pamięć jego cnót niech będzie dla nas przykładem, uprzedzenia tylko religijne i kastowe razem z nim pójdą do grobu. Proroctwa były słowa, które wypowiedział przed chwilą: „Co czas swój przeżyło—umrzeć musi.“ Długo horyzont społeczny zalegały chmury fanatyzmu, długo nad głowami żydów srożyła się burza za obce pochodzenie, za odmienną wiarę. Strwożeni, kryli się za warownią swej odrębności, którą każde pokolenie nowemi otoczyło szaniami. Czasami świsł wichru ucichał na chwilę, płąt siniego nieba ukazywał się w oddali. Niejeden wychodził za bramę i uściskał dłoń litościwego przechodnia; niejeden, zważony zielonością i wonią, puścił się w odległe okolice. Lecz śmiałek często zabląkał się i ginął na nieznanym manowcach, a reszta, nie dowierając pogodzie, wracała

do murów, które acz ciemne i zimne, były jednak bezpieczne i w skutek długiego przyzwyczajenia stały się już drogimi ich sercu...

Ale oto chmury już się rozpraszają, chwila jeszcze — a słońce zajaśnieje w całej pełni! Bracia! ilu nas jest, podajmy sobie ręce, a zmurszała warownia runie bezpowrotnie, wszystkie dzieci naszej ziemi odetchną czystem powietrzem pól ojczystych, i *ciasna sfera* rozprzestrzeni się w krąg wielki i świetlany, obejmujący cały obszar interesów kraju i ludzkości!

KONIEC.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN
BIBLIOTEKA
80-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 21
Tel. 25-68-63

F

22.233